cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #227 10/2025

Dawid Wildstein
PO CO ROBIĆ Z GAZY HOLOCAUST?

Łukasz Czarnecki
DYSKRETNY UROK ZAGINIONYCH ŚWIATÓW

Antoni Rybczyński
OD LENINA DO PUTINA. BIOLOGICZNA I CHEMICZNA BROŃ ROSJI

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

Ona się znów budzi

Wszystkie głowy smoka zieją ogniem. Obalamy groźny mit o Rosji

ISSN 1895-4960

OKŁADKA: MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl f7e0bb845d

TEMAT NUMERU ▼ 4–11

Wszystkie głowy smoka zieją ogniem. Obalamy groźny mit o Rosji / 4

IDEE ▼ 12–24

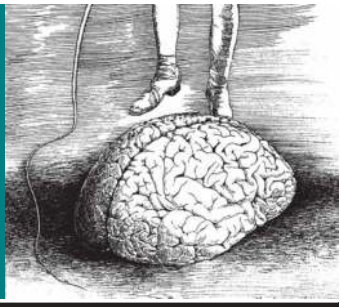

Po co robić z Gazy Holocaust? / 12

HISTORIA ▼ 32–51

Jak twórca amerykańskiej Częstochowy... / 32

KULTURA ▼ 52–60

Dyskretny urok zaginionych światów / 52

ŚWIAT ▼ 66–97

Odpowiedź na nową oś zła / 66

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Lisiewicz
Wszystkie głowy smoka zieją ogniem. Obalamy groźny mit o Rosji 4

Wojciech Mucha
Propaganda w służbie Rosji. Sobowtóry, naziści i sztuczna inteligencja 8

IDEE

Dawid Wildstein
Po co robić z Gazy Holocaust? 12

Ewa Polak-Pałkiewicz
Puste miejsce po szkole 16

Małgorzata Matuszak
AI ukradnie nam rzeczywistość? 22

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Jak twórca amerykańskiej Częstochowy uratował od Zagłady ponad tysiąc Żydów 32

Dariusz Jarosiński
Wokół zjednoczenia Niemiec 38

Agnieszka Kowalczyk
Antoni Heda „Szary". Legenda Polskiego Podziemia 44

Włodzimierz Bączkowski
Uwagi o istocie siły rosyjskiej 50

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Dyskretny urok zaginionych światów 52

Krzysztof Karnkowski
Bezpieka na wojnie z papieżem 58

ŚWIAT

Hanna Shen
Odpowiedź na nową oś zła 66

Antoni Rybczyński
Od Lenina do Putina. Biologiczna i chemiczna broń Rosji 70

Jakub Maciejewski
QAnon – najbardziej tajemniczy ruch społeczny w USA 75

Tomasz Gromadka
Osiem lat w sąsiedztwie frontu – Mariupol w 2021 roku 80

oprac. Antoni Rybczyński
Wojny dronów 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 90

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Demokracja walcząca przyśpiesza
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... uważność
KATECHIZM INTELIGENTA 25

Rozmowa Krzysztofa Wołodźki
Likwidacja CPK? Polakom zapaliła się czerwona lampka
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 26

Marek Kalinowski
Z dala od konkursu, bliżej Chopina
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 61

Krzysztof Wołodźko
Luddyści. O godność i chleb
PRZYSPOSOBIENIE OBRONNE 62

Marcin Wolski
Mongolski spadek
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Jeszcze Ameryka nie umarła
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO"
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl f7e0bb845d

Katarzyna Gójska

Demokracja walcząca przyśpiesza

Ostatnie tygodnie to kolejna eksplozja nękania niezależnych od władzy sędziów. I zapowiedzi następnych represji wobec nich. Trudno nie odnieść wrażenia, iż zostali pozostawieni sami sobie. Ciągle czekamy na działania, które dadzą odpór „prawu, jak je rozumiemy", pokażą realną debatę dotyczącą naprawy sytuacji w Polsce.

Posiedzenie siedmiu sędziów Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych, zakończone kuriozalnym aktem mającym wyrugować z obrotu prawnego wszystkie decyzje innej izby Sądu Najwyższego – w tym te dotyczące ważności wyborów – to nie tylko demolowanie ustroju państwa, lecz także pewien symbol. Oto niemal połowa tego składu zaczynała swe sędziowskie kariery od nominacji dokonanej przez stalinowską Radę Państwa, której przewodził zbrodniarz komunistyczny. Oto przeszło trzy dekady po obaleniu PRL, upadku Związku Sowieckiego ludzie oddelegowani do sądzenia przez władzę nieprzestrzegającą praw człowieka i nadaną Polsce w Moskwie, stawiani są ponad tymi, którzy zostali sędziami po decyzji demokratycznie wybranego prezydenta. To nieprawdopodobna wręcz manipulacja, a jednocześnie kolejny dowód na to, jak pozostałości komunistycznego układu potrzebne są dzisiejszej władzy do ograniczania demokracji i praworządności w Polsce. Demokracja walcząca potrzebuje sędziów z komunistycznym rodowodem, tak samo jak potrzebuje funkcjonariuszy ubabranych współpracą z Rosją, by przerobić polskie służby specjalne na polityczną policję. Każdy, kto sądził, iż ten niszczycielski proces będzie ulegał samoograniczeniu po zwycięstwie wyborczym Karola Nawrockiego, popełnił błąd. Oczywiście prezydent Nawrocki jest dla utrwalaczy demokracji walczącej poważnym utrudnieniem, ale bezprawie nabiera tempa. Ostatnie tygodnie to kolejna eksplozja nękania niezależnych od władzy sędziów. I zapowiedzi następnych represji wobec nich. Trudno nie odnieść wrażenia, iż zostali pozostawieni sami sobie. Ciągle czekamy na działania, które dadzą odpór „prawu, jak je rozumiemy", pokażą realną debatę dotyczącą naprawy sytuacji w Polsce. Brak reakcji z jednej strony działa zachęcająco na dewastatorów polskiego porządku prawnego, a z drugiej znieczula społeczeństwo na bezprawie. Ludzie zyskują poczucie bezradności wobec nielegalnych działań władzy, bo nie widzą realnej siły, która zdolna jest im przeciwdziałać. W najnowszym numerze miesięcznika „Nowe Państwo" rozprawiamy się z wielką manipulacją, która podbija świadomość tysięcy Polaków – przekonanie o racjonalnej Rosji, która prowadzi wojny ostrożnie i zawsze tylko na jednym froncie. Ta kompletna bzdura jest sączona do naszych umysłów, by utrzymywać nas w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa – dopóki trwa wojna na Ukrainie, my jesteśmy bezpieczni. Mamy czas. Nie! Nie mamy czasu! Im szybciej to zrozumiemy, tym lepiej, bo wróg, który nam zagraża, celowo wciąga nas w stan uśpienia. ■

Ta kompletna bzdura jest sączona do naszych umysłów, by utrzymywać nas w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa – dopóki trwa wojna na Ukrainie, my jesteśmy bezpieczni. Mamy czas. Nie! Nie mamy czasu!

eprasa.pl f7e0bb845d

Piotr Lisiewicz

Wszystkie głowy smoka zieją ogniem. Obalamy groźny mit o Rosji

Rosja nigdy nie prowadzi wojny na dwa fronty, więc dopóki trwa wojna na Ukrainie, nie zaatakuje żadnego innego państwa. Tę uspokajającą hipotezę, w czasie gdy rosyjskie samoloty i niezidentyfikowane drony pojawiły się nad Polską, Estonią, Danią, Norwegią, a wcześniej także Japonią, powtarzają polscy politycy. Niestety, nie wytrzymuje ona konfrontacji z faktami. Niegdyś carski minister wojny generał Aleksiej Kuropatkin wyliczał, że w ciągu 128 lat historii Rosji wojny mające na celu rozszerzenie jej granic trwały w sumie 101 lat, natomiast wojny obronne… cztery lata. Od czasów Iwana Groźnego do czasów Putina Moskwa wielokrotnie toczyła agresywne wojny na wielu frontach jednocześnie.

eprasa.pl f7e0bb845d

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl f7e0bb845d

W pamiętnikach Henryka Józewskiego, bliskiego współpracownika Józefa Piłsudskiego, pojawia się niesamowita scena. Oto w 1919 roku Józewski wysłany zostaje z misją dyplomatyczną do bliskiego współpracownika jednego z przywódców przegrywających rosyjskich „białych", generała lejtnanta Antona Denikina. Denikina czeka klęska, ale oto jego współpracownik żyje wcale nie nienawiścią do bolszewików, ale czymś z pozoru absurdalnym. Otóż pogłoską, że w niepodległej Polsce może być zburzony sobór prawosławny na placu Saskim. „Rosja tego nie zniesie! Polska pożałuje, jeśli zostanie usunięta choć jedna cegła!" – wścieka się biały Rosjanin. „Oto szczur rosyjski z tonącego denikinowskiego okrętu szczerzy zęby na Polskę... ma na to czas i energię" – pisze Józewski.

Murem za Afganistanem!

Mit o tym, że Rosja nigdy nie walczy na dwa fronty, ma wśród polskich antykomunistów rodowód ciekawy, bo wywodzący się z czasów stanu wojennego. „Afganistan walczy" – takie napisy pojawiały się wówczas na murach, a jeden z nich wykonał 12-letni młody antykomunista Witold Newelicz, przyszły dziennikarz Telewizji Republika, na ścianie krakowskiego zakonu kapucynów. Powody sympatii dla bohaterstwa afgańskich mudżahedinów były jak najbardziej uzasadnione. Moskwa zaatakowała Afganistan w 1979 roku i dlatego w Sierpniu '80 nie miała dość siły, by krwawo stłumić karnawał Solidarności – uważali niektórzy.

Po latach ten argument wrócił, gdy zwolennicy Jaruzelskiego kłamali, że szef junty stanu wojennego wprowadził go z pobudek patriotycznych, by uniknąć sowieckiej interwencji. Dokumenty wskazują jasno, że Sowieci nie planowali żadnej interwencji i spacyfikowanie Polaczków zlecili swojemu wiernemu pachołkowi. Jednak po stronie antykomunistów argument, że Jaruzelski kłamie, bo Moskwa nigdy nie walczy na dwa fronty, a wtedy miała na głowie Afganistan, pojawiał się co chwila. Niewątpliwie mudżahedini zakłócali spokojny sen Breżniewa, ale używanie ich do wielopiętrowej publicystycznej konstrukcji nie ma sensu.

Wszystkie fronty paktu Ribbentrop–Mołotow

Dowodów na to dostarczają nam wojny z XX wieku. Warto drobiazgowo przyjrzeć się datom. 17 września 1939 roku Sowieci zaatakowali Polskę, w zgodzie z Niemcami w ramach paktu Ribbentrop–Mołotow. Ale w tym samym czasie brutalna agresja na innych wrogów trwała w pełni.

30 listopada 1939 roku Związek Sowiecki dokonał agresji na Finlandię, która trwała do 13 marca 1940 roku. Już wcześniej, po ataku Niemiec na Polskę, na przełomie września i października 1939 roku, rządy Litwy, Łotwy i Estonii zostały zmuszone przez Moskwę do podpisania umów o wzajemnej pomocy wojskowej i ulokowania u siebie radzieckich baz wojskowych. Z Estonią taką umowę podpisano 28 września, z Łotwą 5 października, a z Litwą 10 października. Lotniska w Estonii zostały niebawem wykorzystywane w wojnie z Finlandią. W 1940 roku Armia Czerwona po kolejnym ultimatum zajęła ich terytoria, a między 18 a 21 czerwca w państwach tych powołano marionetkowe rządy „frontu ludowego". W sierpniu Moskwa zaakceptowała ich „prośby" o włączenie do Związku Sowieckiego.

Dokładnie w tym samym czasie, bo 26 czerwca 1940 roku, Moskwa postawiła ultimatum Rumunii, grożąc jej militarnym atakiem, jeśli nie odda Besarabii i północnej Bukowiny. Rząd Rumunii uległ szantażowi. Sowieci zajęli jednak nie tylko te tereny, lecz także region Herca oraz sześć wysp rumuńskich na rzece Kilia, odnodze Dunaju. 2 sierpnia 1940 roku utworzona została Mołdawska Socjalistyczna Republika, obejmującą większość Besarabii i część dotychczasowej Mołdawskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Region Herca został włączony do sowieckiej Ukrainy. Ruszyły egzekucje, aresztowania i deportacje.

1920 rok jako skutek walki Rosji na wielu frontach

Jeszcze bardziej wyrazistym dowodem, że Moskwa nie ma żadnych oporów, by walczyć na bardzo wielu frontach, są czasy I wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej. Tak się złożyło, że w sierpniu 2025 roku miałem okazję oglądać ślady jednego z tych frontów – robiące ogromne wrażenie cmentarze sprzed ponad stulecia na granicznym szlaku polsko-słowackim w okolicy Kamienia nad Jaśliskami.

No więc wyliczmy, że w czasie I wojny światowej Rosja na Zachodzie biła się z Niemcami, Austro-Węgrami, a na Kaukazie z Turcją. Na Zachodzie znienacka wyrósł też nowy wróg – polskie Legiony. W 1917 roku skomplikowało się to jeszcze bardziej z powodu bolszewickiego przewrotu i wojny domowej. W tym samym czasie była wojna z wojskami Ententy. A w 1920 roku przyszła wojna polsko-bolszewicka.

eprasa.pl f7e0bb845d

Za Napoleona wojna za wojną

„Jestem tu, aby raz na zawsze skończyć z tym barbarzyńskim kolosem Północy. Szpada została już dobyta" – mówił Napoleon o inwazji na Rosję 1812 roku. A Adam Mickiewicz pisał z XI księdze „Pana Tadeusza": „O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju! / Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju, / A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy / O tobie bajać, dotąd pieśń o tobie marzy". Ale gdy wyjdziemy poza polską perspektywę, uświadomimy sobie, że Moskwa toczyła w tym czasie wojnę z Turcją w latach 1806–1812 i zajmowała Finlandię, bijąc się ze Szwecją w latach 1808–1809.

Wszystkie fronty psychola Iwana Groźnego

Chyba najmocniejszym dowodem na to, że Rosja potrafi walczyć na wielu frontach jednocześnie, są czasy Iwana Groźnego, ludobójcy, który w przypływie szału zabił także własnego syna. Ogromna była liczba wywoływanych przez niego wojen, nierzadko toczących się jednocześnie. W 1552 roku zaatakował Chanat Kazański, a w 1554 roku Chanat Astrachański. Uderzył w 1558 roku na państwo krzyżackie w Inflantach, zdobywając Dorpat i Narwę, rozpoczynając wojnę litewsko-rosyjską i tym samym wojny inflanckie. W 1559 roku uderzył na Rygę. W czasie wojny litewsko-rosyjskiej 1558–1570 został pokonany przez wojska polskie pod Newlem, jednak zdobył w 1563 roku Połock i rozkazał utopić w Dźwinie wszystkich tamtejszych Żydów. W 1564 roku jego wojska zostały pokonane przez hetmana Chodkiewicza w bitwie pod Czaśnikami, a następnie pod Orszą. W 1575 roku Iwan IV ponownie zaatakował Inflanty, zdobywając Salis i Parnawę. W lipcu 1577 roku poprzez uderzenie na Rewel doprowadził do wybuchu I wojny polsko-rosyjskiej (1577–1582). Wojska moskiewskie zdobyły wszystkie zamki w Inflantach (oprócz Rygi), a po zdobyciu Gulbene dokonały rzezi ludności. W ciągu następnego roku duża część zamków została odzyskana, a wojska Iwana pokonane pod zamkiem Kieś. W 1579 roku inicjatywę przejęły wojska polskie, zdobywając ważną twierdzę Połock, a w 1580 roku Wielkie Łuki. Po oblężeniu przez Polaków twierdzy Psków i ataku Szwedów w roku 1582 Iwan zawarł na 10 lat rozejm w Jamie Zapolskim z królem Polski Stefanem Batorym, kończąc wojnę o Inflanty.

Rozłożone ofiary Moskwy

Walka z wieloma państwami nie powstrzymuje ani odrobinę rosyjskich zbrodni. Jedyne, co je może powstrzymać, to zdrowe moralnie państwo, dysponujące odpowiednią siłą militarną. Wybitny polski politolog Włodzimierz Bączkowski, po II wojnie światowej współpracujący z Kongresem Stanów Zjednoczonych, tak bezlitośnie opisywał historię rosyjskich podbojów: „Cesarstwo Kazańskie padło w chwili wewnętrznej słabości i izolacji dyplomatycznej, niezdolne do oporu poza obroną murów Kazania (1551), carstwo astrachańskie w ogóle nie stanowiło żadnego zorganizowanego organizmu państwowego (1556), Syberię podbijały ochotnicze watahy pioniera Jermaka (1581) – z kolei Czułkow, również rodzaj Pizzaro syberyjskiego, dokończył dzieła podboju Syberii do linii średniego Jenisieju, nie napotykając na opór, z jakim spotkali się konkwistadorzy amerykańscy (1584–1598). Tak samo zhołdowano ziemię Baszkirów (1586), ziemię Samojedów, wreszcie Tatarów, rozpylonych pomiędzy Obiem i Jenisiejem, ziemię Tunguzów i Jakutów. W tym samym czasie na zachodzie traktatem andruszowskim zdobyto Ukrainę zadnieprzańską walczącą na dwa fronty i opanowaną wewnętrzną anarchią (1667), a nieco później metodą lekkiej wyprawy myśliwskiej zagarnięto Kamczatkę (1703), ziemię Koriaków, na zachodzie część Finlandii i w r. 1772 pierwszą część osłabionej, zanarchizowanej, o przekupionej elicie Polski. Jako następna padła Gruzja, całkowicie bezsilna, trwająca w podziałach i zagrożona przez muzułmańską część Kaukazu (1801). Nie było też rzeczą trudną opanować Besarabię kosztem dalekiej potęgi Islamu oraz słabej Wołoszy i Mołdowy (1812)".

Jak pisał Bączkowski, „jednocześnie momentem najbardziej zastanawiającym jest fakt, że najmniejszy opór na długo zatrzymywał zwycięski podbojowy pochód Rosji, a najmniejszy, lecz prężny i zdrowy moralnie ośrodek państwowo-narodowy umiał trzymać w szachu o wiele potężniejszą Moskwę. Złota Horda z XIV i początku XV w. panowała nad potężnym Księstwem Moskiewskim. Później mikroskopijny Krym przez półtora, dwa stulecia w wiekach od XIV do XVII zagrażał państwu 10-krotnie większemu pod względem ludności i 20-, 30-krotnie większemu terytorialnie".

Wskazywał, że „interesujące są dzieje walki Rosji z Kaukazem Północnym. 150–200 tys. armia wielkiego mocarstwa walczyła wówczas z 8–10 tys. Górali, nieposiadającymi za sobą ani silnych węzłów jedności narodowej, ani wspólnej organizacji państwowej. Opór Górali trwał jednak przez 25 lat, sprawiając Rosji nie lada kłopot".

Opór wobec żądań Moskwy pozostaje również dziś kłopotem skorumpowanej UE. Głowy smoka zieją najsilniej na tych, co nie mają kręgosłupa. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Wojciech Mucha

Propaganda w służbie Rosji. Sobowtóry, naziści i sztuczna inteligencja

Gdy śledzi się rosyjskie strategie dezinformacyjne dotyczące agresji na Ukrainę, a także te mówiące o kondycji samego agresora, widać ewolucję propagandy względem tego, co Kreml produkował jeszcze nie tak dawno. Dotyczy to zarówno propagandy zewnętrznej, jak i tej skierowanej do samych Rosjan. I choć zapewnienia o „woli zwycięstwa" są oczywiście niezmienne, to pojawiające się tropy mówiące o konieczności „bycia cierpliwym", powinny budzić zainteresowanie badaczy. Wskazują one na niezależne od oficjalnego przekazu erozyjne tendencje.

eprasa.pl f7e0bb845d

Oczywiście podstawy się nie zmieniają. Rosja uporczywie określa pełnoskalową agresję na Ukrainę mianem „specjalnej operacji wojskowej" (choć z oczywistych względów nie przedstawia jej już jako obliczonej na kilka dni). W dalszym ciągu w wewnętrznej i zewnętrznej propagandzie pojawiają się tropy mówiące o konieczności walki z „banderowsko-nazistowskim reżimem w Kijowie" czy „wyzwoleniu rosyjskojęzycznej ludności Donbasu".

W strukturze tej dezinformacji ważne miejsce zajmuje porównywanie agresji na Ukrainę z wielką wojną ojczyźnianą, co ma na celu odwołanie się do kalek pojęciowych rosyjskiego społeczeństwa. Czy rzecz działa?

Głosy z Kołymy i depeszy Reutersa

Cóż, zapewne w jakimś stopniu tak, o czym mogą zaświadczać anegdotyczne, ale cenne poznawczo przykłady Rosjan, których na swej drodze spotykał podróżujący przez Rosję autostopem polski youtuber Michał Pater, twórca kanału „Autostopem na koniec świata". O „nazistach z Kijowa", „wojowaniu z całym NATO" i potędze Rosji, w której jest rzekomo lepiej niż w całym świecie (widz może porównać te słowa z obrazem), słyszał w zasadzie co chwilę podczas swej długiej podróży. Co interesujące, pojawiają się ciekawe tropy. I tak na przykład w mikroskopijnej osadzie Diebin (osiedle typu miejskiego w obwodzie magadańskim położone przy Trakcie Kołymskim) napotkany mieszkaniec zaproponował Polakowi nocleg i przy zakrapianej pogawędce stwierdził, że najlepszym przywódcą jest nie Władimir Putin, lecz... Alaksander Łukaszenka. To – przyznają Państwo – rzecz zaskakująca.

Wróćmy jednak do twardych przykładów. Oto na przykład w obliczu niewielu rzeczywistych sukcesów propaganda Kremla potrafi rozbuchać do nieprzyzwoitości dowolny fakt. Tak było choćby ze zdobyciem wioski Filja w obwodzie dniepropietrowskim. Rzecz oczywiście przedstawiono jako jej „wyzwolenie" i doczekała się ona międzynarodowych ech (w samej tylko indyjskiej stacji – anglojęzycznym Times Now World – materiał o tym, jak „Rosja szturmuje Filję", przypomina potężną operację „w ramach najnowszej ofensywy moskiewskiej Grupy Wojsk Wostok. Rosyjskie Ministerstwo Obrony poinformowało, że pułki pancerne przeprawiły się przez rzekę Wołczę, aby zaatakować Filię, wspierane ostrzałem artyleryjskim i atakami dronów, a następnie podniosły rosyjską flagę w osadzie" – czytamy w opisie). Rzecz trafiła nawet do depeszy Reuters.

Wszystko „pięknie", tyle że oglądana na mapie wioska Filia ma przekątną nieco ponad kilometr, a jej wartość strategiczna jest żadna. Podobnie jest na przykład z takimi sukcesami, jak zniszczenie amerykańskich haubic M-777, o czym donoszono w raportach ministerstwa obrony czy depeszach TASS, ale szczytem absurdu było sierpniowe ogłoszenie i przedstawianie w tzw. strumieniu kłamstw (ang. firehose of falsehood – masowo i natychmiastowo rozpowszechniane kłamstwo) przekazu o schwytaniu przez Rosjan dwóch brytyjskich oficerów podczas ataku na ukraińskie centrum w Oczakowie. Całość oparto na dość prymitywnie wygenerowanej za pomocą sztucznej inteligencji grafice. Krążyła ona w kilkunastu krajach.

Minimalne straty w wojnie z NATO

Badacze m.in. z Niemiec wskazują, że na przykład ten przekaz pojawił się w ramach trwającej rosyjskiej operacji „Doppelgänger" („Sobowtór"). Polski Ośrodek Studiów Wschodnich pisał o niej, że polega na „tworzeniu stron internetowych imitujących legalnie działające i dobrze rozpoznawalne media oraz publikowały tam zmanipulowane i stronnicze treści. W USA podrabiano między innymi witryny dziennika »The Washington Post« czy Fox News. Adresy »sobowtórów« różniły się nieznacznie od oryginałów, a szata graficzna i układ strony były do nich łudząco podobne". „W ramach kampanii Rosjanie tworzyli również masowo fałszywe profile w mediach społecznościowych, podając się za Amerykanów (lub obywateli innych krajów), by nie wzbudzać podejrzeń o powiązania z Moskwą. Następnie zamieszczali na platformach – głównie X i Meta – komentarze z linkami do założonych wcześniej w ramach tej samej operacji domen imitujących legalne serwisy informacyjne" – czytamy w analizie OSW.

Jednocześnie, co zrozumiałe, Rosja raczej nie chwali się tym, że według zachodnich szacunków od początku pełnoskalowej inwazji zginęło lub zostało rannych już kilkaset tysięcy żołnierzy i personelu wojskowego (źródła ukraińskie podają, że nawet ponad milion). Straty są zawsze albo „minimalne", albo nie ma ich wcale (nie mówi się o nich).

Wydaje się przy tym, że wewnętrzna propaganda działa. Jak wynika z badań ośrodka Levanda Center, aż 78 proc. respondentów popiera działania armii rosyjskiej na Ukrainie, (choć oczywiście nie można sprawdzić, na ile owo poparcie wynika z cenzury, atmosfery strachu i propagandy wojennej). Jednocześnie, jak podaje Levanda, rośnie poparcie dla negocjacji, ponieważ wbrew oficjalnej narracji Rosjanie zdają się być świadomi ponoszo-

FOT. YURI KOCHETKOV/PAP/EPA

eprasa.pl f7e0bb845d

nych strat i potrafią liczyć flagi na cmentarzach w swoich miastach i miasteczkach.

Co interesujące, a co można usłyszeć na przykład w przytaczanych wyżej rozmowach odważnego polskiego youtubera, Rosjanie są przekonywani i przekonani, że „walczą z całym światem zachodnim", a już na pewno z NATO, które rzekomo ma prowadzić rękami armii ukraińskiej konflikt zastępczy (proxy war). Padają określenia o tym, że Sojusz Północnoatlantycki jest „de facto w stanie wojny z Rosją". I tylko ktoś skonfundowany mógłby zapytać, jak to możliwe w sytuacji, gdy podobno trwa jedynie „wojskowa operacja specjalna przeciwko kijowskiej juncie". Moskwie jednak takie drobnostki nie przeszkadzają.

Cały świat (oprócz Europy)

Jednocześnie Rosja w przekazie pozycjonuje się jako „broniąca suwerenności i tradycyjnych wartości". Przed czym? Ano oczywiście przed „zgniłym Zachodem", czyhającym na owe wartości, żywe w obszarze między Briańskiem a Magadanem. W tym rosyjskim świecie wartości Rosja łączy się z Chinami, Koreą Płn., Iranem i Indiami, które to sojusze w propagandzie są podkreślane równie mocno jak siła organizacji krajów BRISC. I oczywiście zaprasza się do tej wspólnoty „resztę świata".

Jest to wypowiadane z pozycji Kremla, w przemówieniach samego Putina, a także za pomocą obcojęzycznych serwisów propagandowych. Jak czytamy na przykład w analizie BBC z końca sierpnia 2025 roku: „[…] rosyjski państwowy kanał informacyjny RT oraz agencja informacyjna i radio Sputnik rozszerzyły swoją obecność na arenie międzynarodowej; obecnie nadają w Afryce, na Bałkanach, na Bliskim Wschodzie, w Azji Południowo-Wschodniej i Ameryce Łacińskiej. Wszystko to pokrywa się z zakazami [dla tych stacji – przyp. red.] obowiązującymi w krajach zachodnich".

„Kraje spoza Zachodu są bardzo żyznym terytorium pod względem intelektualnym, kulturowym i ideologicznym [z powodu] wciąż obecnych w nich nastrojów antyamerykańskich, antyzachodnich i antyimperialnych" – mówi cytowany przez BBC Stephen Hutchings, profesor rusycystyki na Uniwersytecie w Manchesterze. To prawda. To dlatego „robota" na tych odcinkach jest tak intensywna i jednocześnie niemal niedostrzegalna dla „ludzi Zachodu". Jest także zróżnicowana ze względu na region i uwzględnia jego specyfikę.

Litości nie mają jednak Rosjanie dla Europy. Interesującym przypadkiem może być to, co pojawiło się jako „głos Moskwy" po spotkaniu unijnych liderów z Donaldem Trumpem w Waszyngtonie. Poza pojawiającymi się i tu fejkami wykreowanymi za pomocą AI (na przykład zdjęcie europejskich przywódców rzekomo czekających przed drzwiami Trumpa jak petenci) najczęściej pojawiającym się porównaniem dla Europy Zachodniej jest… III Rzesza, co może nas nie tyle zaskakiwać, co jednak nużyć, jednak prawdopodobnie działa (zgodnie z zasadą, że jeśli coś jest głupie i działa – nie jest głupie).

Nawrocki zły i dobry

Dodatkowo w przekazie dotyczącym Europy wskazuje się na podziały i brak sprawczości oraz różną od polityki Trumpa pozycję. Europa pokazana jest jako swoista „Sodoma i Gomora", której przeciwstawiona jest „czysta Rosja", będąca obrończynią wartości. Jest to zresztą stała praktyka Kremla – łączenie wątków historycznych, społecznych i militarnych w jedną bombę dezinformacyjną. I choć problemów Europy, w tym szczególnie zachodniej, nie sposób jest nie dostrzegać, to trudno nie wzruszyć ramionami, jeśli pouczenia płyną z kraju takiego jak Federacja Rosyjska (po raz kolejny odsyłam Państwa do serii filmów youtubera „Autostopem na koniec świata").

Polski instytut badawczy Info OPS w wydawanym przez siebie biuletynie Disinfo Digest zwraca uwagę, że Polska w narracji Kremla jest na przemian „ofiarą cynicznej gry Zachodu", który „chce zrobić z Polski mięso armatnie", a z drugiej – psem łańcuchowym i podżegaczem wojennym. Sam Zachód w tej opowieści oczywiście chwieje się w posadach, jest polem gry służb specjalnych (amerykańskich i brytyjskich), ale odpowiada także za sabotaże – od broni biologicznej przez terroryzm aż do zabójstw. Tu wskazuje się na częstą rosyjską kliszę „walki z terroryzmem".

Warto wiedzieć, co też rosyjska propaganda ma do powiedzenia na temat nowego prezydenta RP Karola Nawrockiego. Okazuje się bowiem, że traktowany jest on w dość specyficzny sposób. Przedstawiany z jednej strony jako „rusofob" (w tym kontekście pokazywana jest jego aktywność jako prezesa IPN i fakt likwidacji sowieckich obiektów, za który jest ścigany w Rosji), a także – szczególnie w kontekście wizyty w USA i deklaracji Trumpa o zwiększeniu liczebności wojsk – jako „eskalującego sytuację" w ramach NATO.

Rosyjski Sputnik podkreśla tymczasem trudną koabitację między Nawrockim a Tuskiem, a nawet używa jego twardych deklaracji do snucia teorii, że przyczynią się one do pogłębiania się podziałów w UE. Jednocześnie wręcz euforycznie odbierane są wszelkie krytyczne wypowiedzi Nawrockiego wobec Ukrainy (to ma miejsce już od podpisania tzw. deklaracji toruńskiej z jej punktami o niezgodzie dla Ukrainy w UE i NATO).

Najwięcej rosyjskich braw zebrał jednak Nawrocki w momencie zawetowania przedłużenia wypłacania

eprasa.pl f7e0bb845d

800 plus i opieki medycznej niepracującym Ukraińcom (przedstawiano to jako „cięcie wsparcia dla banderowskiego Kijowa"). Sentyment jest więc mieszany, z naciskiem na uwypuklanie podziałów i przedstawianie prezydenta jako „zagrożenia" dla proukraińskiego status quo w Europie, przy jednoczesnych obawach o „rusofobiczne" postawy Nawrockiego.

Drony rosyjskie, ale ukraińskie

Ale Info Ops analizuje też przykład najnowszy – komunikację strategiczną Kremla po ostatnim naruszeniu polskiej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony. W tym kontekście przebadano wypowiedzi: Dmitrija Pieskowa (rzecznika Putina), Pawła Murawiejki (Sztab Generalny Republiki Białorusi) i Andrieja Ordasza (chargé d'affaires Federacji Rosyjskiej w Warszawie) i to, w jaki sposób te wypowiedzi znalazły odbicie w rosyjskim aparacie wpływu.

Jak wskazują polscy badacze, nic nie odbyło się tu przypadkiem. Pytany o drony Pieskow odmówił komentarza, jednak zasugerował przy tym, że UE i NATO „tradycyjnie" oskarżają Rosję bez argumentów. W tym samym czasie rosyjskie ministerstwo obrony oznajmiło, że „Rosja nie planowała celów na terytorium RP", przekonywano także, że zasięg użytych dronów nie pozwalałby na dotarcie do Polski.

Wątek o „wepchnięciu" dronów do Polski przez Ukrainę zasugerowano z kolei w przekazie płynącym z Białorusi – miało to legitymizować tezę o „przypadkowości" i „reaktywności" działań – czytamy. Na koniec z rosyjskiej ambasady w Warszawie (chargé d'affaires FR Andriej Ordasz) popłynęło „wezwanie do przedstawienia dowodów" i narracyjne sklejenie nocnego nalotu ze słynną „rakietą z Przewodowa", co miało u odbiorców uruchomić klisze mówiące o polskiej kompromitacji.

W rosyjskich mediach całość przedstawiono wymiennie jako „ukraińską prowokację" i „europejskie podżeganie do wojny". Co istotne, w kontrze do tego postawiono… USA, które pokazano jako „wspierające proces pokojowy".

Owa analiza jest interesująca. Pokazuje ona, że celami takiej strategii komunikacyjnej Kremla jest nie tylko podważanie wiarygodności polskich instytucji, lecz także kognitywna wojna przeciw samym Polakom.

Co ważne, rzecz zadziałała – mnóstwo tez znalazło odbicie w polskiej infosferze i było kolportowanych przez samych polskich internautów – szczególnie ta o „przechwyceniu dronów" czy „przypadkowym wtargnięciu" lub „ukraińskiej prowokacji". Jak już wskazywaliśmy na łamach „Gazety Polskiej", w pewnym momencie tuż po tym incydencie blisko 40 proc. komentarzy wskazywało na inną odpowiedzialność niż rosyjska.

Deptanie po głowie

„Gazeta Polska" rozmawiała na ten temat z Kamilem Basajem – założycielem i prezesem zajmującej się zwalczaniem dezinformacji Fundacji INFO OPS Polska. I choć z rezerwą podchodzi on do aż takich dużych „wolumenów" prorosyjskich komentarzy i wskazuje, że w rzeczywistości trudno jest zmierzyć rzeczywistą liczbę tego typu komunikatów i ich pochodzenie, to przyznaje, że zostaliśmy poddani operacji dezinformacyjnej na wielką skalę.

Zdaniem Basaja celem tej operacji były: dezorientacja, zastraszanie i rozmywanie odpowiedzialności Rosji, a także ośmieszanie reakcji Polski / NATO oraz przedstawianie Ukrainy jako alternatywnego sprawcy incydentu. Zdaniem Basaja operacja ta miała na celu podważenie zaufania do państwa, administracji i struktur bezpieczeństwa, a w konsekwencji obniżenie morale oraz wprowadzenie chaosu w społeczeństwie.

I choć to oczywiście tylko element szerszej strategii, to docelowo służy to wszystko – poza podsycaniem nastrojów antyukraińskich w Polsce – także dezintegrowaniu spójności Zachodu (poróżnienie USA i Europy, zasianie wątpliwości w ramach państw NATO), a także próbie dążenia do poluzowania sankcji i wstrzymania / ograniczenia pomocy wojskowej dla Ukrainy.

„Skuteczności tej strategii nie mierzy się liczbą przekonanych do prorosyjskich tez, lecz liczbą zniechęconych i zdezorientowanych. Incydent dronowy stał się testem odporności informacyjnej. Strategia komunikacji Kremla ponownie pokazuje, że walka toczy się nie o fakty, lecz o ich interpretację. Im szybciej instytucje państwowe i opinia publiczna będą identyfikować te mechanizmy – od negacji sprawstwa, przez przerzucanie winy, po rozgrywanie podziałów – tym trudniej będzie Kremlowi osiągnąć swój strategiczny cel" – piszą eksperci z Disinfo Digest.

Rosyjska propaganda ewoluuje i dostosowuje swe metody do zmieniających się okoliczności. Korzysta też z najnowszych, dostępnych narzędzi i adaptuje je do swojej „roboty". Cele są oczywiste i wskazane wyżej. A jaki jest ten cel strategiczny? Cóż, pytany o cel, jaki Moskwa chce osiągnąć w wojnie przeciw Ukrainie, Władimir Putin miał powiedzieć, a w zasadzie powtórzyć rosyjskie powiedzenie: „Tam, gdzie stanie stopa rosyjskiego żołnierza, to jest nasze". My dbajmy więc szczególnie o to, by Rosjanie nie pchali się z buciorami w nasze umysły. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Dawid Wildstein

Po co robić z Gazy Holocaust?

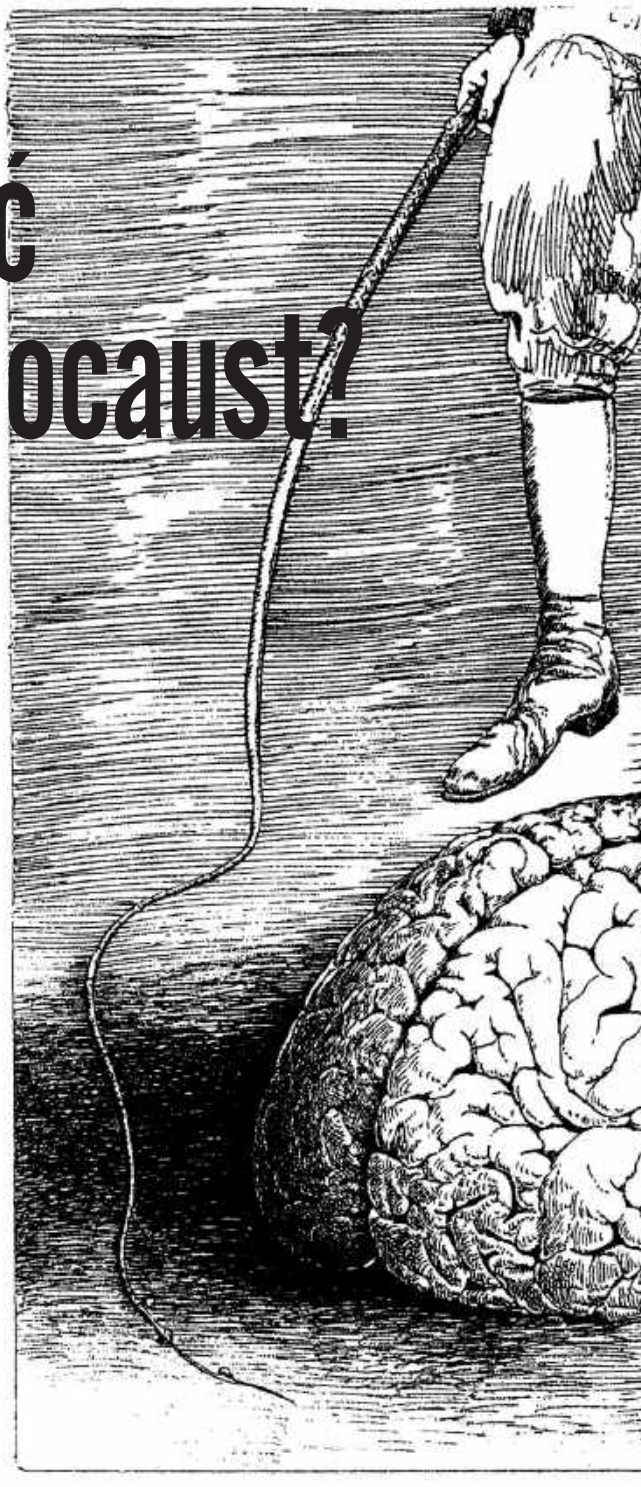

Ten tekst nie będzie o tym, co dzieje się na Bliskim Wschodzie. Nie dotyczy więc oceny działań Izraela oraz Netanjahu, Hamasu i innych organizacji palestyńskich, ościennych państw arabskich etc. To tekst o tym, w jaki sposób ewoluowała przez ostatnie miesiące polska, antyizraelska narracja, coraz silniej obecna w naszej debacie publicznej. Działania Izraela, nawet przy ich najostrzejszej ocenie, nie są żadnym wytłumaczeniem dla rasizmu, ksenofobii, popierania mordów czy zwyczajnej głupoty, kłamstw oraz manipulacji.

eprasa.pl f7e0bb845d

ILUSTRACJA: ANTONII CHODOROWSKI

Podczas ostatniego festiwalu Singera antyizraelskim aktywistom udało się zakłócić występ piosenkarza Davida D'Ora. Podczas śpiewanej przez niego modlitwy dwie młode kobiety dostały się na scenę warszawskiego Teatru Wielkiego i oblały go farbą. Można uznać, patrząc na to, jak wyglądają antyizraelskie prowokacje w innych państwach UE, że właściwie nic się nie stało. Jednak wydarzenie to jest o tyle ciekawe, że pokazuje konstytutywną cechę obecnej antyizraelskiej narracji – czyli coraz wyraźniejsze utożsamianie tego, co żydowskie, z tym, co izraelskie.

Urażona miłość lewicy

David D'Or odmawiał bowiem tylko modlitwę. Nie izraelską, ale jedną z najważniejszych modlitw żydowskich. Nie na izraelskim festiwalu, ale na festiwalu polskiej kultury żydowskiej. Mimo to stał się obiektem opisywanej prowokacji. Nagminnie dochodzi jeszcze do innej sytuacji. Otóż rozmaici polscy antyizraelscy aktywiści regularnie tworzą listy podmiotów związanych z żydowską kulturą, którymi mają wyrazić swoje oburzenie i odciąć się od działań Izraela. Rzecz jasna, jeśli tego nie zrobią, okazują się faszystami / wspólnikami morderców / partnerami w ludobójstwie etc. Tego typu oczekiwania są kierowane wobec instytucji, które z Państwem Izraela nie mają nic wspólnego, takich jak muzeum Polin czy Żydowski Instytut Historyczny (co bardziej krewcy sympatycy „sprawy palestyńskiej" kierują tego typu oczekiwania też do konkretnych osób, które mają pochodzenie żydowskie). Sam fakt ich „żydowskości», to, że zajmują się historią Żydów, okazuje się wygodnym pretekstem, by wymuszać na nich odpowiednie deklaracje polityczne.

W jaki sposób owe „oczekiwania" usprawiedliwiają sami sympatycy sprawy propalestyńskiej? Okazuje się... że po prostu od Żydów należy oczekiwać więcej. Ponieważ, po pierwsze, przeżyli Holocaust, powinni więc być bardziej „wyczuleni" na analogiczne (a nawet większe – o tym wątku w dalszej części tekstu) cierpienia Palestyńczyków w Gazie. Po drugie – skoro to właśnie Żydzi przez tyle lat byli „chronieni" przez lewicę, teraz, broniąc Palestyńczyków, mają okazję „zwrócić ten dług". Widać tu typową dla lewicy instrumentalizację sprawy żydowskiej. Tak naprawdę formacja ta nigdy nie broniła Żydów, po prostu gdy była okazja, wykorzystywała ich, biorąc ich na sztandary, żeby realizować własną agendę. Osobną kwestią jest to, jak wielu Żydów i jak wiele instytucji żydowskich (także polskich, dziś działających), z powodu swojego koniunkturalizmu, głupoty i niebywałej bufonady ich członków, w zamian za dość niewielkie, summa summarum, gratyfikacje towarzyskie bądź finansowe, z ochotą w tę grę wchodziła.

Poza tym widać tu bardzo perwersyjną formę antysemityzmu, oczekiwanie od Żydów „czegoś więcej", inny

eprasa.pl

sposób ich traktowania niż reszty świata, uznanie, że ich grzechy i zaniechania są większe niż innych etnosów, wszystko tłumaczone jednak nie nienawiścią, ale... rodzajem urażonej miłości.

Zniszczenia i kreacja

Wracając do kwestii Holocaustu. Utożsamianie sytuacji w Gazie z Szoa jest regularne od początku ataku Izraela (już wcześniej tego typu porównania były bardzo częste, teraz jednak stały się dominantą lewicowego dyskursu, także w Polsce). Nieważne, że nie ma to żadnego pokrycia w historii (na poziomie elementarnych faktów próba porównywania tych dwóch wydarzeń jest wręcz krańcowo absurdalna), stało się to po prostu retoryczną oczywistością. Zauważmy, że we wspomnianym dyskursie utożsamienie sytuacji Palestyńczyków w Gazie z Szoda wypchnęło już narrację o kolonializmie, imperializmie czy postkolonializmie (oczywiście te, konstytutywne dla lewicowego dyskursu, terminy nadal są obecne, ale nie aż tak istotne jak kwestia Holocaustu). Powód jest bardzo prosty – bo tylko Szoa daje ten element „wyjątkowości", niepowtarzalności i ostateczności, który jest niezbędny tej nowej narracji. Tutaj dochodzimy do rdzenia nowej narracji antyizraelskiej. Otóż tak naprawdę o żadnych Palestyńczyków czy Gazę nie chodzi. Tak jak niegdyś Żydzi, tak dziś Palestyńczycy są traktowani w sposób czysto pretekstowy. Usiłuje się za ich pomocą ustanowić nową religię. Stworzyć quasi-sekciarski, rewolucyjny i mesjanistyczny ruch, którego aktem założycielskim ma być „ostateczne zło" i „koniec świata, jakim go znaliśmy", do którego doszło w Gazie. Zgodnie z doktryną tej nowej wiary, to tam dziś dzieje się apokalipsa, tam do tego stopnia zniszczono wszelkie zasady, normy, wszelką cywilizację, że już nie ma odwrotu. Skażenie świata, które doprowadziło do Gazy, jest wszechogarniające, nieuleczalne. Nie przypomina to czegoś? W wersji spauperyzowanej mamy powtórkę narracji, jaka pojawiła się na Zachodzie po Holocauście. Kiedyś słuchaliśmy, że po Szoa nie można już było pisać poezji, teraz wiersze straciły sens po Gazie.

Oczywiście jak zawsze bywa w tego typu mesjanistycznych, apokaliptycznych narracjach, ostateczny smutek miesza się z nadzieją, a najgłębsza destrukcja z kreacją, świtem nowej ery. Podobnie jest z Gazą, która ujawniając najgorsze i najgłębsze zło współczesności, ujawnia też nową wspólnotę tych, którzy mają odwagę z nim walczyć, nowych Sprawiedliwych. Stają się oni rodzajem kolektywnego Mesjasza, który poprowadzi nas ku nowej erze. To nowa elita, która z racji swojej wyższości moralnej i intelektualnej, powinna decydować o kształcie rzeczywistości i mieć prawo decyzji o tym, kto ma być z niej wykluczony, a kto nie. To jest tak naprawdę najważniejszy cel tej nowej narracji antyizraelskiej – radykalna dystynkcja względem własnej wspólnoty, konieczna, by stworzyć legitymację swojej uprzywilejowanej względem niej pozycji. Skoro zaś ta nowa „elita" rekrutuje się wśród członków zachodnich społeczności, to i Zachód jako taki jest największym wrogiem – i znajduje to odzwierciedlenie w narracji, w której zło Izraela okazuje się rdzeniem dla naszej cywilizacji. Izrael jest tak straszny, bo jest „nasz".

Apokalipsa ma swoje prawa

Skoro jednak Gaza ma być nowym mitem, stary mit, Holocaust, trzeba ostatecznie zneutralizować – i właśnie to obserwujemy. Okazuje się, że to, co spotyka Palestyńczyków, jest... gorsze od Szoa. Jak jest to tłumaczone w opisywanym tu nowym mesjanizmie? Niezbyt błyskotliwie. Tym razem, w przeciwieństwie do Holocaustu, wszyscy to widzą. Wszyscy za pomocą internetu i mediów obserwują ten koszmar. Gaza jest jak globalne igrzyska w Koloseum. Tym samym każdy, kto się nie sprzeciwia, okazuje się współwinny. W teorii ta wspólnota zbrodni ogarnia cały świat, ale dobrze wiemy, że tak naprawdę Zachód – bo to jego atakują nasi nowi sprawiedliwi i to w jego obrębie chcą utworzyć nową hierarchię cnoty, na której szczycie będą. Radykalizm aktywistów antyizraelskich jest tak mocny, że nawet skrajnie niechętne Izraelowi media, jak Reuters, AP, Guardian etc., okazują się, na końcu, elementem zbrodni, nowego Holocaustu. Dlaczego? Bo ośmieliły się niuansować, podać w wątpliwość jakieś stwierdzenie Hamasu, nie zgodzić się z kolejnym porównaniem etc. A niuansowanie czegoś potworniejszego niż Holocaust jest przecież ostatecznym upadkiem człowieczeństwa. W ten sposób to moralne wzmożenie staje się też idealnym narzędziem cenzury, terroryzowania nawet nie tych, którzy ośmielają się krytykować Hamas czy wręcz wspierać Izrael. Wspólnikami nowego Holocaustu są też ci, którzy za mało krytykują.

Ten iście religijny manicheizm ma też inny cel, poza wspomnianym uwznioślenieniem, wręcz sakralnym, nowej, lepszej wspólnoty. Za jego pomocą antyizraelski mesjanizm może przedstawiać konstytutywne dla niego patologie jako nie wady, lecz wręcz akty cnoty. To, co, w normalnym świecie, przy uznaniu najbardziej prymarnych, zachodnich norm cywilizacyjnych, powinno go dyskwalifikować, w tym nowym ujęciu okazuje się wręcz jego atutem. Po pierwsze, w ten sposób bardzo łatwo tłumaczyć najróżniejsze, nawet najbardziej kompromitujące sojusze. Okazuje się, że można stać ramię w ramię z organizacjami nawołującymi do ludobójstwa, z islamistami zapowiadającymi ostateczne wymordowanie wszystkich Żydów, z najróżniejszymi dyktatorami i mordercami. Można udostępniać memy czy wiadomości ze stron, które nawołują do zabijania izraelskich dzieci etc. Można traktować jako autorytet Saddama Husajna (człowieka, który zagazował całe wsie i miasteczka kurdyjskie, górne granice mówią o ponad 200 tys. cywilnych ofiar) i przytaczać jego przemówienie, w którym określa on

eprasa.pl f7e0bb845d

Gazę mianem „grzechu, za który odpowiedzialny jest cały Zachód" (jest ono regularnie wrzucane na palestyńskie strony i stamtąd z radością ściągane przez zachodnich aktywistów, także polskich). Na tej samej zasadzie reżim w Iranie staje się walczącym ze złem imperializmu buntownikiem, jego terrorystyczne wypustki w rozmaitych państwach – czy to Syrii, Libanie czy Jemenie – są bojownikami o wolność bądź „reprezentantami uciśnionych" etc. Chiński totalitarny reżim okazuje się też mieć element radykalnie pozytywny, jako wspierający Hamas. Zaś skrwawieni bandyci i dyktatorzy z Ameryki Łacińskiej okazują się idolami naszych antyizraelskich aktywistów, bo krytykują Netanjahu.

Takie podejście jest zrozumiałe, skoro świat, w obliczu Gazy, musi zostać na nowo stworzony. Liczy się każdy, kto jest gotów stanąć po stronie „światła», sprzeciwiając się ostatecznemu złu. Kto w takiej sytuacji czepiałby się takich szczegółów, jak popieranie mordowania dzieci, wyrażanie radości z gwałcenia kobiet i ich zabijania czy posiadania „na koncie" dziesiątek tysięcy kurdyjskich trupów. druga, nieważne jak straszna, to „pikuś" przy zbrodniach w Gazie. Że Putin, porównując do Netanjahu, to właściwie nikt (znów, tego typu twierdzenia wskazują na skrajną ignorancję, zważywszy na to, co urządził moskiewski dyktator w Czeczenii czy Syrii). Oczywiście tylko nieliczni gotowi są wielbić Putina oficjalnie. Jednak w świecie, którego rdzeniem jest mit o Gazie, hierarchia zła jest oczywista. A jak już wiemy, tylko Gaza jest ważna i ostateczna. Zauważmy, że nasi antyizraelscy mesjaniści nie mają wyjścia, jeśli faktycznie biorą ten dogmat za prawdziwy. Jeśli faktycznie Gaza jest ostatecznym probierzem wszystkiego, to Chiny, Putin i Iran oraz ich media zachowują się „jak trzeba". Reprezentują człowieczeństwo oraz go bronią. Nawet jeśli mają swoje grzechy na sumieniu, to, w ostatecznym rozrachunku stoją w najważniejszym z konfliktów w dziejach świata po właściwej stronie. A nawet jeśli nie są „dobrymi", to na pewno są lepsze od tego skażonego Zachodu (zauważmy przy okazji, że taka narracja wystarczy do szczęścia wspomnianym reżimom). Te „narracyjne konsekwencje" obserwujemy już dziś w Polsce. Po-

Okazuje się, że to, co spotyka Palestyńczyków, jest... gorsze od Szoa. Jak jest to tłumaczone w opisywanym tu nowym mesjanizmie? Niezbyt błyskotliwie. Tym razem, w przeciwieństwie do Holocaustu, wszyscy widzą. Gaza jest jak globalne igrzyska w Koloseum. Tym samym każdy, kto się nie sprzeciwia, okazuje się współwinny.

W końcu trwa apokalipsa, ostateczne starcie i liczy się tylko jedno – Gaza. Poza tym w ten sposób ten mesjanizm może tłumaczyć swoją skrajną, ostentacyjną hipokryzję, widoczną w uderzającym milczeniu o innych mordach, jakie dokonywane są dziś na świecie. Tymczasem Ostateczna Zbrodnia wymusza skupienie się na niej. Więcej – jej wspomniana ostateczność, fakt, że nigdy coś tak potwornego się nie stało, obliguje wręcz, żeby tylko tym się zająć, żeby gro zasobów przeznaczyć właśnie na tę sprawę. W tym ujęciu „rozdrabnianie się" na jakieś mordy w Sudanie, Jemenie czy innych miejscach naszego globu byłoby wręcz grzechem.

Putin jest jednak spoko

Warto na zakończenie tego tekstu zauważyć, jakie konsekwencje geopolityczne ma opisywany tu antyizraelski mesjanizm, szczególnie istotne dla takiego kraju jak Polska. Tutaj pojawia się Putin. W polskiej wersji antyizraelskiego mesjanizmu argument ad putinum jest stały i ma on pokazywać hipokryzję tych, którzy bronią dziś Ukrainy, a nie chcą patrzeć na „jeszcze większe zło". Nagminnie porównuje się Izrael do Rosji z puentą, że jednak ta seł KO, Sterczewski, płynący z „flotyllą wolności" do Gazy, pozuje z dumą do zdjęć z ludźmi jawnie popierającymi Putina. „Krytyka Polityczna" jako jednego z głównych ekspertów od Izraela ma niejakiego Pawła Mościckiego, „analityka" tłumaczącego, że to właściwie wina NATO i Zachodu, że wojna w Ukrainie trwa i że Rosja została de facto zmuszona / sprowokowana do pełnoskalowej ofensywy. Skoro jesteśmy już przy „Krytyce": jeden z jej ważniejszych publicystów ostatnio oświadczył, że każdy, kto nie dołącza do chóru potępiającego Izrael, jest kimś gorszym nawet od Brauna. Zważywszy na to, jak przedstawiany był (skądinąd słusznie) ten polityk we wspomnianym periodyku – jako oczywisty agent Kremla, a także skrajny antysemita – należy ten tekst uznać za jasną deklarację. Piąta kolumna wspierająca Rosję jest czymś lepszym niż ci, którzy nie chcą, ramię w ramię z nowymi Sprawiedliwymi, ruszyć na krucjatę przeciw Izraelowi i wspierającemu go USA. No i zupełnym przypadkiem akurat Braun jest wyjątkowo... antyizraelski.

Czy tego typu postawa, jak ta prezentowana przez wspomnianego autora", jest zasadna w państwie bezpośrednio zagrożonym Rosją? Na to pytanie niech sobie czytelnicy sami odpowiedzą. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Ewa Polak-Pałkiewicz

Puste miejsce po szkole

„Najgorsze nieszczęście dla narodu to nie dostać wychowania, którego było się godnym" – brzmi sentencja René Bazina przypomniana przez o. Tomasza. Celem kształcenia jest zdobycie zdolności odróżniania prawdy od fałszu – tak głosi klasyczna definicja. Człowiek wykształcony to ten, który poznaje i kocha prawdę. Czy nie brzmi to dziwnie i obco w murach dzisiejszej szkoły?

eprasa.pl/z0bb2d5d

Już 100 lat temu G.K. Chesterton zauważył, że rodzice bywają dziś infantylni i pozwalają instytucjom zabierać własne dzieci. Skąd bierze się przekonanie, że szkoła ma prawo do naszych dzieci? Zdaniem pisarza wzięło się to z zaszczepionego przez bolszewizm zwątpienia nie tylko w Boga, lecz przede wszystkim w człowieka. Religia chrześcijańska, Kościół i dawna etyka – powszechnie niegdyś uznawana – naprawdę wierzyły, „że ludzie mają prawa". Uznawały je, bo wierzyły, że przeciętny człowiek posiada szczególną władzę, przywileje i rodzaj autorytetu. Stąd bierze się przysługujące mu prawo własności i inne prawa (na przykład decydowania o własnym zdrowiu), ale nade wszystko człowiek posiada niezbywalne prawo do wychowania własnych dzieci w zgodzie z najlepiej pojmowanym ich dobrem.

Jest to całkowicie sprzeczne z dzisiejszymi zwyczajami – z państwową szkołą, której programy wychowawcze wymyślają ludzie zwani ekspertami, z przymusem nauczania, z podejrzanymi eksperymentami psychopedagogicznymi, które uchodzą najczęściej bez niczyjego zainteresowania i protestu.

Dokąd chrześcijaństwo było przewodnią siłą cywilizacyjną, zostawiało te sprawy w rękach prywatnych osób, rodziców. Nikt nie mógł na nich wymuszać, by oddawali dzieci do szkół, w dodatku nieustannie reformowanych, jak dzieje się to dzisiaj, zgodnie ze standardami narzucanymi przez międzynarodowe organizacje, takie jak UNESCO czy WHO. Potrafili uczyć je w domu, potrafili dobierać dla nich osobiście nauczycieli lub wybierać szkoły, nawet na innych kontynentach, jeśli chcieli i gdy mieli do nich zaufanie. W okresie międzywojennym państwowe szkoły w Polsce zyskały sobie uzasadnione zaufanie rodziców, były oczkiem w głowie niepodległego i suwerennego państwa, stanowiły jedną z jego najbardziej szanowanych instytucji, potrafiły uczyć i wychowywać.

Pogląd na świat dzisiejszych rodziców bywa bardzo liberalny i zarazem bezbrzeżnie naiwny. Zaufanie do różnych międzynarodowych gremiów, rzekomo eksperckich, jest całkowicie bezpodstawne, a same tego typu organizacje, w dużym stopniu odpowiedzialne za dzisiejszy tzw. system nauczania, odnoszą się do rodziców z pogardą. Zwykły człowiek, ich zdaniem, nigdy nie dorasta do roli wychowawcy i nauczyciela – nawet do roli tego, kto wybiera nauczyciela dla swoich dzieci. Nie można go obdarzyć żadnymi prawami w tym względzie, przeciwnie – trzeba mu je odbierać.

Stado trzeba wytresować

Dzisiejszy skandal z wprowadzeniem do polskich szkół edukacji seksualnej (zwanej zdrowotną), czyli przymusowej deprawacji, a zabierania religii; rozbudzania psychoz i moralnych chorób, jest efektem takiego myślenia, a zarazem takiego stanu oświaty publicznej, jaki przez wiele lat wypracowały organizacje międzynarodowe na usługach globalistów, kryptokomunistów i marksistów. Dzieci i młodzież – dla uzurpatorów w roli wyznaczających standardy nauczania – to ogłupiałe stado, które trzeba poddać przymusowej tresurze, by zrobić z nich grupę przydatną nowej cywilizacji, uczynić z nich posłusznych niewolników. Jest to dalszy ciąg bolszewickiej rebelii przeciw obywatelom. Dawna demokracja zakładała, że człowiek w społeczeństwie powinien otrzymać maksimum dobrostanu, bezpieczeństwa, możliwości rozwoju etc. – tyle, ile tylko możliwe. Dziś, przy rzekomo szczytowym rozwoju cywilizacyjnym, wydziela się mu na kartki, kroi w plasterki te przynależne mu dobra: zamożność, edukację, dostęp do informacji, zdrową żywność, nawet opiekę zdrowotną etc. Pod presją i na pewnych warunkach. Obowiązkowa szkoła – dla większości ludzi siłą rzeczy szkoła państwowa – jest tego najlepszym przykładem. W przypadku obecnej Polski szkoła ta ma także coraz bardziej przypominać szkołę niemiecką, by kształtować rodzinę na niemiecką modłę.

Pomysł niemiecki – a ściślej rzecz biorąc hitlerowski – na rodzinę jest taki, by pod hasłem jej obrony uzależnić ją całkowicie od państwa, narzucić jej jego ideologię i sposób funkcjonowania, bo rodzina ma być rodzajem użytecznej maszynerii – przypominał Chesterton jeszcze w latach 30. ubiegłego wieku. „Hitlerowiec, który broni rodziny, to wizja sama w sobie monstrualna. Autorytet rodziców ma zostać zachowany, jakżeby nie, a to w ten mianowicie sposób, że to władza podyktuje rodzicom, co muszą robić… Hitler wtrąca się w życie rodzinne jeszcze bardziej niż bolszewicy".

Tymczasem w prawdziwej wolnej republice na dachu każdego prywatnego domu powinna powiewać suwerenna flaga – przypomina pisarz. Każdy obywatel powinien szanować prawa drugiego obywatela. „To kwestia nie tyle równości, ile także godności".

Dzieci zamożnych rodziców uczą się łaciny i greki

W tym morzu oświatowej tandety znajdują się wyspy, trudno dostępne dla zwykłego człowieka. Zamożni mieszkańcy krajów zachodnich oddają dziś swoje dzieci do elitarnych szkół, gdzie program nauczania nie odbiega od klasycznych, jeszcze przedwojennych, a nawet dużo wcześniejszych wzorców, gdzie obowiązkowa jest łacina, często też greka, zakazane są smartfony. Panująca tu dyscyplina pozwala młodemu człowiekowi skupić się na uczeniu się, przyjmowaniu

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl f7e0bb845d

wiedzy od tego, kto jest w tej dziedzinie autorytetem, a nie na „przeżywaniu", „doświadczaniu" i byciu „kreatywnym" oraz wymyślaniu strategii – z pomocą zatrudnianych przez szkoły tabunów psychologów – jakby tu prześlizgnąć się przez wszystkie bariery, nie umiejąc nic. Rodzice z tych kręgów społecznych nie mają wątpliwości, że język łaciński jest dla ich dzieci właściwym wychowawcą.

„Język łaciński jest, jak żaden inny na świecie, wychowawcą do właściwego i uporządkowanego myślenia" – pisał Friedrich Wilhelm Foerster[1]. „To może właśnie dlatego, że był to język narodu, który nie produkował myśli, ale instytucje, a mianowicie instytucje tak silnie zakorzenione w rzeczywistości życia i natury ludzkiej, że wydają się niezniszczalne, podobnie jak stare kamienie ciosowe rzymskiego Kapitolu. Wielkość i siła wychowawcza języka łacińskiego polega na niezrównanej głębokości i konsekwencji każdej jego wypowiedzi. Każde zdanie wyprowadza się z jasnej i prostej rzeczywistości. Nic nie buja w powietrzu. Zawsze rzecz główna znajduje się na miejscu głównym, wszystkie proporcje są jasno uporządkowane, wszelkie stosunki zabezpieczone przed nieporozumieniem. Nigdzie nie jest trudniej o kłamstwo aniżeli w atmosferze tej wysoko zdyscyplinowanej rzeczywistości, w której się nie utrzyma i nie sformułuje żadna niejasność, żadna niepewność, żaden wybieg. Wszystko jest męskim podziałem, jasnym rozdziałem, niewzruszoną hierarchią przedmiotów. Wszystko jest monumentalnym stylem, tj. wykluczeniem wszystkiego, co zbyteczne".

Znamienne, że dziś w Polsce, poza wydziałami filologii klasycznej i znikomą garstką szkół katolickich, łacina przetrwała – w szczątkowej postaci – tylko w medycynie.

Rodzina niczym twierdza

O tę godność, świętość i nietykalność prywatnego domu, który powinien być niczym zamek warowny – chroniący rodzinę i dzieci, chroniący ich duszę, psychikę, umysły, wrażliwość, niewinność – upominać się dziś muszą na ulicach polscy rodzice i nauczyciele.

Pascal Bernardin, francuski socjolog i pedagog, autor książki „Machiavel nauczycielem. Manipulacje w szkolnictwie. Reformy czy plan zniszczenia?" już przed ponad 30 laty przestrzegał, że nieustannie „doskonalony" system edukacyjny stanowi główny nośnik rewolucji psychologicznej, która ma objąć poprzez szkołę całe społeczeństwo. Jest ona z samej swojej istoty totalitarna. Rewolucjoniści nie zmienili celu tylko strategię, zmierzając do rewolucji społecznej, mundialistycznej i kryptokomunistycznej. Największą przeszkodą na jej drodze jest tradycyjna rodzina. Rewolucja chce podporządkować państwu nie tylko zachowania człowieka, lecz także najgłębszą jego istotę, jego duchowość.

„Na całym świecie ma miejsce rewolucja pedagogiczna, oparta o wyniki badań psychopedagogicznych" – pisał Pascal Bernardin. „Jest ona prowadzona przez specjalistów nauk edukacyjnych; wszyscy zostali wykształceni w tych samych środowiskach rewolucyjnych, a następnie obsadzili działy edukacji różnych międzynarodowych instytucji, takich jak UNECO, rada Europy, Komisja Brukselska, OECD itd. Ta rewolucja pedagogiczna jako cel stawia sobie narzucenie pewnej etyki, »etyki ku stworzeniu nowego społeczeństwa, a także ustanowienie międzykulturowego społeczeństwa«"[2].

Struktura „bardziej giętka"

Cała koncepcja przemodelowania psychiki człowieka nie ogranicza się do tego jednego przedmiotu, o jakim dziś się tak dużo mówi, ani tylko do szkoły i edukacji. Coraz częściej pada hasło o permanentnej edukacji. Nikt się z tego nie może wywinąć, wszyscy mamy być poddawani nieustannej obróbce. Jeden z chińskich polityków w przemówieniu na rozpoczęcie seminarium zorganizowanego pod patronatem UNESCO w 1989 roku w Pekinie stwierdził: „Wchodzimy w XXI wiek. Wyzwanie, jakiemu edukacja musi stawić czoło, jest poważne i globalne. Z tej racji misja edukacji będzie zarazem trudna i chwalebna. W XXI wieku ten, kto będzie kontrolował wychowanie, będzie miał inicjatywę. Sama koncepcja wychowania zostanie odnowiona. Wychowanie będzie permanentne; całe społeczeństwo będzie mu się uważnie przyglądać: struktura wychowania będzie bardziej giętka i bardziej zróżnicowana; wychowanie stworzy sieć ogarniającą całe społeczeństwo[3]". To wtedy ustalono także, że treści przekazywane w nauczaniu powinny przygotowywać dzieci do relacji seksualnych.

Obserwujemy dziś wyjątkowo zuchwałą próbę wprowadzenia w życie jednego z elementów tej rewolucji. Cały plan jest dużo szerszy. Ale czy plan ten się

[1] Niemiecki pedagog, etyk, filozof i polityk. Krytyk pruskiego nacjonalizmu, przeciwnik Hitlera.

[2] P. Bernardin, „Machiavel nauczycielem. Manipulacje w szkolnictwie. Reformy czy plan zniszczenia?", przekład Paweł Kalina, Wyd. Antyk Marcin Dybowski, Komorów.

[3] Tamże.

eprasa.pl f7e0bb845d

powiedzie? Rodzina nie jest wynalazkiem żadnego systemu. Jest ponadsystemowa. Nie zawdzięcza swojego istnienia żadnemu kaprysowi ziemskiego przywódcy. To wynalazek Boga. Ma za zadanie przedłużyć życie ludzkie na Ziemi. Ten zamysł jest odwieczny i tylko Stwórca może zadecydować o jego schyłku, przerwaniu. Dlatego w sprawie swoich dzieci dorośli nie walczą sami.

„Rodzina ma pierwszeństwo natury, a więc i praw nad społeczeństwami politycznymi" – mówił w jednym z wykładów dla rodziców francuski dominikanin wierny Tradycji Kościoła, ojciec Tomasz[4]. To rodzinie w dziele wychowania powinno pomagać państwo i Kościół. „Najgorsze nieszczęście dla narodu to nie dostać wychowania, którego było się godnym" – brzmi sentencja René Bazina przypomniana przez o. Tomasza. Celem kształcenia jest zdobycie zdolności odróżniania prawdy od fałszu – tak głosi klasyczna definicja. Człowiek wykształcony to ten, który poznaje i kocha prawdę. Czy nie brzmi to dziwnie i obco w murach dzisiejszej szkoły?

„Nabycie wiedzy stało się kwestią managementu; wraz z nieomylnymi metodami. Kto jeszcze głosi potrzebę oświecenia i ukształtowania umysłu? Żeby to głosić należałoby przynajmniej wierzyć w umysł dziecięcy. Jednak nikt już w niego nie wierzy, mam na myśli, że nikt już nie wierzy w umysł pojmowany jako wyższa władza duszy pozwalająca na kształtowanie pojęć i orzeczeń. Tym bardziej nikt już nie wierzy, że małe dzieci posiadają tak pojmowaną inteligencję. Wszyscy, za Rousseau, myślą, że dzieci są jej całkowicie pozbawione. Czy uzyskają ją w wieku siedmiu lat, który kiedyś nazywano wiekiem rozumu? Z pewnością nie. A więc kiedy? Nikt tego nie wie. Być może nigdy" (Jean de Viguerie, francuski historyk literatury)[5]. Ten sam autor podkreśla, że dziś w wieku 12 lat większość dzieci „nie wie zupełnie nic". Utrzymuje się je w permanentnym stanie osłabienia umysłu. „A przecież wszystko, czego dziecko uczy się do lat dwunastu, zapamiętuje przez całe życie. Cóż za marnotrawstwo, cóż za przestępstwo, że się nie nauczyło nic prawdziwego dzieci! W przeszłości raczej ulepszało się ludzi głupich, czyniono ich mniej głupimi, a niektórych nawet mądrymi. Dziś z ludzi mądrych robi się głupców. Oto wielka zmiana. Myślę, że nigdy nie było tak wielkiej zmiany"[6].

[4] O. Tomasz OP, „Chrześcijański nauczyciel w chrześcijańskiej szkole", „Zawsze wierni", IX–X 2016.

[5] Tamże.

[6] Jean de Viguerie, „Les anciennes educations et celle d`aujord`huit", „Action Familiale er Scolaire", IV 1993 [za O. Tomasz OP, op. cit.].

Czego brakuje najbardziej

Ojciec Tomasz OP w cytowanym wykładzie zwraca uwagę na pewne rzadko dostrzegane następstwo oświeceniowej filozofii XVIII wieku – widoczne zwłaszcza w dziedzinie wykształcenia – utratę radości. Dlaczego? „[…] umysł jest pozbawiony swego właściwego przedmiotu, nie ma już mądrości, człowiek skupia się na rzeczach materialnych, a nie jak niegdyś, na kontemplacji prawd odwiecznych. Nuda, którą wieje we współczesnej szkole, bierze się w dużej mierze z tego powodu. Albowiem jakakolwiek prawdziwa kontemplacja rzeczywistej prawdy wprawia umysł w zachwyt, a w konsekwencji skutkuje radością"[7].

Konkluzja autora brzmi: szkoła katolicka powinna na pierwszym miejscu stawiać mądrość teologiczną i filozoficzną. To one są tymi ogólnymi naukami, które dają innym dziedzinom wiedzy ich podstawy, główne zasady. „Objawienie jest pierwszą miarą każdej nauki" (J.-B. Aubry). Tego mają prawo domagać się katoliccy rodzice oddający dzieci do szkół katolickich. A gdy takich szkół brakuje, wziąć sprawy w swoje ręce. Nie dać się oszustom od wychowania i edukacji, w których uczeń traktowany jest utylitarnie i jego wiedza ma służyć czysto utylitarnym celom.

„Jak długo można słuchać, że wszystko, co mówisz, myślisz i w co wierzysz, jest błędne, przestarzałe lub wręcz zbrodnicze? W końcu ich cierpliwość się wyczerpała „– pisał Terry R. Yormark II z Chicago krótko po zwycięstwie zwykłych Amerykanów w ostatnich wyborach prezydenckich. Zdrowy rozsądek, dobre obyczaje, obrona dzieci przed deprawacją, sprzeciw wobec innowacji pedagogicznych – czyli perfidnych technik prania mózgu – ochrona prywatności i intymności rodziny powracają w niektórych krajach Zachodu jako wyraźnie wyartykułowany postulat, a wręcz żądanie wobec państwa i zarazem konkretne zadanie dorosłych wobec własnego po-

[7] Tamże. Autor przytacza także w tym miejscu diagnozy innego francuskiego dominikanina, ojca Rogera-Thomasa Calmela (1914–1975), który był znawcą filozofii św. Tomasza z Akwinu i głęboko analizował skutki rewolucji w pedagogice. W książce „Ecole chrétienne renouvelée" („Odnowiona szkoła katolicka"), która stała się przewodnikiem dla wielu szkół Tradycji we Francji, ukazuje „prymat obiektywności nad subiektywnością, hierarchię godności wśród dziedzin poznania, konieczność wpojenia dzieciom prawdziwej kultury, miejsce, jakie powinien zajmować św. Tomasz w procesie kształcenia".

eprasa.pl f7e0bb845d

tomstwa. Przed polskimi rodzicami otwiera się wspaniała perspektywa – bo co może być piękniejszego niż starania o prawdziwe dobro i bezpieczeństwo własnych dzieci, nawet jeżeli wymaga ono wysiłku, którego nikt wcześniej nie mógł przewidzieć…

Czym jest religia w szkole

W dyskusjach ludzi Kościoła z nowymi władzami politycznymi – rządzącymi w Polsce od roku 2023 – brakuje jednego: przyznania, że katolicyzm nie jest religią wymyśloną przez człowieka. Jest objawiona przez Boga. Jest jedyną prawdziwą religią. I do jej obrony jesteśmy – jeśli wierzymy – zobowiązani. Nie możemy być defetystami, którzy przepraszają wszystkich naokoło, że żyją. Obowiązkiem nie tylko Kościoła, lecz także państwa, gdy przeważają w nim katolicy, jest strzeżenie wiary, zachowanie i rozkrzewianie jedynej prawdziwej religii; ona nie jest dodatkiem do życia, ale ukazuje cały jego sens. O tym mówił Jan Paweł II w marcu 1981 roku na spotkaniu z rzymską grupą duchownych zajmujących się sprawami katechezy. Podkreślał, że zadanie nauczania religii w szkołach publicznych spoczywa na państwie jako część jego misji oświatowej. Jednak rzymscy katechiści byli przekonani, że cele nauczania religii są czysto kulturowe, uczniów należy „zapoznawać z całym wachlarzem wierzeń i ideologii, »aby byli w stanie dokonać wolnego wyboru«". Ponadto „katechetom nie płaci się za prowadzenie katechezy czy za nauczanie religii, lecz za to, by służyli człowiekowi[8]".

Gdy słyszy się zewsząd wychwalanie bogactwa i czcigodnych tradycji innych religii oraz uroczyste przeprosiny za rzekome grzechy katolicyzmu, trudno się dziwić utracie wiary przez rzesze ludzi. Lekcje religii powinny się temu zdecydowanie przeciwstawiać i dostarczać rzetelnej wiedzy, by tego rodzaju nadużycia nie miały prawa bytu. Twierdzenie, że wszyscy są zbawieni niezależnie od tego, jak kto wierzy, stało się obowiązującą formułą; gdy ktoś mówi o protestanckim błędzie, dostaje pieczątkę nawiedzonego głupka, fanatyka. A przez 2 tys. lat chrześcijanie uważali, że tylko jedna religia jest prawdziwa.

Gdy sprawujący władzę wyznaczają program zmieniający sytuację katolików w państwie, program eliminacji Kościoła z życia publicznego, blokujący mu udział w wychowaniu dzieci, to trzeba przejść do ofensywy, a nie powoływać się na to, jak bardzo Kościół jest nowoczesny i idzie z prądem. I jak bardzo jest „terapeutyczny". Wartość „terapeutyczną" lekcji religii akcentowali w ostatnim liście na ten temat księża biskupi w Polsce (List Pasterski na XV Tydzień Wychowania). Gdy zakrzykuje się ludzi wierzących i przedstawicieli Kościoła, twierdząc, że świat się zmienił, nie można stać w miejscu, bo pewne rzeczy przechodzą nieodwołalnie do przeszłości, należy przywołać właściwe argumenty i niezafałszowany język, by się temu sprzeciwić.

„…by uznać Twoje panowanie"

Wiele dziś mówimy o naszych wrogach. W czasach takich jak te jest to konieczne. Ale dlaczego nie mówimy jasno o naszym największym Sojuszniku? Czy odważamy się publicznie wymawiać Jego imię? Czy boimy się uchodzić za naiwnych prostaczków, chodzące wykopaliska, rozpadające się starocie? Boimy się śmieszności. Nie wymawiamy imienia Jezusa Chrystusa. Nie ma też mowy o „Jezusie Chrystusie Królu" – a przecież Jego intronizację w naszym kraju z inicjatywy Kościoła, z udziałem przedstawicieli władz państwowych, świętowaliśmy w 2016 roku. 19 listopada tamtego roku, we wstępie do Jubileuszowego Aktu Przyjęcia Jezusa Chrystusa za Króla i Pana, jakiego dokonał polski Kościół wraz z przedstawicielami rządu, padły słowa: „My, Polacy, stajemy przed Tobą (wraz ze swymi władzami duchownymi i świeckimi), by uznać Twoje Panowanie, poddać się Twojemu Prawu, zawierzyć i poświęcić Tobie naszą Ojczyznę i cały Naród". Odwołano się do nauczania Kościoła głoszącego społeczne panowanie Chrystusa Króla, do encykliki Quas Primas Piusa XI, co było bardzo budujące[9]. Ale to wyjątkowe wydarzenie zawisło jakby w próżni.

Gdy mowa jest o społecznym panowaniu Chrystusa, wielu ludzi wierzących ogarnia przerażenie – „zaraz nam wygarną taliban, teokrację, fundamentalizm". Pojęcie Chrystusa Króla rzadko jest przez współczesnych katolików rozumiane. Nowomowa niektórych obrońców religii, powoływanie się na prawa człowieka, a nie na prawa Boga, czyni je jeszcze mniej jasnym.

„Chrystus nie jest królem i wyzwolicielem ziemskim, politycznym; nie przyjmuje władzy z obwołania ludu" – pisze ks. Edmundas Naujokaitis FSSPX. „Jego królowanie nie jest z tego świata, tzn. opiera się nie o siłę światową (taką jak potęga polityczna czy wojskowa, ustanowione przez człowieka prawo, głos opinii publicznej itp.), ale wyłącznie o siłę nadprzyrodzoną (a więc łaskę i jej sakramentalne środki,

[8] Romano Amerio, Iota unum. „Analiza zmian w Kościele katolickim w XX wieku", Wyd. Antyk Marcin Dybowski, Komorów 2009.

[9] Także do objawień S.B. Rozalii Celakówny.

eprasa.pl f7e0bb845d

Magisterium, władze kościelne, cnoty wewnętrzne poddanych). Pan Jezus nie powiedział jednak: »królestwo moje nie jest na tym świecie, a tylko w niebie, w wieczności«. Królestwo to jest duchowe i przenika wszystkie sprawy ziemskie, a do wzrostu na ziemi i do obrony już istniejących swych części używa wszystkich dozwolonych środków naturalnych, w tym własności, pomocy państwa, kar duchowych i doczesnych, nawet siły wojskowej. Poddani tego królestwa nie mogą jednak pokładać zbytniej nadziei w tych środkach i we własnych siłach: królestwo to wzrasta przez łaskę Bożą i pokorną współpracę z tą łaską, a nie przez próby zastępowania łaski własną aktywnością, zwłaszcza w dziedzinie politycznej. Obywatelem tego Królestwa człowiek staje się przez wewnętrzne nawrócenie, przez wiarę, sakramenty, walkę i doskonalenie duchowe, przez zaparcie się siebie i naśladowanie Chrystusa Ukrzyżowanego"[10].

Ten sam autor przytacza jeden z najbardziej znamiennych fragmentów owej niezwykle doniosłej, a zapomnianej dziś encykliki Piusa XI Quas primas z 1925 roku (ustanawiającej także Święto Chrystusa Króla): „»Błądziłby zresztą bardzo ten, kto by odmawiał Chrystusowi człowiekowi władzy nad jakimikolwiek sprawami doczesnymi, kiedy On od Ojca otrzymał nieograniczone prawo nad stworzeniem tak, iż wszystko poddane jest Jego woli. Jednakowoż dopóki żył na ziemi, wstrzymywał się zupełnie od wykonywania tejże władzy i jak niegdyś wzgardził troszczeniem się i posiadaniem rzeczy ludzkich, tak wówczas pozwolił i pozwala dziś na nie tym, którzy je posiadają. Przepięknie wyrażają to słowa: »Nie odbiera rzeczy ziemskich Ten, co daje królestwo niebieskie««".

„»I nie ma tu żadnej różnicy między jednostkami, rodzinami czy państwami, ponieważ ludzie złączeni w społeczeństwie nie mniej podlegają władzy Chrystusa, jak jednostki. Zaiste: On jest źródłem zbawienia dla pojedynczych ludzi, jak i dla ogółu: i nie ma w nikim innym zbawienia. Nie ma bowiem innego imienia pod niebem, danego ludziom, w którym byśmy mieli być zbawieni (Dz Ap 4,12), On sam jest sprawcą pomyślności i prawdziwej szczęśliwości tak dla pojedynczych obywateli, jak dla państwa. […] Niechże więc rządy państw nie wzbraniają się sami i wraz ze swoim narodem oddać królestwu Chrystusowemu publicznych oznak czci i posłuszeństwa, jeżeli pragną zachować nienaruszoną swą powagę i przyczynić się do pomnożenia pomyślności swej ojczyzny»»".

„»Doroczne zaś obchodzenie tego święta napomni także państwa, że tak jednostki, jak i władze i rządzący mają obowiązek czcić publicznie Chrystusa i słuchać; przywiedzie im bowiem na myśl ów sąd ostateczny, na którym Chrystus, nie tylko usunięty z życia publicznego, lecz także przez wzgardę zlekceważony i zapoznany, bardzo surowo pomści tak wielkie zniewagi, ponieważ godność Jego królewska tego się domaga, aby wszystkie państwa tak w wydawaniu praw i w wymierzaniu sprawiedliwości, jak też w wychowaniu młodzieży w zdrowej nauce i czystości obyczajów zastosowały się do przykazań Bożych i zasad chrześcijańskich«". Jak zdumiewająco pewnie brzmią słowa Piusa XI, niegdyś nuncjusza apostolskiego w Polsce, w porównaniu z dzisiejszą retoryką, rozmywającą podstawowe pojęcia, niektórych obrońców religii.

Bóg – Trójca Święta nie jest jakąś enigmatyczną siłą dobra, nieokreśloną mocą, czy, jak mawiają humaniści, „być może Opatrznością" – kimś pozbawionym twarzy, niepoznawalnym – ale konkretnym Bytem. Bogiem w trzech Osobach. Naszym Stwórcą.

Czy nadprzyrodzoność nie stała się dziś dla katolików zbyt trudnym problemem, niejasną teorią, której nie warto przywoływać, bo to wszystko takie nieuchwytne. I jakoś wstyd przed wesołym, kręcącym się wokół siebie światem… Nie warto o niej mówić dzieciom w szkołach. Nawet na lekcjach religii.

„Religia nie jest sprawą prywatną (choć jest sprawą osobistą!) – jest najważniejszą ze wszystkich spraw publicznych (res publica). Państwo ma obowiązek publicznego wyznawania prawdziwej religii, tzn. religii katolickiej, przestrzegania wszystkich praw Kościoła jako społeczności odrębnej od państwa i doskonałej, a także obrony katolików przed wpływem fałszywych idei" – przypomina ks. Naujokaitis. Czy oznacza to wprowadzenie talibanu, fundamentalizmu, teokracji, jak wielu ludzi dziś jest przekonanych? Tak zakrzyknęliby zgodnie wszyscy tropiciele „faszyzmu" w katolicyzmie. Tylko zupełna ignorancja i zła wola każe z tymi pojęciami łączyć fakt, że w państwie religią panującą jest katolicyzm.

O celu ostatecznym każdego z nas, którym nie jest ziemia, powinny być nauczane dzieci na lekcjach religii w szkole. Na lekcjach, które pomogą młodym ludziom, już wkrótce dorosłym, odrzucić utopie i powrócić do rzeczywistości. Nie da się uczyć chrześcijańskiego Credo, zapominając o konieczności wyciągania wszystkich konsekwencji ze swojej wiary. „W ostateczności bowiem kwestia, czy Chrystus powinien panować nad narodami, sprowadza się do pytania, czy Bóg ma prawo wymagać czegokolwiek od kogokolwiek" – jak podsumował jeden z publicystów katolickich. ■

[10] ks. E. Naujokaitis, „Panowanie Chrystusa Króla a wolność religijna", „Zawsze wierni, IX–X 2016.

eprasa.pl f7e0bb845d

Małgorzata Matuszak

Pojawienie się sztucznej inteligencji w XXI wieku nie jest jedynie kolejną technologiczną innowacją. To wydarzenie, które wstrząsa naszą zbiorową wyobraźnią i – być może po raz pierwszy od wynalezienia Internetu – stawia nas w obliczu konieczności ponownego przemyślenia, czym jest rzeczywistość.

AI UKRADNIE NAM RZECZYWISTOŚĆ?

eprasa.pl f7e0bb845d

Wraz z rozwojem AI pojawiają się pytania: Czy rzeczywistość, w której żyjemy, będzie nadal „nasza", czy też staniemy się mieszkańcami uniwersum tworzonego przez algorytmy? Czy AI wytworzy nam alternatywną rzeczywistość, czy jednak człowiek pozostanie strażnikiem realności, broniącym jej przed zalewem symulacji i nie zawsze prawdziwych informacji?

Od jaskini Platona do wirtualnych światów

Rozważania na temat tego, co realne, a co jest tylko odbiciem, nie zaczęły się wraz z cyfryzacją. Już Platon w micie o jaskini opisywał ludzi patrzących na cienie rzucane na ścianę i biorących je za jedyną rzeczywistość. Sztuczna inteligencja radykalnie przybliża nas do tego obrazu – algorytmy tworzą obrazy, głosy, teksty, wideo tak doskonałe, że odróżnienie ich od „oryginału" staje się coraz trudniejsze, a już niedługo pewnie praktycznie niemożliwe.

Jean Baudrillard pisał z kolei o symulakrach i symulacjach – znakach, które nie odsyłają już do rzeczywistości, lecz do innych znaków. W epoce AI to, co konsumujemy, jest często wytworem wytworów: memów generowanych przez boty, rekomendacji pisanych przez algorytmy czy deepfake'ów, które nie mają żadnego odpowiednika w świecie fizycznym.

Jeszcze dwie dekady temu mieliśmy jasne rozróżnienie między światem realnym a wirtualnym. Internet był jak okno – patrzyliśmy przez niego, ale nie mieszkaliśmy w nim. Dziś, wraz z rozwojem AI, granica ta nie tylko się zaciera. Ona pęka.

AI nie tylko porządkuje i interpretuje dane, lecz także aktywnie je produkuje. Deepfake, klony głosu, sztuczne profile w mediach społecznościowych, modele 3D miast i ludzi – to już nie alternatywny świat, lecz światy równoległe. Algorytmy personalizacji tworzą dla każdego z nas własny „feed rzeczywistości": dwie osoby przeglądające te same wydarzenia w sieci mogą widzieć dwie zupełnie różne interpretacje świata. To nie jest tylko filtr – to produkowanie odmiennych uniwersów informacyjnych.

Żyjemy dziś jednocześnie w trzech rzeczywistościach (warstwach): analogowej, cyfrowej i generatywnej, które coraz trudniej oddzielić od siebie. Analogowa to świat ciała, dotyku, zapachu i ciężaru – jedyna warstwa, której można realnie dotknąć i doświadczyć. Cyfrowa to odwzorowanie i archiwum, które miało być tylko lustrem rzeczywistości, a stało się równoległym światem naszych danych, profili i obrazów. Generatywna to nowy obszar, w którym algorytmy tworzą wydarzenia, postacie i dowody, które nigdy nie istniały, lecz wyglądają na prawdziwe. W tym potrójnym uniwersum łatwo się zgubić, bo każda z warstw wpływa na pozostałe, a im bardziej się przenikają, tym mocniej podkopują nasze poczucie stabilności. Dlatego kluczowe staje się nie tyle odrzucenie technologii, ile umiejętność świadomego przechodzenia między warstwami i rozpoznania, gdzie naprawdę jesteśmy. Bez tej zdolności ryzykujemy utratę nie tylko prawdy, lecz także samych siebie.

Hybrydyzacja świata realnego i wirtualnego

Czyha bowiem na nas wiele niebezpieczeństw. Jednym z najważniejszych pól, gdzie AI wytwarza alternatywną rzeczywistość, jest ekonomia uwagi. Algorytmy uczą się naszych preferencji, pragnień i lęków, by coraz skuteczniej sterować tym, co widzimy i jak reagujemy. Nie jest to już jedynie badanie preferencji konsumenckich, lecz projektowanie potrzeb w czasie rzeczywistym. Rekomendacje produktów, spersonalizowane reklamy, „dopasowane" treści informacyjne – wszystko to działa jak cyfrowe lustro, które nas odbija i… nas kształtuje. W ten sposób AI nie tylko odzwierciedla rzeczywistość, lecz także wyłania z danych potencjalne wersje świata, które następnie proponuje użytkownikowi. W ten sposób AI, generując reklamy, opinie klientów, fałszywe zdjęcia produktów lub „terapii", które nie istnieją, może zachęcać do zakupu czegoś, co nie istnieje, sprawiając, że ludzie tracą pieniądze i zdrowie.

Równolegle rośnie ryzyko manipulacji sferą publiczną. Fake newsy i deepfake już teraz wprowadzają chaos informacyjny, ale AI może to zjawisko przyspieszyć i zintensyfikować. Sfabrykowane nagrania, spreparowane wystąpienia polityków, „dowód" na przestępstwo, „wypowiedzi" osób publicznych, które nigdy nie padły – to potencjał realnych kryzysów, reputacyjnych i politycznych. Takie treści mogą wszak wywołać chaos polityczny, wpłynąć na wybory, zniszczyć reputację publiczną czy spowodować zamieszki.

Ożywianie zdjęć, śmieszne filmiki – na pierwszy rzut oka to niewinna zabawa. Widzimy memy, przeróbki, sympatyczny deepfake: ktoś śpiewa piosenkę, ktoś tańczy, ktoś mówi coś śmiesznego. Ale dokładnie to samo narzędzie potrafi zamienić niewinne zdjęcie na przykład w film pornograficzny. Tego typu materiały mogą kompromitować, niszczyć reputację, powadzić do szantażu, nękania, depresji. W niektórych raportach szacuje się nawet, że większość deepfake'ów w sieci to materiały o charakterze pornograficznym, najczęściej tworzone bez zgody ofiar.

W takim świecie kluczową umiejętnością staje się krytyczne myślenie – zdolność weryfikacji źródeł

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl f7e0bb845d

i kontekstu. Jednak najbardziej świadomy odbiorca może się pogubić, gdy fikcja będzie wyglądała bardziej przekonująco niż rzeczywistość.

Dlaczego oddajemy kontrolę nad sobą?

Wszystkie te przykłady mają wspólny mianownik: AI nie tyle „kłamie" wprost, co tworzy wiarygodne symulacje, które wyglądają na prawdziwe. W efekcie podkopuje fundament zaufania społecznego, bez niego zaś trudno o demokrację, prawo i wspólnotę.

Nasze pogubienie się w rzeczywistościach i zamazywanie granic między nimi jest korzystne dla wielu podmiotów. Im mniej bowiem ludzie odróżniają symulację od tego, co prawdziwe, tym łatwiej nimi manipulować, sprzedawać im produkty, kształtować ich postawy czy wpływać na ich wybory.

Oddajemy kontrolę nad sobą i pozwalamy sobą manipulować nie dlatego, że jesteśmy głupi. Zostaliśmy zaprojektowani do życia w zupełnie innym środowisku niż to, w którym teraz funkcjonujemy. Nasze naturalne mechanizmy, które działały w małych grupach, w świecie lokalnym i analogowym, w epoce globalnej i algorytmicznej czynią z nas łatwe cele. Innymi słowy, ludzki mózg po prostu nie nadąża za światem, który sam stworzył. Ewolucja wyposażyła nas w mechanizmy pozwalające nam szybko podejmować decyzje, ufać autorytetom, szukać przynależności i emocjonalnych potwierdzeń. W erze analogowej były to cechy adaptacyjne, w erze cyfrowej i generatywnej stały się słabością. Algorytmy karmią nasze skróty myślowe, grają na emocjach i podsuwają gotowe narracje, w które chętnie wierzymy, bo dają poczucie prostoty w świecie zbyt złożonym, by go ogarnąć. To nie lenistwo ani „wrodzona głupota", lecz mechanizm przystosowawczy, który dziś wymaga świadomej korekty – krytycznego myślenia, higieny informacyjnej i zakorzenienia w realnym świecie. Bez tego oddamy ster własnego życia w cudze ręce, nawet tego nie zauważając.

Sztuczna inteligencja nie ma złych intencji, ale zna nasze słabości lepiej niż my sami. Algorytmy uczą się naszych przyzwyczajeń, lęków, pragnień i emocji, analizując każdy klik, polubienie czy komentarz. Wiedzą, jakie treści wywołują w nas gniew, strach czy poczucie przynależności, i potrafią je podsuwać w sposób idealnie dopasowany. Nie oszukują nas wprost – manipulują tym, co już w nas jest. To sprawia, że decyzje, które wydają się „wolne", często są sterowane przez niewidzialne wzorce zachowań. AI staje się lustrem naszych słabości, wzmacniając je, i jednocześnie daje poczucie kontroli i komfortu. Dlatego jedyną ochroną pozostaje świadoma obecność w świecie cyfrowym i generatywnym, krytyczne myślenie oraz mocne zakorzenienie w warstwie analogowej – w świecie, którego maszyny nie potrafią w pełni zastąpić.

I jeszcze jedno: w świecie, w którym technologie pozwalają ukraść czyjś wizerunek, głos, a nawet zachowania, konieczna staje się prawna i etyczna obrona integralności osoby. Potrzebujemy regulacji dotyczących własności danych, prawa do bycia zapomnianym, prawa do autentyczności i zgody na wykorzystanie wizerunku w symulacjach AI. Nie chodzi tylko o ochronę prywatności, lecz także o ochronę samej kategorii „realności" jako dobra wspólnego.

Człowiek jako strażnik prawdy

Choć wiele się dzisiaj mówi – i słusznie – o „zagrożeniach ze strony AI", to trzeba pamiętać o jednym: to nie maszyny są winne nadużyciom. Winni są ludzie, którzy używają technologii w sposób niemoralny, pazerny, przekraczający granice przyzwoitości. AI jest narzędziem, a każde narzędzie można użyć na dwa sposoby: dla dobra i dla zła. W historii ludzkości mieliśmy już wynalazki, które budziły podziw i strach jednocześnie – od druku po energię atomową. Sztuczna inteligencja nie różni się pod tym względem, choć skala i prędkość jej oddziaływania są bezprecedensowe.

Możemy patrzeć na AI jak na wielkie laboratorium symulacji. W nim testujemy granice percepcji, etyki i prawa. Ale ostatecznie to człowiek, ze swoim pragnieniem prawdy i poczuciem realności, decyduje, jak wykorzystać tę technologię. Być może w świecie wirtualnego multiwersum będzie więcej możliwe, ale nic nie będzie już prawdziwe. To człowiek jedynie – świadomy, etyczny i krytyczny – może strzec tego, co realne, ustanawiać normy i ograniczenia oraz wprowadzać do technologii pierwiastek humanistyczny.

Rzeczywistość może „wyprodukować" AI, ale AI nie może „wyprodukować" rzeczywistości w sensie ontologicznym. Może tworzyć jej modele, może zafałszowywać nasze postrzeganie, ale nie zastąpi kontaktu z tym, co istnieje naprawdę. I właśnie to jest najważniejsza lekcja epoki sztucznej inteligencji: realny świat jest niezbędny, by człowiek mógł pozostać człowiekiem.

Nie żyjemy w epoce, w której maszyny mają świadomość, ale już w takiej, w której mogą przejąć praktyczną władzę nad informacją, emocjami i decyzjami, jeśli im na to pozwolimy. I właśnie dlatego – paradoksalnie – strażnikiem prawdy musi być człowiek, jego etyka, jego prawo i jego czujność. Nie dlatego, że maszyny się zbuntują, lecz dlatego, że zawsze znajdzie się ktoś, kto zechce użyć ich przeciwko innym. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Małgorzata Matuszak

Czym jest... uważność

Uważność wiąże się z pewnym wyborem: to wybór bycia świadomym, wybór bycia w świadomości tego, co jest. Można przecież być rozkojarzonym i nieuważnym, zwłaszcza wobec tego, do czego nie przykładamy uwagi. Uważność jest więc szczególnego rodzaju obcowaniem z rzeczywistością, w którym nadajemy jej znaczenie. To skierowanie uwagi na to, co dla nas ważne. Uwaga nadaje wagę temu, czemu zostaje poświęcona.

„Uwaga" i „waga" wybrzmiewają w samym słowie „uważność". Polska etymologia tego słowa prowadzi nas do czasownika „uważać", czyli „baczyć, zwracać uwagę, pilnować, rozważać". Słychać w nim więc i ruch świadomości, i pierwiastek troski, i gest nadawania znaczenia. W innych językach odsłania się inna twarz tej samej postawy: angielski „mindfulness" mówi o pełni umysłu, palińskie „sati" o pamięci, trwaniu świadomości przy danym zjawisku.

Chociaż współcześnie uważność została mocno związana z medytacją wschodnią – rozumiana jako osiągany w praktykach medytacyjnych stan otwartości umysłu, pozwalający powrócić do bezpośredniego przeżywania świata – to jednak nie wyczerpuje to jej sensu. Uważność nie musi wynikać wyłącznie z medytacji; jest raczej postawą, która może być obecna w każdej chwili życia.

Uważność to stan szczególnego, przytomnego bycia wobec rzeczywistości, który pozwala odkryć i doświadczyć wagę tego, na czym się koncentrujemy. Postawie tej bliskie jest także rozważanie – głębsze namyślanie się nad tym, co jest. Rozważanie ma w sobie pierwiastek uwagi, ale jest bardziej rozległym namysłem, podczas gdy uważność dotyczy raczej tego, co momentalne i uchwytne jedynie w akcie uwagi. Uważność jest więc podstawą rozważania, tak jak uwaga jest podstawą nadawania wagi.

Uważność różni się od koncentracji. Ta druga zawęża i skupia świadomość jak snop światła na jednym punkcie; pierwsza zaś pozostaje szeroka i otwarta, obejmując całe pole doświadczenia, także to, co na obrzeżach percepcji, emocji, ciała. Koncentracja jest napięciem, uważność – przytomną obecnością. Uważność zawiera w sobie koncentrację, ale ją przekracza, bo nie tyle trzyma kurczowo przedmiot, ile pozwala mu być.

Uważność jest każdorazowym przywiązaniem uwagi do tego, co ważne. Akt świadomości bywa selektywny i nie obejmuje wszystkiego, co nas otacza, uważność zaś jest stanem gotowości do uczynienia ważnym tego, co jest i co obecne, tak aby docenić to, co istnieje. Uważna świadomość to akt, który nie tylko dostrzega, lecz także rozważa znaczenie.

Warto wspomnieć Simone Weil, która pisała, że „uwaga jest najrzadszą i najszczerszą formą hojności". Kiedy jesteśmy naprawdę uważni wobec drugiego człowieka, wobec natury, wobec własnego wnętrza, nie bierzemy, lecz dajemy. Oddajemy swój czas, swój umysł, swoją gotowość. W tym sensie uważność nie jest tylko psychicznym stanem, ale aktem etycznym, nie tyle praktyką medytacyjną, ile czymś bardziej fundamentalnym: postawą, w której centrum nie stawiamy siebie, lecz pozwalamy przemówić drugiemu człowiekowi i światu. Uważność jest więc ofiarowaniem obecności.

KIEDY JESTEŚMY NAPRAWDĘ UWAŻNI WOBEC DRUGIEGO CZŁOWIEKA, WOBEC NATURY, WOBEC WŁASNEGO WNĘTRZA, NIE BIERZEMY, LECZ DAJEMY. ODDAJEMY SWÓJ CZAS, SWÓJ UMYSŁ, SWOJĄ GOTOWOŚĆ.

Uważność wydobywa zarówno bytowy, jak i aksjologiczny aspekt bytów, które nas otaczają. Jest aktem wolności, który przemienia zwykłe patrzenie w dostrzeganie, zwykłe istnienie w pełne znaczenia bycie. Bycie uważnym nie oznacza posiadania świata, ale pozwolenie mu na to, by zaistniał w naszej świadomości, i tym samym oddanie mu tego, co najcenniejsze: swojej uwagi. W tym geście spełnia się hojność świadomości.

W tym sensie uważność jest także odpowiedzią na współczesny deficyt uwagi. W świecie nieustannego pobudzania, skracania komunikatów i przewijania obrazów łatwo gubi się to, co najważniejsze. Deficyt uwagi to zaś deficyt istnienia, jeśli bowiem nie zatrzymujemy się na niczym, nic także nie nabiera wagi. Uważność to zatem nie tylko metoda czy ćwiczenie, lecz przede wszystkim praktyka przywracania znaczenia światu i przywracania znaczenia sobie samym. To także powrót do wolności wyboru, komu i czemu daję swoją uwagę. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Krzysztof Wołodźko

Likwidacja CPK? Polakom zapaliła się czerwona lampka

CPK to nie może być wielkie lotnisko z pomocą linii kolejowych, obsługujące wyłącznie największe miasta. [...] Muszą być uwzględnione inne miejscowości, miasta średniej wielkości, większe miasta, które nie są aglomeracjami. One wszystkie potrzebują impulsu do rozwoju. [...] Nacisk społeczny powinien zmierzać do tego, by uświadomić rządzącym, że polaryzacyjno-dyfuzyjna doktryna społeczno-gospodarcza, która obowiązywała jeszcze kilkanaście lat temu za rządów koalicji PO i PSL, kompletnie nie działa. Mamy zbyt wiele dowodów, że doktryna skapywania dobrobytu od uprzywilejowanych wielkich miast do zapomnianych miejscowości nie działa – z posłanką Pauliną Matysiak rozmawia Krzysztof Wołodźko.

„Nowy Obywatel" czy „Krytyka Polityczna"?

[śmiech] Absolutnie quizowe pytanie. Zaglądam tu i tu, ale mam zaprenumerowanego „Nowego Obywatela" i znajduję tam więcej treści dla siebie. Choć ostatnio w „Krytyce Politycznej" trafiłam na interesujący artykuł Karola Trammera pod wymownym tytułem „Rząd Tuska tnie program Kolej Plus po linii politycznej".

O tym jeszcze porozmawiamy. Co zdecydowało, że znalazła się Pani po lewej strony sceny politycznej, nawet jeśli dla części komentatorów to paskudny alt-left, flirtujący z prawicą?

Bardzo nie lubię tych określeń: lib-left czy alt-left. Jeśli miałabym na siłę szukać dla siebie określenia, tobym powiedziała, że reprezentuję real-left [śmiech]. Reprezentuję lewicę prospołeczną, która skupia się na pracownikach, sprawach gospodarczych i rozwoju kraju. Do Razem dołączyłam w 2017 roku i od tego czasu – z mniejszymi lub większymi przygodami – działam w tej partii. W tamtym czasie mieszkałam w Toruniu i mocno zaangażowałam się w ich tamtejszą działalność. Stamtąd również startowałam do eurowyborów w 2019 roku. Dołączenie do Razem było bardzo przemyślaną decyzją – rzadko podejmuję emocjonalne kroki.

Jeśli ktoś myśli o angażowaniu się w politykę, nierzadko bierze pod uwagę, czy wybór partii, jej znaczenie ogólnokrajowe da mu pewien bonus, ułatwi karierę.

Ciekawie pan to ujął. Jeśli ktoś chce zdyskontować swoje polityczne zaangażowanie, pełnić różnorakie funkcje jako radny, poseł lub senator, to pewnie chętniej wybierze dużą formację z dobrymi notowaniami w sondażach. Ale jeśli szybka ścieżka kariery nie jest najważniejszym motywem, to program jest naprawdę kluczowy.

Głosowałam na Razem w 2015 roku, od początku to było moje ugrupowanie. Dwa lata biłam się z myślami, czy głębiej zaangażować się w politykę. Towarzyszyła mi myśl, częsta u kobiet: przecież ja się nie znam, tylu rzeczy jeszcze nie wiem. Krok po kroku poznawałam polityczne mechanizmy.

eprasa.pl f7e0bb845d

FOT. DAWID MAJEWSKI

PAULINA MATYSIAK (ur. 1984) – polityczka, filolożka, propagatorka transportu publicznego, rodowita kutnianka. Posłanka na Sejm RP IX i X kadencji z ramienia Partii Razem. Przewodnicząca Parlamentarnego zespołu ds. walki z wykluczeniem transportowym oraz Podkomisji ds. czytelnictwa i prawa autorskiego. Pracowała w Bibliotece Uniwersyteckiej w Toruniu oraz Urzędzie Miasta Kutno.

▶ Dziś jest Pani jedną z najbardziej rozpoznawalnych posłanek w Sejmie. Ale dlaczego lewica, a nie ultraliberałowie, centroprawica, narodowi liberałowie?

Jest dla mnie oczywiste, że państwo powinno wspierać obywateli. Nie ulega też wątpliwości, że nawet dość ułomne socjalnie państwo odpowiada za wiele obszarów naszego życia. Od początku działalności politycznej w Razem interesowały mnie kwestie związane z transportem publicznym i komunikacją masową na terenie województwa kujawsko-pomorskiego. Tak było, gdy w 2019 roku startowałam do europarlamentu. Dziś nadal w tych sprawach jest wiele do zrobienia.

Nie ukrywam, że moje polityczne wybory są związane z osobistymi doświadczeniami. Pochodzę z Kutna, to średniej wielkości miasto, liczące nieco ponad 40 tys. mieszkańców. Mieszkałam, pracowałam, studiowałam w Toruniu. Perspektywa miast średniej wielkości, z ich problemami i perspektywami, była i jest dla mnie ważna. Polska to nie tylko wielkie aglomeracje, powinniśmy stawiać nie tylko na największe miasta. Wsparcie władz centralnych musi być rozłożone równomiernie i trafiać także do mniejszych ośrodków.

▶ Kutno Panią bolało?

Absolutnie nie. Kocham to miasto, mieszkam tam nadal, dzielę życie prywatne i zawodowe między Kutno, Warszawę i wiele innych miejsc, które odwiedzam.

Kutno to na szczęście nie jest typowe, mocno sponiewierane transformacją miasto, o jakim możemy przeczytać w reportażach Magdaleny Okraski czy Marka Szymaniaka. To miasto nie zmarnowało swojego korzystnego położenia, dobrze wykorzystało szansę, jaką była współpraca z biznesem w ramach Specjalnej Strefy Ekonomicznej. Myślę również o miejscach pracy, ich jakości.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie każda miejscowość w Polsce miała takie możliwości, świetną lokalizację, sprawnych włodarzy. Czas studiów w Toruniu pokazał mi perspektywę wielu znajomych, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, którzy mieli znacznie bardziej pod górkę. Ich start w samodzielne, dorosłe życie bywał naprawdę trudny. Myślałam wówczas: państwo nie powinno być obojętne, wrogie czy bezczynne, potrzebujemy społecznej sprawiedliwości.

▶ To jest rzeczywista lewicowość?

Rzeczywista lewicowość to przede wszystkim troska o ludzi świata pracy. Większość z nas na różnych etapach swojego życia jest najemnymi pracownikami. To nie są sprawy nieistotne dla całej naszej egzystencji. Przeciwnie, decydują o niemal wszystkim.

Bardzo ważne dla mnie osobiście są sprawy związane z rozwojem infrastrukturalnym i wykluczeniem komunikacyjnym, kwestią dostępności kolei pasażerskiej, komunikacji autobusowej. To jest fundament usług publicznych, dzięki którym zwykli ludzie mają bliżej do urzędu, ośrodka zdrowia, placówek kulturalnych i oświatowych.

W ostatnim czasie sporo czasu zabierają mi kwestie pracownicze, sprawy zatrudnienia, szczególnie w przypadku podmiotów publicznych. Zajmuję się tym, co dzieje się choćby na Poczcie Polskiej i PKP Cargo – grupowe zwolnienia, pogorszenie warunków pracy. A przecież to państwo i związane z nim podmioty powinny być wzorem do naśladowania i dobrym pracodawcą! Niestety, twórczo rozwijają praktyki rodzimych „januszexów".

▶ Poczta Polska właśnie przymierza się do wypchnięcia kierowców i kurierów na samozatrudnienie.

Otwartym tekstem mówił o tym Sławomir Żurawski, wiceprezes zarządu Poczty Polskiej ds. operacji i logistyki. Mowa o pilotażu – to modny termin, kryje się za nim otwarcie furtki do mało korzystnych dla pracownic i pracowników zmian. Bo trudno za korzystne uznać wypychanie ich na jednoosobowe działalności gospodarcze. Przecież oni będą wykonywać te same obowiązki, ale na zdecydowanie gorszych warunkach, bez jakichkolwiek zabezpieczeń społecznych. Przypomnijmy, że tzw. program dobrowolnych odejść, uruchomiony na Poczcie na początku tego roku, wcale nie był tak dobrowolny: jeśli ktoś nie skorzystał, to wiedział, że trafi do zwolnień grupowych. A po zakończeniu tego programu mamy nabór na te same stanowiska.

▶ Poczta Polska przetrwa te deformy?

To droga donikąd, która pokazuje, że Poczta Polska i jej obecny zarząd nie mają sensownego pomysłu, jak wyjść z trapiących spółkę problemów. Nie ma pomysłu na wyjście z impasu. Jako

eprasa.pl f7e0bb845d

parlamentarzyści poza ogólnikami nie otrzymaliśmy żadnych informacji, jaki jest pomysł zarządu w coraz bardziej kryzysowej sytuacji. A przecież to nie jest firma jak każda inna: listonosze w bardzo wielu miejscowościach wciąż pełnią ważne społecznie funkcje, z ich pomocą wiele osób wciąż odbiera emerytury. Z pomocą poczty odbieramy urzędowe pisma.

To jest chaos – pracownicy, związkowcy nie wiedzą, ku czemu to wszystko ma zmierzać. A my wściekamy się na coraz gorszą jakość usług instytucji, która powinna być wizytówką dobrze działającego państwa polskiego. Za to odpowiedzialność ponosi obecny zarząd Poczty Polskiej. Także Ministerstwo Aktywów Państwowych nie ma szczęścia do kierownictwa.

Pani obecna pozycja w Razem: czarna owca? Outsiderka? Potencjalny kozioł ofiarny, gdy partia znów dojdzie do wniosku, że musi lepiej dogadywać się z liberalnymi formacjami?

[śmiech] Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Trzeba je zadać innym osobom. Nie odnajduję się w żadnej z tych ról.

Wciąż dobrze się czuje Pani w Razem?

Jestem posłanką tego ugrupowania. Nic się w tym względzie nie zmieniło, choć poprzedni rok był dla mnie trudny. Przez 180 dni byłam zawieszona w prawach członkini Razem, na czas postępowania, które dotyczyło założenia wraz z politykiem Prawa i Sprawiedliwości Marcinem Horałą stowarzyszenia „Tak dla Rozwoju". Od grudnia 2024 roku znów jestem pełnoprawną członkinią Razem, sprawa została zamknięta, żadnych kar na mnie nie nałożono.

Happy end?

Jeśli mam być szczera, parę spraw jest zadrą. Zawieszenie z ubiegłego roku spowodowało, że nie mogłam wystartować w wewnętrznych wyborach do władz centralnych partii. Odbieram to jako formę zablokowania mojej kandydatury – mogłam zostać odwieszona w listopadzie, nic nie stało na przeszkodzie, żeby to się stało przed wspomnianymi wyborami. Była jednak chęć zatrzymania – na formalnym poziomie – mojego startu.

Nie wiem, czy odniosłabym sukces, czy zostałabym współprzewodniczącą partii. Uważam za głęboko niesprawiedliwe, że nie dano mi tej szansy. Nie dano też szansy członkom partii zadecydowania w tej sprawie, pokazania, jak mnie postrzegają.

Opinia publiczna kojarzy Panią z zaangażowaniem w inicjatywę „Tak dla Rozwoju". Wcześniej, w 2019 roku, została Pani przewodniczącą Parlamentarnego zespołu ds. walki z wykluczeniem transportowym. Znam takich, którzy uważają, że to wydumany problem. Przecież „każdy może mieć samochód". A Koalicja Obywatelska wpadła na pomysł, że będzie walczyła z „wykluczeniem transportowym", do 17 lat obniżając wiek, w którym możliwe będzie zdawanie na prawo jazdy.

Może kogoś zdziwię, ale nie uważam, żeby samo obniżenie wieku, w którym można zrobić prawo jazdy, było złym pomysłem. Ważny jest sposób, w jaki byłoby to przeprowadzone, jakie obostrzenia dotknęłyby młodych, siedemnastoletnich kierowców. Problem polega moim zdaniem na tym, że luzujemy prawo, nie zmieniając nic, jeśli chodzi o jakość i sposób kształcenia kierowców. I to niezależnie od tego, ile mają lat.

I nic Pani w tej sprawie nie dziwi?

Głośna grafika, która pojawiła się w mediach społecznościowych Koalicji Obywatelskiej, dotycząca „prawka" dla siedemnastolatków, jest kuriozalna z innego powodu. Przygotował ją najwyraźniej ktoś, kto nie ma pojęcia, czym jest wykluczenie transportowe. Tego rodzaju narzędzia absolutnie systemowo nie załatwiają problemów komunikacyjnych w Polsce, nawet jeśli indywidualnie mogą być ułatwieniem. Politycy, partie powinny brać odpowiedzialność za to, w jaki sposób komunikują się z wyborcami i wyborczyniami. Inaczej ugrzęźniemy w demagogii.

A może to jest głębsze; może znakomita większość z nas tak właśnie widzi kwestię wykluczenia transportowego i możliwe remedium. Bardzo wielu ludzi, nie tylko z najmniejszych miejscowości, nie wierzy już, że doczeka u siebie kiedykolwiek sprawnego transportu publicznego. Jedno, drugie, trzecie auto w gospodarstwie domowym stało się jedyną odpowiedzią na problem.

Nie da się tego wykluczyć. Statystyki dotyczące liczby posiadanych samochodów na osobę w Polsce dobrze to pokazują. I to, że na wiejskich podwórkach stoją często już nie jedno auto czy dwa samochody, ale trzy czy cztery auta przestały być czymś dziwnym. To pociąga za sobą kolejne wyzwania, o których nie zawsze chcemy myśleć, natężenie ruchu, rosnące korki, nawet mniejsze miasta zamieniane w parkingi.

Owszem, są politycy, samorządowcy, posłowie, którzy uważają, że tematu nie ma, bo „każdy ma samochód". To się jednak mocno zmienia. Mamy dyskutowane przez opinię publiczną książki Olgi Gitkiewicz, Karola Trammera, mamy sporo reportaży prasowych na ten temat, które pokazują różne aspekty tego zjawiska. Choćby horrendalne nieraz kłopoty młodzieży z mniejszych miejscowości z dojazdami do szkoły. Z perspektywy wielkiego miasta wydaje się to niewyobrażalne, ale to straszne, gdy nastolatek musi wstawać o czwartej nad ranem, żeby dojechać do liceum. A musi jeszcze wrócić do domu, znaleźć czas na pozaszkolną naukę i inne obowiązki, kontakty towarzyskie, odpoczynek, sen.

Także politycy coraz częściej zdają sobie sprawę, że problem nie jest wydumany, dotyczy bardzo różnych grup społecznych i ma przełożenie na bardzo różne kwestie: edukację, zdrowie publiczne, rynek pracy, turystykę.

eprasa.pl f7e0bb845d

Pomyślałem o Krynicy Morskiej i szerzej – Mierzei Wiślanej, skąd transport autobusowy właściwie znika, gdy kończy się sezon turystyczny. A nieco podniszczone, ale solidne wiaty autobusowe na trasie zastąpiono niedawno małymi budkami, które po prostu ładnie wyglądają.

Na szczęście są też zmiany na lepsze. W czerwcu tego roku po 25 latach pociągi pasażerskie wróciły do Karpacza. W tym roku na Forum Ekonomiczne do Karpacza pojechałam właśnie pociągiem. Chciałam przetestować to połączenie. Jest bardzo wygodne, nowoczesne, klimatyzowane. Tylko żeby je uruchomić, potrzebna była wola polityczna i merytoryczne zaangażowanie także lokalnych władz.

Centralny Port Komunikacyjny – jakie rozwiązania uważa Pani za optymalne, w jaki sposób CPK jako infrastrukturalna sieć powinno łączyć poszczególne regiony Polski, większe ośrodki z mniejszymi.

To temat rzeka. Przede wszystkim warto przypomnieć, jak fenomenalna zmiana w ubiegłym roku zaszła w postrzeganiu tego projektu. Po zmianie rządów w 2023 roku nie było przecież pewne, co będzie dalej z tą inwestycją.

Społeczna presja zadziałała nad podziw?

Jestem przekonana, że bez tego nie byłoby decyzji o kontynuacji CPK. Gdy do władzy wrócił Donald Tusk, odpowiedzialnym za projekt został Maciej Lasek, kojarzony właściwie jako największy przeciwnik tej inwestycji. Opinii publicznej zapaliła się czerwona lampka: ludzie zaczęli pytać, o co chodzi z CPK, dlaczego go potrzebujemy. Okazało się, że społeczeństwo jest zainteresowane pogłębioną debatą na ten temat, z uwagą słuchano ekspertów, którzy znają się na ruchu lotniczym i kolejowym. Powstały stowarzyszenia „TAK dla CPK" i to moje, które przysporzyło mi partyjnych kłopotów, „TAK dla Rozwoju"; do Sejmu złożony też został projekt obywatelski.

Myślę też, że – wbrew opiniom rządzących dziś polityków – projekt był na tyle zaawansowanym poziomie, że nie dało się ukręcić mu głowy.

To jak powinien wyglądać Centralny Port Komunikacyjny?

Kluczowe jest to, żeby nie skończyło się na projekcie nakierowanym tylko na największe aglomeracje. To nie może być wielkie lotnisko z pomocą linii kolejowych, obsługujące wyłącznie największe miasta. Dziś słyszymy o tzw. Y, czyli trasie między Warszawą a Łodzią, rozgałęziającej się na Wrocław i Poznań. Tak to nie może wyglądać! Muszą być uwzględnione inne miejscowości, miasta średniej wielkości, większe miasta, które nie są aglomeracjami. One wszystkie potrzebują impulsu do rozwoju. Miasta średniej wielkości są lokalnie naprawdę ważnymi punktami regionalnego rozwoju. Trzeba pomóc im przyspieszyć.

Nacisk społeczny powinien zmierzać do tego, by uświadomić rządzącym, że polaryzacyjno-dyfuzyjna doktryna społeczno-gospodarcza, która obowiązywała jeszcze kilkanaście lat temu za rządów koalicji Platformy Obywatelskiej i Polskiego Stronnictwa Ludowego, kompletnie nie działa. Mamy zbyt wiele dowodów, że doktryna skapywania dobrobytu od uprzywilejowanych wielkich miast do zapomnianych miejscowości nie działa.

Jest Pani optymistką, pesymistką w tym względzie?

Pod znakiem zapytania stoją inne szprychy w ramach CPK. Nie ma informacji, że nie będą realizowane, ale nie ma też deklaracji, że będą. A to jest niepokojący sygnał, który daje do myślenia.

Dodam ważną rzecz – budowa CPK nie może odbywać się kosztem miejscowości i gmin, przez które inwestycja będzie przebiegać. Trzeba zadbać o to, żeby zrekompensować ewentualne straty mieszkańcom tych terenów, funkcjonującym tam instytucjom i biznesom.

CPK budzi znaczne emocje, jest tematem narodowym, wiele mówi o naszych ogólnospołecznych emocjach i aspiracjach. Znacznie mniej miejsca w debacie publicznej poświęcamy programowi Kolej Plus. A tam dzieją się złe rzeczy. Z projektu wypadają kolejne miasta: Turek, Jastrzębie Zdrój, Bogatynia. Co się dzieje? I dlaczego tak się dzieje?

Sprawa przyszłości Kolei Plus najmocniej żyje w poszczególnych regionach, których dotyczy. To zrozumiałe. Wspomniał pan o dużych, społecznych emocjach. Przypomnę historię z 2023 roku, gdy PKP Intercity zdecydowało się na podwyżkę cen biletów. Chodziło o dalekobieżne połączenia między Krakowem, Warszawą, Trójmiastem. Skala społecznej złości była tak duża, że temat stał się mocno medialny i po naprawdę krótkim czasie spółka wycofała się z nowych taryf. Warto przypomnieć, że w tym samym czasie doszło do szeregu podwyżek u regionalnych przewoźników. I ta sprawa budziła spore emocje wśród lokalnych społeczności, ale nie miała przełożenia na ogólnopolską debatę.

Myślę, że z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia, jeśli chodzi o kontrast między debatą o CPK i Koleją Plus. Co nie ułatwia politykom wcale sprawy, mogą wręcz usypiać ich czujność. Przecież lokalne społeczności naprawdę mocno żyją tym, czy będą miały obiecane w ramach Kolei Plus połączenia, czy zostaną ich pozbawione. Dla mieszkańców wspomnianych przez pana miejscowości to jest bardzo ważny, żywotny temat.

Szczególnie gdy pojawia się jasny kontekst polityczny...

Wracamy do tekstu Karola Trammera. Redaktor naczelny „Z Biegiem Szyn" na łamach „Krytyki Politycznej" wprost stawia tezę, że ukarano w ten sposób miasta, które w kolejnych wyborach głosują na polityków Prawa i Sprawiedliwości. Gadanina o „racjonalizacji wydatków" jest tylko pretekstem. Zjednoczona Prawica, gdy okazało się, że Kolej Plus cieszy się ogromnym po-

eprasa.pl f7e0bb845d

wodzeniem wśród władz samorządowych, zwiększyła budżet programu z 5,6 mld złotych, do 11,2 mld złotych.

To jest niesprawiedliwe. W tych miejscowościach, regionach mieszkają ludzie, którzy w pełni zasługują na to, żeby działał u nich transport publiczny. To nie są obywatele i obywatelki drugiej kategorii – ani ze względu na to, gdzie mieszkają, ani jak ewentualnie głosują.

▶ Sam wychowałem się przy zlikwidowanej w 1995 roku linii pasażerskiej Czempiń–Śrem–Jarocin, która ma wrócić – choć wciąż nie wiadomo, jaką trasą – w ramach Kolei Plus. Doskonale pamiętam, jak moje rodzinne okolice stały się komunikacyjną pustynią i jak droga do liceum w Poznaniu wydłużyła mi się wówczas z półtorej godziny do nawet czterech godzin. Niezależnie od innych względów – będę jako wyborca lojalny wobec partii, która chciała przywrócić tamto połączenie kolejowe. I nie miałbym za grosz dobrych uczuć dla polityków, którzy lekką ręką zniszczyliby cały projekt – jak w wyżej wspomnianym przypadku.

Przywracanie połączeń kolejowych i autobusowych, remontowanie linii kolejowych to dziś jest potężny atut polityczny. Władze wielu regionów Polski, poszczególnych miejscowości świetnie już o tym wiedzą. Wspomniałam o Karpaczu i kolei, która wróciła tam po ćwierć wieku. Na własne oczy widziałam wielkie billboardy z marszałkiem województwa dolnośląskiego, który chwalił się wielkim powrotem połączeń pasażerskich do tego miasta.

Z tym kontrastuje postawa ministra transportu Dariusza Klimczaka, który chwali się, że jego resort pomógł uruchomić połączenia kolejowe do Rijeki na Chorwacji, i że planowane jest zimowe połączenie w Alpy (wiemy już, że go nie będzie, bo Intercity nie planuje takiego połączenia w swojej ofercie). A przecież pociąg nie powinien być dla garstki elitarnych pasażerów! Mamy w Polsce wciąż zbyt dużo miejscowości, do których kolej nie dojeżdża, i warto by ją tam przywrócić.

▶ Turystyka to dziś świętość...

Mamy więc Mikołajki, do których nie można dojechać pociągiem. Bardzo bym sobie życzyła, żeby minister infrastruktury postawił na to, żeby przywrócić transport do tej mazurskiej miejscowości. Podziękuje mu także lokalny biznes. Pociąg do Rijeki i Mikołajek – to się w ogóle nie wyklucza. Widzimy po prostu, jak rozłożone są priorytety, jakie uzależnienie polityków od wielkomiejskiej klasy średniej. Pociąg na narty – to świetnie brzmi, a ty, „człowieczku" z mniejszej polskiej miejscowości musisz sobie dalej radzić sam.

Przy okazji – wkrótce wróci regionalny pociąg do Ciechocinka. Chwali się tym publicznie marszałek województwa kujawsko-pomorskiego Piotr Całbecki, choć to on kilkanaście lat temu nie chciał finansować tego przedsięwzięcia. Bohatersko rozwiązuje problem, który sam wywołał. [śmiech]

▶ Obecne władze mają niezły argument, żeby ciąć koszta projektów. Powiedzą, że muszą wydawać na obronność. I łatać dziurę budżetową.

Wiele rozwiązań infrastrukturalnych wzmacnia naszą odporność jako państwa. Jedna ze szprych, która była zapisana w pierwotnej wersji CPK, szprycha nr 3, do Giżycka, ma bardzo duże znaczenie, jeśli chodzi o kwestie militarne i naszego bezpieczeństwa. Za obronność nie odpowiada wyłącznie kwestia zakupu broni, dronów, samolotów bojowych. Konieczna jest infrastruktura wzmacniająca naszą spójność na bardzo wielu poziomach – transport jest krwiobiegiem dla organizmu państwowego i społecznego. Postrzeganie kolei jako reliktu PRL, który trzeba tylko ciąć i ciąć, to naprawdę błąd. Potrzebny jest powrót do całościowego, perspektywicznego myślenia.

Z jednym się zgodzę – obawiam się tego, że obronność i sprawy budżetowe staną się łatwym pretekstem do ścinania wielu inwestycji: „jesteśmy w trudnej sytuacji", „pieniędzy nie ma i nie będzie". Nie sądzę jednak, że tego rodzaju strategia rządzącej obecnie koalicji przyniesie jakikolwiek polityczny zysk. Dziś – tak jak w przypadku CPK czy Kolei Plus – decyzje o wygaszaniu infrastrukturalnych projektów budzi olbrzymią społeczną frustrację.

▶ Szykuje się w Polsce groszowa podwyżka płacy minimalnej...

Mam wątpliwości, czy w tej sytuacji tak dobrze jest być lewicową ministrą, odpowiadającą za resort rodziny, pracy i polityki społecznej. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk firmuje najmniejszą od lat podwyżkę płacy minimalnej. Jeszcze przed wakacjami ministerstwo rodziny zapewniało, że będzie walczyć o większą podwyżkę, dziś wiemy, że będzie na takim samym poziomie, jak inflacja prognozowana w przyszłym roku przez Ministerstwo Finansów na podstawie wskaźników makroekonomicznych. To absolutnie nie rozwiązuje problemów pracowników zatrudnionych na minimalnej płacy.

Mówiliśmy o Poczcie Polskiej – przez lata jej pracownicy i pracownice mieli dodatki do podstawowej pensji. One zostały im odebrane – za to przybyło ludziom pracy. Warunki zatrudnienia stają się coraz gorsze, a płaca minimalna przestaje zapewniać pokrycie kosztów życia, usług, żywności. Słyszał pan o jakimś działaniu w tej sprawie pani minister Dziemianowicz-Bąk?

▶ Ile kosztuje obiad w sejmowej stołówce? A ile w stołecznych barach mlecznych? W Polsce panuje socjalizm dla bogatych i uprzywilejowanych i twarde reguły rynkowe dla znakomitej większości społeczeństwa?

Danie dnia to koszt 25 zł w sejmowej restauracji. Dania z karty mają już różne ceny. W barze mlecznym ceny są podobne, choć tylko w barze mlecznym (w sejmowej stołówce nie ma) dostanę kluski leniwe [śmiech].

Zwykłych obywateli denerwują przywileje dla wybranych, takie jak na przykład rozliczanie tzw. kilometrówek bez faktur na

eprasa.pl f7e0bb845d

paliwo czy bez podawania celów podróży, co w przypadku podróży służbowych zwykłych pracowników byłoby nie do pomyślenia.

▶ Trudno się ludziom dziwić…

Tak, to budzi duże emocje wśród obywateli, kiedy widzą, że parlamentarzyści obok zarobków i diet mogą korzystać z dopłat na mieszkania, a partie polityczne otrzymują miliony złotych subwencji. Trzeba jednak spojrzeć z nieco innej perspektywy i zadać sobie pytanie, czy politycy byliby lepsi, gdyby z ich działalności usunąć całkowicie środki publiczne. Moim zdaniem byliby wówczas bardziej podatni na lobbing wielkich korporacji i w zamian za solidne wpłaty działali w ich interesie, a nie zwykłych obywateli. To zresztą dzieje się już teraz, jeśli spojrzymy na to, jakie partie otrzymują hojne wpłaty od deweloperów i „przypadkiem" nie są entuzjastycznie nastawione do państwowego budownictwa mieszkaniowego. Skala tego zjawiska mogłaby się dramatycznie zwiększyć po usunięciu subwencji i niemal całkowicie wyeliminować ugrupowania, które nie chcą poddać się wielkiemu biznesowi.

▶ Słyszę to prychnięcie niezadowolenia w pewnych kręgach…

Wielkiemu biznesowi powinniśmy się szczególnie przyjrzeć. Większą od polityków grupą są zdecydowanie osoby majętne, właściciele dużych firm czy ich pracownicy zarabiający niebotyczne sumy. I o nich czasem zapominamy, a to właśnie oni są głównymi beneficjentami „socjalizmu dla bogatych". Bogaci i wielkie korporacje w Polsce żyją na specjalnych warunkach. Płacą niższe podatki dzięki całej armii ulg i wyjątków – od estońskiego CIT, przez specjalne strefy ekonomiczne, po „optymalizacje" możliwe tylko dla tych, których stać na sztab doradców podatkowych. Dostają też hojnie dopłaty: rządowe programy dopłat do kredytów nakręcają zyski banków i deweloperów, a miliardy z KPO lądują w kieszeniach dużych firm na projekty często wątpliwej wartości. Do tego dochodzą preferencyjne warunki inwestycji — ziemia od gminy za złotówkę, ulgi na zatrudnienie, granty na „innowacje", które czasem sprowadzają się do kupienia kilku laptopów. Krótko mówiąc: dla korporacji i milionerów państwo jest często przyjacielem, a dla reszty społeczeństwa surowym egzekutorem.

Zwykły obywatel w tym układzie dostaje same obowiązki i żadnych przywilejów. Deregulacja rynku pracy sprawia, że łatwiej go zwolnić, a pensja często ledwo wystarcza do pierwszego, choć godzin w pracy spędza więcej niż niejeden menedżer. Mniej zamożni płacą relatywnie wyższe podatki – nie mają dostępu do optymalizacji czy ulg, które dostępne są dla wielkich. Firmy chwalą się rekordowymi zyskami, ale nie dzielą się nimi z pracownikami, tylko z akcjonariuszami. Prawa pracownicze? Teoretycznie istnieją, ale praktyka to często umowy śmieciowe i zastraszanie związkowców. A kiedy człowiek chce skorzystać z usług publicznych – czy to szpitala, szkoły, czy transportu – okazuje się, że państwo oszczędza właśnie na nim: czeka w kolejce miesiącami, wysyła dziecko do przepełnionej klasy, a do lekarza specjalisty jedzie kilkadziesiąt kilometrów… o ile nie jest jednym z milionów wykluczonych transportowo osób. W skrócie: zwykły obywatel płaci pełną cenę za system, który „luksusy" zostawia wybranym.

▶ Przedstawiająca się chętnie jako lewicowa posłanka Klaudia Jachira z Koalicji Obywatelskiej chce zabrać 800 plus niepracującym Polkom i Polakom. System już zaczęto rozmontowywać, ograniczając to świadczenie w przypadku niepracujących obywateli i obywatelek Ukrainy. To początek końca, krótkotrwałej jak na ponad trzy dekady III RP, realnej polityki społecznej w Polsce?

Odbieranie 800 plus niepracującym obywatelom i obywatelkom Ukrainy to wyjątkowo brutalne posunięcie. To pieniądze nie dla dorosłych, ale dla dzieci. Dzieci, które żyją w Polsce, chodzą tu do szkoły, uczą się języka, dorastają obok naszych. Odbierając im wsparcie, stawia się całe rodziny w dramatycznej sytuacji i daje pracodawcom narzędzie szantażu: „jak odejdziesz z pracy, to stracisz świadczenie na dziecko". To nie jest polityka społeczna, to ekonomiczny bat, który uderza w najsłabszych.

Klaudia Jachira proponuje zresztą zabranie 800 plus wszystkim niepracującym, także Polakom i Polkom. Pokazuje w ten sposób, że bliżej jej do dogmatów neoliberalizmu niż do jakiejkolwiek lewicowości. Prospołeczna lewica staje po stronie słabszych. Idea „niewidzialnej ręki wolnego rynku", do której z pewnością bliżej posłance Jachirze, nigdy nie ochroni dzieci ani rodzin, bo w jej interesie jest zysk, a nie dobro wspólne.

Debata o ograniczaniu 800 plus może oznaczać nie tyle początek, ile kontynuację starej melodii: zabrać najsłabszym, zostawić przywileje dla najsilniejszych. Dopłaty do kredytów – które miały pomagać młodym rodzinom – w praktyce napompowały kieszenie banków i ceny u deweloperów. Ulgi podatkowe? Najlepiej korzystają z nich ci, którzy i tak mają doradców podatkowych. A dla zwykłych ludzi – którzy tracą pracę, opiekują się chorym dzieckiem albo żyją na prowincji – zostaje jedna rada: „radźcie sobie sami".

▶ Znamy tę śpiewkę od dekad.

To jest niestety logika III RP w pigułce. W dużym mieście jakoś przetrwasz – masz szpital, szkołę, komunikację. Ale im dalej od Warszawy, Poznania czy Gdańska, tym gorzej: zamykane oddziały szpitalne, brak lekarzy, brak transportu. Jeśli jeszcze do tego dorzucimy odebranie wsparcia socjalnego, to mówimy ludziom wprost, że ich życie nie jest warte ochrony.

A przecież państwo może działać inaczej. Może inwestować w mieszkania komunalne, ratować oddziały szpitalne, wyrównać szanse, zatroszczyć się o usługi publiczne na wysokim poziomie. A jednocześnie nie bać się wielkiego biznesu, tylko uczciwie go opodatkować i zadbać o przestrzeganie praw pracowników, którzy wypracowują dla niego ogromne zyski. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Piotr Lisiewicz

„Amerykańska Częstochowa ma dla nas wymiar narodowy, wymiar narodowej pamięci, wartości, które budują naszą wspólnotę, także w XXI wieku" – mówił prezydent Karol Nawrocki kilka tygodni temu w Doylestown. Ale historia paulina ojca Michała Zembrzuskiego, założyciela Amerykańskiej Częstochowy, dokłada do tej listy jeszcze jeden, bardzo mocny wymiar. W czasie II wojny światowej ojciec Michał uratował ponad tysiąc Żydów, wydając im fałszywe świadectwa chrztu. Nigdy nie szukał z tego powodu sławy ani ziemskiej nagrody.

Jak twórca amerykańskiej Częstochowy uratował od Zagłady ponad tysiąc Żydów

FOT. RYSZARD RZEPECKI/PAP

Mieliśmy ponad 100 tys. uchodźców z Polski… Byli również i Żydzi. Żydów Niemcy chcieli dostać za wszelką cenę. Z Żydów trzeba było zrobić katolików… Wydaliśmy Żydom dobrze ponad tysiąc (świadectw chrztu). W ten sposób uratowaliśmy poważną liczbę Żydów" – mówił o. Michał Zembrzuski na nagraniu, którego na krótko przed jego śmiercią w 2003 roku dokonał dr Henryk Cioczek, polski lekarz i pisarz z Nowego Jorku.

Polski paulin, ceniony przez świętego Jana Pawła II i błogosławionego prymasa Stefana Wyszyńskiego, po wojnie był założycielem amerykańskiej Częstochowy. Gdy ubolewał nad tym, jak skromne są jej początki, bo kaplica powstała w dawnej stodole, usłyszał kardynała O'Hary'ego: „Wszystkie wielkie rzeczy powstają z małych. Nasze zbawienie poczęło się w stajni w Betlejem".

Ustawa o ochronie rasy

Wydarzenia, o których opowiemy, działy się na Węgrzech od września 1939 roku, gdy trafili tam uciekinierzy z Polski, a wśród nich polscy Żydzi. Węgry były sojusznikiem Niemiec, ale najpierw odmówiły przepuszczenia przez swoje terytorium oddziałów Wehrmachtu, mających zaatakować Polskę, a potem nie traktowali polskich uciekinierów jak wrogów. Dziś szacuje się, że polskich uchodźców było na Węgrzech ponad 140 tys., w tym wiele dzieci. Węgierski rząd Pála Teleki i komisarza rządowego ds. uchodźczych dr. Józsefa Antalla zdecydował, że Polacy zostaną umieszczeni w obozach dla internowanych, jednak będą mogli je swobodnie opuszczać.

Polacy, szczególnie żołnierze, rwali się do polskiej armii powstającej we Francji. Funkcjonujące na Węgrzech poselstwo polskie organizowało potajemnie, jednak za przyzwoleniem węgierskich władz, ich ewakuację drogą przez Jugosławię i Włochy, w których o ich los dbał ambasador Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Tylko z obozów położonych w pobliżu granicy z Jugosławią do wiosny 1940 roku do Francji przez Włochy zbiegło kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Formalnie za pomoc przy ucieczce z Węgier groziła kara. Nikt jednak groźby tej nie brał poważnie. W 1939 roku, w jednej z nielicznych w ogóle wytoczonych spraw, węgierski sąd wydał wyrok uniewinniający. Wyrok posłużył potem jako wykładnia do określenia statusu uchodźców polskich na Węgrzech.

Paradoksalnie układ Sikorski–Majski z 1941 roku pogorszył sytuację polskich Żydów na Węgrzech. Tadeusz Kopyś w artykule „Uchodźcy polscy na Węgrzech w latach 1939–1944" w Biuletynie IPN z 2002 roku pisał: „Pod naciskiem władz niemieckich w 1941 r. uchwalono na Węgrzech tak zwaną fajvédelmi törvény (ustawę o ochronie rasy), która obejmowała także Żydów z ziem polskich. Polonia węgierska zaangażowała się w akcję pomocy Żydom".

Kamuflaż, czyli katolicki ksiądz dyrektorem szkoły dla żydowskich dzieci

Jak wymienia historyk, uczestniczył w niej kierujący polskim internatem w Rákóczifalva Stanisław Vincenz, który na fałszywych dokumentach przechowywał 35 dzieci. W okolicach Budapesztu na przełomie lat 1939–1940 powstało wiele takich przytułków (Csillaghegy, Szentendre, Leányfalu). W prowadzonej przez Polaków szkole w Balatonboglár uratowało się 123 dzieci żydowskich, a szkołą w Vác – gdzie znajdowały się wyłącznie żydowskie dzieci – dla zmylenia Niemców kierował katolicki ksiądz… „W Budapeszcie działała parafia katolicka prowadzona przez polskich księży, którzy m.in. zasłużyli się ratowaniem żydowskich dzieci. Inicjatorem powołania na Węgrzech polskiego duszpasterstwa był o. Michał Zembrzuski, paulin z Jasnej Góry". Dodajmy, że ojciec Michał był na Węgrzech już od 1934 roku, gdzie pomagał odtwarzać dawną prowincję paulinów.

Nagranie dr Henryka Cioczka, w którym będący już w podeszłym wieku polski ksiądz opowiedział wreszcie, jak było, znalazło się w 2019 roku w filmie TVP „Polacy na ratunek Żydom – historie niezwykłe". O przyczynach takiej postawy Polaków mówił dr Cioczek w wypowiedzi dla nowojorskiego korespondenta PAP: „Wiedzieli już wówczas, że Żydzi są mordowani w obozach i grozi im całkowita zagłada. O. Zembrzuski mówił, nie kryjąc emocji, że dzięki pomocy ok. tysiąc Żydów, co jest udokumentowane, udało się uchronić przed śmiercią. Udawali się z Węgier do bardziej bezpiecznych krajów".

Nie był jak Schindler

Grzegorz Łubczyk, autor albumu „Pamięć", wskazywał na ogromną rolę w tej sprawie ojca Michała: „Był jednym z organizatorów i inspiratorów fałszywych metryk chrztu, niezbędnych, ażeby urząd ds. cudzoziemców mógł wystawić nowy dokument". Brał też udział w załatwianiu paszportów i zakupie biletów, pomagając w ten sposób uciekinierom w przedostaniu się do Francji.

Jak podkreślił Cioczek, polski paulin nie zabiegał o splendory. Inaczej było w przypadku niemieckiego fabrykanta, bohatera filmu Stevena Spielberga „Lista Schindlera". Po ukazaniu się filmu Spielberg powołał do życia USC Shoah Foundation. Rejestrowała on zeznania tych, którzy przeżyli, byli świadkami Holokau-

eprasa.pl f7e0bb845d

stu i ratowali Żydów. „Fundacja zwróciła się też do o. Zembrzuskiego o wypowiedź, ale odmówił. Uzasadniał to tym, że zarówno w filmie, jak i materiałach fundacji jest wiele akcentów antypolskich" – mówił Cioczek.

13-latek w niższym seminarium

Ojciec Michał M. Zembrzuski urodził się 16 grudnia 1908 roku na Mazowszu, koło Mławy, jako syn Maksymiliana i Wiktorii z Tańskich Zembrzuskich. Był najstarszym z siódemki ich dzieci. Na chrzcie otrzymał imię Marian. Już w młodym wieku zaczął zwierzać się rodzinie, że chciałby zostać księdzem.

Jako 13-latek w grudniu 1921 roku wstąpił do juwenatu, czyli niższego seminarium ojców paulinów w Częstochowie. Następnie w Krakowie ukończył klasyczne Gimnazjum św. Anny, a studia filozoficzne odbył na krakowskim Wydziale Teologicznym Księży Misjonarzy. 30 sierpnia 1926 roku otrzymał zakonny habit. Roczny nowicjat odbywał w Krakowie na Skałce. Pierwsze śluby zakonne złożył 31 sierpnia 1927 roku, natomiast śluby wieczyste – 22 kwietnia 1933 roku, na ręce przeora, ojca Bernarda Dudzińskiego. Święcenia kapłańskie otrzymał na Jasnej Górze 31 marca 1934 roku.

Już podczas studiów zakonni przełożeni wyznaczyli go do pracy na Węgrzech, przy odnawianiu dawnej prowincji paulinów. 12 maja 1934 roku wyjechał do kraju naszych bratanków. Wyjaśnijmy, że zakon ojców paulinów powstał na Węgrzech w 1225 roku i Węgrzy uważają paulinów za swój zakon narodowy. Teraz w nowo założonej prowincji w Pécs o. Michał pełnił różne stanowiska, od magistra nowicjatu do przeora. Tam też budował swój pierwszy kościół, którego poświęcenie nastąpiło w 1937 roku, a rok później konsekracja głównego ołtarza, której dokonał sam prymas Polski August Hlond. Powstały też kolejne, nowe klasztory w Palos-Szentkut, Jakab Hegy i Soltvadkert.

Niemiecka pętla się zaciska

Po tym, jak w 1939 roku na Węgry trafili uciekinierzy z Polski, ks. Michał zaangażował się całym sercem i ogromną pracą w pomoc dla nich, co opisałem na początku. To bardzo nie podobało się Niemcom.

Paulin miał poczucie, że niemiecka pętla wokół niego się zaciska. W 1942 roku gestapo nałożyło na niego areszt domowy. W 1944 roku, kiedy stało się jasne, że Niemcy przegrają wojnę, węgierski przywódca Miklós Horthy zaczął negocjować odrębny traktat pokojowy z aliantami. Spotkało się to z ostrą reakcją Hitlera, który wysłał swoje wojsko na terytorium Węgier, okupując je od 19 marca 1944 roku. Po wkroczeniu Wehrmachtu na Węgry rozpoczęły się pod osobistym kierownictwem Adolfa Eichmanna masowe deportacje kilkuset tysięcy węgierskich Żydów do Auschwitz. Taki los spotkałby Żydów, gdyby polski ksiądz nie wystawił im lewych papierów…

Po wkroczeniu na Węgry gestapo chciało aresztować o. Zembrzuskiego, jednak ukrył się skutecznie, z pomocą zakonnic i dwóch węgierskich rodzin. Polski paulin dotrwał w ukryciu do końca wojny, ale władzę na Węgrzech objęli nowi wrogowie Kościoła. W 1948 roku komunistyczne władze węgierskie nakazały mu opuszczenie kraju. Z pomocą przyjaciół, przez Wiedeń dostał się do Rzymu.

W Watykanie o. Michał objął urząd pomocy papieskiej dla Polaków we Włoszech – Pontifica Commissione d´Assistenza. Zajmował się opieką nad wszystkimi Polakami we Włoszech. Przez Rzym, podobnie jak w początkach wojny przez Budapeszt, przewinęła się wielka fala polskich uchodźców, wojskowych oraz cywilów.

Kaplica w pofarmerskiej stodole

W 1951 roku przełożeni zakonni wysłali go do Ameryki. Sytuacja zakonu paulinów nie była łatwa – ich klasztory w 1950 roku zniesiono na Węgrzech, atakowani byli też polscy paulini z Jasnej Góry. O tym, po co był wyjazd do Ameryki, opowiedział o. Michał w wywiadzie dla dziennikarza Lecha Galickiego, przeprowadzonym w 1994 roku, którego fragmenty opublikował on po latach na Salonie24: „W roku 1951 wyjechałem z Rzymu do Stanów Zjednoczonych, z nadzieją założenia klasztoru paulińskiego. Czułem się jak misjonarz wśród Polonii amerykańskiej, która jest bardzo liczna, ale rozrzucona na olbrzymich terenach USA. Sądziłem, że Polonia potrzebuje centrum duchowego, religijnego, które by ją łączyło. Ponieważ jestem paulinem – moją pierwszą myślą było: stworzyć coś podobnego do Częstochowy, która dla Polaków jest od ponad 600 lat niezwykle ważnym miejscem. Odtworzenie murów tego sanktuarium byłoby czymś nierealnym, przekraczającym możliwości finansowe. I *cui bono*? Nie o to chodziło. Ale pod względem duchowym to miejsce miało być ośrodkiem łączności polonijnej, naszej siły narodowej, drogowskazem dla przebywających na obczyźnie Polaków".

Pierwsze lata w USA o. Michał poświęcił pracy misjonarskiej wśród Polaków, Węgrów i Włochów. A w 1953 roku mógł zacząć budować swoje najważniejsze dzieło. 28 września 1953 roku władze diecezjalne udzieliły pozwolenia na założenie klasztoru z sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej na terenie archidiecezji Filadelfia. 6 listopada 1953 roku Stolica Apostolska wydała akt erekcyjny, pozwalający na

eprasa.pl f7e0bb845d

założenie nowego klasztoru i przeszczepienie zakonu paulinów na amerykańską ziemię. W grudniu tegoż roku Zoning Board w Doylestown wydała akt „special exemption", pozwalający na użycie zakupionych terenów pod budowę klasztoru i sanktuarium.

▶ Beacon Hill, czyli… Jasna Góra

Wkrótce o. Michał Zembrzuski zakupił 40 akrów ziemi w pobliżu Doylestown. 26 czerwca 1955 roku została otwarta tymczasowa kaplica Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown, która urządzona była w dawnej pofarmerskiej stodole. Wówczas to padły słynne słowa, w których kardynał O'Hara powiedział do polskiego paulina, dodając mu odwagi: „Wszystkie wielkie rzeczy powstają z małych. Nasze zbawienie poczęło się w stajni Betlejemskiej". Stodoła przerobiona na kaplicę przez 11 lat służyła jako sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Ameryce. Paulini zaczęli rozwijać coraz to nowe formy działalności – nadające po polsku radio Głos z Amerykańskiej Częstochowy czy pielgrzymki do nowego sanktuarium.

Pytany, dlaczego wybrał to miejsce, o. Michał odpowiedział: „Właśnie tam Polacy osiedlali się najczęściej. Gdy na mapie, z Doylestown, zakreślimy cyrklem koło o średnicy 30 mil, według naszych obliczeń na tym terenie rozrzuconych jest od trzech do czterech milionów rodaków. To największe zaplecze. Wprawdzie w Chicago mieszka milion Polaków, jednak ma to miejsce w jednym mieście. Natomiast wschód USA nie miał podobnego miejsca, instytucji polonijnych, więc najbardziej nadawał się do stworzenia takiego ośrodka. Amerykańskiej Częstochowy".

Ojciec Zembrzuski dzięki hojności Polonii sukcesywnie dokupował ziemię, powiększając teren sanktuarium. Jak wspominał w filmie dokumentalnym Jarosława Mazura „Beacon Hill – Amerykańska Częstochowa", gdy żartowano z niego, że zamiast Jasnej Góry kupił jasną dolinę, udało mu się dokupić pobliską górę, której nazwę od biedy dało się przetłumaczyć jako… Jasna Góra.

▶ Wyszyński – pusty fotel, biało-czerwone kwiaty i cierniowa korona

W maju 1954 roku było to już blisko 90 hektarów wraz z domem mieszkalnym i wspomnianą stodołą, w której adaptacji na klasztor pomagała mu artystka Irena Lorentowicz. Przygotowała ona projekt adaptacji. Rok później, 26 czerwca 1955 roku, dokonano poświęcenia kaplicy z umieszczonym w niej obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

„W roku 1955 przyjechał ojciec Stanisław Nowak z Rzymu i dwóch braci zakonnych, których z Węgier wyrzucili komuniści. Stworzyliśmy pierwszą wspólnotę paulińską: dwóch księży i dwóch braci zakonnych. Ludzie zaczęli do nas przyjeżdżać, ponieważ było to sanktuarium, miejsce pielgrzymkowe" – mówił o. Michał w wywiadzie dla Lecha Galickiego.

W 1960 roku ks. Zembrzuski spotkał się z prymasem Stefanem Wyszyńskim. Ten opowiedział mu, jak komunistyczne władze na czele z sekretarzem Gomułką utrudniają Kościołowi przygotowanie uroczystości milenijnych, planowanych na 1966 rok. Po tym spotkaniu o. Michał zaczął głosić program budowy kościoła Pomnika Tysiąclecia Chrztu Polski (966–1966) w Doylestown.

W 1963 roku o. Zembrzuski został wybrany na wikariusza generalnego zakonu paulinów z siedzibą w Ameryce. Prace związane z budową kościoła na 1800 miejsc i dolnej kaplicy, w której miała być wybudowana kopia ołtarza z kaplicy na Jasnej Górze, na całego ruszyły w 1965 roku. Udało się – 16 października 1966 roku nastąpiło poświęcenie kościoła i klasztoru.

Głównym celebransem miał być Prymas Tysiąclecia kardynał Stefan Wyszyński, jednak nie mógł on przybyć, bo nie otrzymał paszportu od polskich władz. Jak powiedział w filmie Jarosława Mazura o. Zembrzuski, władze groziły prymasowi, że jeśli wyjedzie, nie zostanie wpuszczony z powrotem do kraju.

Wyszyński do ostatniej chwili był oczekiwany przez polskich wygnańców. Nie doczekali się. W czasie uroczystości milenijnych stał pusty fotel, a na nim biało-czerwone kwiaty i cierniowa korona. Ten obrazek zapamiętały całe pokolenia Polonii i stał się on dla nich symbolem niewoli i prześladowania Kościoła w ojczyźnie. Poświęcenia świątyni dokonał w zastępstwie przyszłego błogosławione abp Jan Król – ordynariusz archidiecezji filadelfijskiej.

▶ Prezydent Johnson w Amerykańskiej Częstochowie i ryngraf od o. Zembrzuskiego

W uroczystości wziął udział prezydent Stanów Zjednoczonych Lyndon B. Johnson z małżonką i córką. Ojciec Zembrzuski nałożył mu ryngraf z Matką Boską Częstochowską. To była historyczna chwila, bo po raz pierwszy prezydent Ameryki wziął udział w uroczystościach polonijnych. I po raz pierwszy w historii Kościoła katolickiego w USA prezydent wziął udział w ceremonii poświęcenia kościoła. Uczestniczyło w niej około 140 tys. Amerykanów polskiego pochodzenia.

W 1969 roku o. Michał wybrany został ponownie na wikariusza generalnego na drugą sześcioletnią

eprasa.pl f7e0bb845d

kadencję. Po jej upływie w latach 1975–1980 pracował w innym klasztorze paulinów – w Kittanning, niedaleko Pittsburgha. W 1980 roku zajął się pracą dla Polonii w Brooklynie przy Centrum Polsko-Słowiańskim. Jak pisał „Dziennik Polonijny", kiedy w 1989 roku zobaczył, że w jednej z dzielnic Nowego Jorku – Borough Park, zamieszkanej przez tysiące Polaków – nie ma polskiego kościoła, zorganizował polskie duszpasterstwo przy amerykańskiej parafii św. Franciszka de Chantal: „Jak zwykle zaczynał sam, z małą grupką wiernych. Dziś w tej parafii jest kilka nabożeństw w tygodniu, w których uczestniczy kilka tysięcy Polaków".

Ronald Reagan u polskich antykomunistów

Na emeryturze o. Michał wrócił do Amerykańskiej Częstochowy, gdzie pracował duszpastersko do końca życia. Przy sanktuarium powstała szkoła języka polskiego im. Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown.

Tymczasem sanktuarium nabierało historycznego znaczenia. Dwukrotnie odwiedzał je przyszły papież Jan Paweł II. „Drogi Ojcze Michale, piszę tak, jak mi serce dyktuje, zwłaszcza że Amerykańską Częstochowę – dzieło Ojca – odwiedzałem właśnie w dniu św. Michała. Uważam to za znak bardzo pomyślny" – pisał do jego założyciela.

15 sierpnia 1976 roku w sanktuarium mjr Kazimierz Światocho dokonał odsłonięcia płaskorzeźby wykonanej przez rzeźbiarza Floriana Rachelskiego i urny z ziemią z Cmentarza Orląt Lwowskich.

9 września 1984 roku prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reagan uczestniczył w Polskim Festiwalu w Amerykańskiej Częstochowie. W czerwcu 1986 roku w westybulu świątyni została umieszczona urna z sercem Ignacego Paderewskiego. Wielki pianista chciał, żeby jego ciało po śmierci zostało po latach pochowane w ojczyźnie, a serce zostało w USA.

13 kwietnia 1980 roku walczący o nominację prezydencką z ramiona partii republikańskiej George H. W. Bush odwiedził sanktuarium, a w pamiątkowej księdze gości pozostawił wpis: „Z bardzo szczęśliwymi wspomnieniami o cudownym dniu".

Pomnik Mściciela

Przy sanktuarium w Amerykańskiej Częstochowie znajduje się cmentarz, który jest już największą nekropolią polonijną – ponad 6 tys. grobów. Dominantą nad nim jest pomnik Mściciela, wokół którego spoczywa ponad 2 tys. polskich żołnierzy. Pomnik Mściciela, którego autorem był Andrzej Pityński, poświęcony jest ofiarom zbrodni katyńskiej i został odsłonięty 14 sierpnia 1988 roku. Jest to 10-metrowa rzeźba z brązu na granitowym cokole, przedstawiająca klęczącego na jednym kolanie husarza, który wspiera się na mieczu. Postać samotnego wojownika ma być ucieleśnieniem idei patriotyzmu. Na cokole znajdują się dwie tablice – pierwsza z inskrypcją KATYŃ 1940, druga SMOLEŃSK 2010.

W 2016 roku, podczas uroczystości z udziałem prezydenta Andrzeja Dudy i przyszłego prezydenta Karola Nawrockiego, został tu odsłonięty pomnik Żołnierzy Wyklętych. A kilka tygodni temu prezydent Karol Nawrocki odsłonił w sanktuarium tablicę upamiętniającą premiera Jana Olszewskiego, od którego w III RP zaczęły się działania na rzecz polsko-amerykańskiego sojuszu.

„Narzędzie w ręku Matki Boskiej"

Ojciec Michał zmarł 16 stycznia 2003 roku, mając 94 lata, będąc najstarszym paulinem na świecie. „Ojciec Święty w modlitwie poleca jego duszę miłosierdziu Bożemu, prosząc, aby Chrystus – Najwyższy Kapłan – wynagrodził jego duszpasterski trud w swojej chwale" – napisał w telegramie z Watykanu papież Jan Paweł II.

Generał paulinów, o. Izydor Matuszewski, w czasie kazania przytoczył ostatnią rozmowę z o. Michałem. „Odchodzimy" – powiedział o. Michał. „Odchodzimy po nagrodę" – dopowiedział ojciec generał. „Ojciec Michał często mawiał, że »jest narzędziem w ręku Matki Bożej«… Jego odejście, pełne pokoju i wiary, zatopione w Maryi na drogach radości, światła, boleści i chwały, przypomina tajemnice Różańca, który w szczególny sposób umiłował" – wspominał.

O tym, co po sobie zostawił zmarły, o. Matuszewski mówił: „Ojciec Michał kochał Zakon. Kiedy doświadczył kasaty Zakonu na Węgrzech w 1950 r. i zagrożeń komunistycznych w Polsce, przyjechał do kraju wolności i tolerancji religijnej – do Ameryki, by tu zaszczepić Zakon, by synowie św. Pawła Pierwszego Pustelnika na tej świętej górze rozbili swoje namioty. To dzięki Bożej Opatrzności, która się nim posłużyła, mamy dziś Amerykańską Częstochowę… W historii ludzkości – gdy zagraża jej niebezpieczeństwo moralnej zagłady czy śmierci ducha – Miłosierny Bóg posyła ludzi, by przez nich ratować innych".

Kondukt pogrzebowy w drodze na stworzoną przez zmarłego polską nekropolię zatrzymał się przy starej, pierwszej kaplicy w Amerykańskiej Częstochowie. Wniesiono tam trumnę, bo to ta kaplica była ulubionym miejscem modlitwy zmarłego gdzie, szczególnie wieczorem, można go było spotkać pogrążonego w modlitwie, „sam na sam z Maryją Częstochowską". ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Wokół zjednoczenia Niemiec

Dariusz Jarosiński

Niemcy zjednoczyły się dwukrotnie w historii: po raz pierwszy w XIX wieku, za sprawą polityki „krwi i żelaza" Otto von Bismarcka, co doprowadziło do powstania II Rzeszy w 1871 roku. Drugie zjednoczenie miało miejsce 35 lat temu. Wówczas jednym z podstawowych problemów kanclerza Helmuta Kohla było niedopuszczenie do podniesienia sprawy reparacji i odszkodowań Polsce za II wojnę światową.

FOT. WOLFGANG KUMM/PAP/DPA

Proces zjednoczenia został zapoczątkowany upadkiem muru berlińskiego, do którego doszło w nocy z 9 na 10 listopada 1989 roku. Wydarzenie to, będące kulminacją masowych protestów w NRD, doprowadziło do otwarcia granic i stało się symbolem końca zimnej wojny. Ludzie ruszyli pod mur po błędnej informacji o otwarciu granic, co wywołało falę euforii i spontaniczne burzenie muru.

Traktat zjednoczeniowy, znany jako traktat „2+4", został podpisany 12 września 1990 roku i formalnie regulował międzynarodowe kwestie związane z wcieleniem NRD do Republiki Federalnej Niemiec, które nastąpiło 3 października 1990 roku. Traktat ten, podpisany przez Niemiecką Republikę Demokratyczną i Republikę Federalną Niemiec z państwami sygnatariuszami – Francją, USA, Wielką Brytanią i Związkiem Sowieckim – był kulminacją procesu zjednoczenia i zakończył podział Niemiec po II wojnie światowej. 3 października, w rocznicę zjednoczenia Niemiec w 1990 roku, obchodzone jest święto – Dzień Jedności Niemiec.

Coraz mniej mówi się o rocznicy Sierpnia '80, rocznicy powstania „Solidarności", bezkrwawym zwycięstwie, które mocno nadwyrężyło system komunistyczny, że to polska „Solidarność", wielki, masowy ruch wolnościowy, przyczyniła się do upadku muru berlińskiego. Ważnym impulsem były wybory w Polsce w czerwcu 1989 roku.

Obawy przed niemiecką dominacją

Gdy w listopadzie 1989 roku upadł mur berliński, żadne z niemieckich państw – ani RFN, ani NRD – nie było suwerennym podmiotem, oba musiały uzyskać zgodę na zjednoczenie światowych potęg: USA, Wielkiej Brytanii, Związku Sowieckiego i Francji. Kluczowa, rzecz jasna, była postawa Sowietów, którego Zachodnia Grupa Wojsk w NRD liczyła ponad pół miliona żołnierzy i pracowników cywilnych.

Sprawa zjednoczenia Niemiec, nawet po upadku muru berlińskiego, wcale nie była oczywista, jakby to mogło się dzisiaj wydawać. Helmut Kohl, uważany za architekta zjednoczenia, nie miał łatwego zadania. Z ujawnionych w 2009 roku przez brytyjskie MSZ dokumentów wynika, że ówczesny prezydent Francji, François Mitterrand, uważał, że zjednoczone Niemcy staną się nie mniejszym zagrożeniem dla Europy niż hitlerowska III Rzesza, podobne obawy wyrażała także premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher.

Zapiski Charlesa Powella, ówczesnego doradcy Thatcher ds. polityki zagranicznej, ujawniają, że 8 grudnia 1989 roku z okazji spotkania Rady Europejskiej w Strasburgu Mitterrand miał powiedzieć Thatcher m.in., że „Helmut Kohl nie ma zrozumienia dla wrażliwości innych narodów i gra na niemieckich uczuciach narodo-

epaper...e0bb845d

wych". Margaret Thatcher zaś podczas tego szczytu przywódców europejskich wypowiedziała słowa, które są często cytowane: „Pokonaliśmy Niemców dwa razy, a teraz znowu się podnieśli". Na szczycie w Strasburgu Wielka Brytania i Francja poniosły dyplomatyczną porażkę, gdyż Rada Europejska poparła zjednoczenie Niemiec.

20 stycznia 1990 roku doszło do ponownego spotkania Mitterrand–Thatcher, tym razem w Pałacu Elizejskim, podczas zamkniętego lunchu. W sporządzonej później notatce Charles Powell zapisał wypowiadane przez prezydenta Francji opinie. Mitterrand miał wówczas powiedzieć, że zjednoczenie cofnie Niemcy w przeszłość i umożliwi Kohlowi „osiągnięcie silniejszej pozycji niż ta, którą kiedykolwiek miał Hitler, a Europa będzie musiała ponieść konsekwencje". Zdaniem Mitterranda wchłonięcie NRD przez RFN doprowadzi do odrodzenia się „złych", zaborczych Niemiec o imperialistycznych tendencjach, cofnie Europę do punktu, w którym stała ona na rok przed I wojną światową. Zjednoczenie Niemiec, w opinii Mitterranda i Thatcher, miało doprowadzić do powstania IV Rzeszy – imperialistycznego i niebezpiecznego państwa w Europie..

Wówczas, w roku 1990, słowa prezydentów Francji i Wielkiej Brytanii mogły wydawać się przesadzone, na wyrost, ale dzisiaj już nie.

Helmut Kohl zdołał przekonać prezydenta Mitterranda do korzyści płynących ze zjednoczenia. Mitterand, choć nie wyzbył się do końca obaw, to uznał, że ściślejsze włączenie Niemiec w struktury europejskie pozwoli na kontrolę nowego państwa niemieckiego, zaś wprowadzenie wspólnej waluty spowoduje ograniczenie dominacji gospodarczej Niemiec w Europie. Dzisiaj, kiedy Francja boryka się z poważnymi kłopotami finansowymi, widać najlepiej, jak kraj nad Sekwaną wyszedł na unii monetarnej. Premier Thatcher trwała niezmiennie na swoim stanowisku. Pozostała jednak osamotniona, gdy połączenie RFN i NRD zdecydowanie poparła amerykańska administracja prezydenta.

Należy przy okazji wspomnieć o spojrzeniu Margaret Thatcher na EWG po uchwaleniu Jednolitego aktu europejskiego w 1987 roku. Jej wizja zjednoczonej Europy opierała się na integracji gospodarczej i wolności handlu, uważała Wspólnotę Europejską (jak wówczas nazywała się Unia Europejska) ze wspólną walutą, za skazaną na niepowodzenie. „Żelazna Dama" nazwała ten projekt „czymś szalonym, utopijnym, pomnikiem pychy lewicowych intelektualistów". Nie miała też żadnych złudzeń, że Wspólnota Europejska stanie się narzędziem niemieckiej hegemonii w Europie.

Jak wynika z lektury ówczesnych dokumentów, analiz, od końca 1989 roku inicjatywę przejął Kohl i wspierający go mocno prezydent Stanów Zjednoczonych George Bush senior. „Prezydent Bush, sekretarz stanu James Baker i doradca ds. bezpieczeństwa narodowego Brent Scowcroft to był dar niebios dla Niemiec" – wspominał po latach Horst Teltschik, były doradca Kohla ds. polityki zagranicznej.

Miesiąc po zjednoczeniu Niemiec Margaret Thatcher zrezygnowała z teki premiera Wielkiej Brytanii, François Mitterrand piastował urząd prezydenta Francji do 1995 roku.

Osamotniona Kasandra

Biograf Margaret Thatcher, Charles Moore, zwrócił uwagę, że Margaret Thatcher była pierwszym zachodnim politykiem, który zaczął rozmowy z Michaiłem Gorbaczowem. Popierała jego reformy w Związku Sowieckim, które mogły w zasadniczym stopniu przyczynić się do rozładowania napięcia zimnej wojny. Po upadku muru berlińskiego obawiała się, że pospieszne zjednoczenie Niemiec będzie w ZSRS uważane przez twardogłowych jako upokorzenie i może prowadzić do osłabienia Gorbaczowa. Czas pokazał, że nie były to obawy pozbawione podstaw. To jej historia przyznała rację.

Według Moore'a, zakończenie podziału Niemiec było ważnym czynnikiem prowadzącym do próby zamachu stanu przeciw Gorbaczowowi w 1991 roku. Moore zwraca również uwagę, że jednym z tych, którzy odczuli to jako upokorzenie ZSRS przez Zachód, był Władimir Putin, będący wówczas oficerem KGB w NRD. Putin do dzisiaj uważa Gorbaczowa za zdrajcę, który doprowadził do rozpadu Związku Sowieckiego.

Margaret Thatcher opowiadała się za okresem przejściowym, który poprzedziłby zjednoczenie Niemiec i pozwolił na włączenie Sowietów w dyskusję na temat przyszłości Niemiec, wspólnie z pozostałymi państwami Zachodu, które były odpowiedzialne za Niemcy od 1945 roku. Ta propozycja nie uzyskała jednak akceptacji, ponieważ zjednoczenie Niemiec było głównym elementem idee fixe Busha – „Europy całej i wolnej".

Thatcher krytykowała ostro projekt coraz bardziej scentralizowanej Wspólnoty Europejskiej i osłabienia znaczenia państw narodowych. W przemówieniu w Hadze 15 maja 1992 roku przedstawiła zarys luźniejszej europejskiej kooperacji, w której państwa zachowują swoje suwerenne wolności, w tym kontrolę swoich granic. Jej zdaniem, to pozwoliłoby zachować polityczną i kulturową różnorodność, również krajów Europy Wschodniej, które, miała nadzieję, otrzymają pełne członkostwo we Wspólnocie. Jak pisze Moore, Thatcher należała do nielicznej grupy znaczących europejskich polityków lat 80., którzy uważali, że miasta takie jak Warszawa, Praga i Budapeszt zostały odcięte od swoich historycznych kulturowych korzeni.

W swoim przemówieniu w Hadze – pisze Moore – „przewidywała imigrację na wielką skalę spowodowaną przez swobodę przemieszczania się, która spowoduje

eprasa.pl f7e0bb845d

»etniczne konflikty« i wzrost siły partii ekstremistycznych". „Pamiętała o ponurych lekcjach, jakie daje nam historia, podczas gdy inni wokół niej poddali się beztrosko euforii towarzyszącej zakończeniu zimnej wojny".

Thatcher, niczym Kassandra, ostrzegała nas, niestety nie chcieliśmy jej słuchać.

Niemcy dłużnikiem Rosji

Na początku 1990 roku, po spotkaniu w ścisłym kręgu władzy na Kremlu, zdecydowano, że zjednoczenie Niemiec jest „nieuniknione" – pisał Michaił Gorbaczow w swoich wspomnieniach.

Za przełomowe uważają historycy rozmowy Gorbaczowa z Kohlem w Moskwie 10 lutego 1990 roku. „Mieliśmy zgodę Gorbaczowa na proces 2+4, a przede wszystkim jego zielone światło na uregulowanie wewnętrznych aspektów dla zjednoczenia Niemiec" – pisał Kohl w swoim pamiętniku. Przekonał Gorbaczowa, że nie zwycięskie mocarstwa, lecz państwa niemieckie powinny decydować o swojej przyszłości, stąd formuła „2+4".

Jednym z najbardziej kontrowersyjnych punktów było przyszłe członkostwo zjednoczonych Niemiec w NATO. Moskwa początkowo opowiadała się za statusem neutralnym, natomiast rząd zachodnioniemiecki w Bonn i Waszyngton były temu zdecydowanie przeciwne. W końcu Gorbaczow uległ. Na marginesie warto wspomnieć, że Józef Stalin w 1952 roku wystąpił z propozycją zjednoczenia Niemiec, ale pod warunkiem, że zjednoczone Niemcy będę neutralne, na co nie zgodził się ówczesny kanclerz Konrad Adenauer. Ponadto mocarstwa zachodnie domagały się przeprowadzenia wolnych wyborów, na co z kolei Stalin nie przystał. Wkrótce Stalin kazał zamknąć wszystkie granice i rozpoczęto budowę muru w Berlinie, wewnątrzniemiecką granicę.

Traktat 2+4 zakładał, że na terytorium NRD nie będą stacjonowały żadne wojska NATO ani nie będzie rozmieszczona broń jądrowa. Dyskutowano też o rozszerzeniu NATO na Europę Wschodnią; zachodni dyplomaci twierdzili, że do tego nie dojdzie – nie zostało to jednak zapisane w traktacie. Krytycy Gorbaczowa w Rosji, których nie brakuje, uważają m.in., że powinien on również zażądać wycofania wojsk alianckich ze zjednoczonych Niemiec, a także amerykańskiej broni jądrowej. Ale ta okazja została zaprzepaszczona.

Często pada pytanie: ile Niemcy zapłacili Sowietom za zgodę na zjednoczenie? Bo to, że zapłacili, nie ulega wątpliwości. Polityka prowadzona przez Ronalda Reagana w latach 80. przyczyniła się do gospodarczego osłabienia Związku Sowieckiego, właściwie do upadku. Sowieci borykali się z potwornymi problemami ekonomicznymi, więc Niemcy pospieszyli ochoczo z pomocą żywnościową. Z oficjalnych informacji wynika, że latem 1990 roku Sowieci otrzymali pożyczkę w wysokości 5 mld marek niemieckich, 10 września tego roku, a więc na trzy tygodnie przed podpisaniem traktatu 2+4, Niemcy zapłacili 12 mld marek za wycofanie wojsk sowieckich i przekazali 3 mld marek w formie pożyczki.

Horst Teltschik, były doradca Kohla ds. polityki zagranicznej, w wywiadzie dla Deutsche Welle w lipcu 2010 roku powiedział, że Niemcy nie odmówiliby Sowietom 50 czy 80 mld marek, gdyby ci tyle zażądali.

Po zjednoczeniu Niemcy stały się adwokatem Moskwy na Zachodzie, promowały zbliżenie ówczesnych państw grupy G7 ze Związkiem Sowieckim i Rosją, pomogły Rosji wejść do Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju (EBOR) i Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW). W lutym 2021 roku ukazał się w niemieckiej prasie wywiad z Frankiem-Walterem Steinmeierem, w którym to prezydent RFN mówił o winie Niemiec wobec Rosji za zniszczenia w czasie II wojny światowej i konieczności w związku z tym spłaty długu w postaci realizacji gazociągu Nord Stream 2. A przecież wiadomo, że Niemcy już kilkadziesiąt lat temu wypłaciły Sowietom reparacje wojenne. Zapewne niemiecki prezydent miał na myśli dług za zjednoczenie Niemiec.

Z oficjalnych dokumentów nie dowiemy się nie tylko, jaka była materialna, finansowa cena za zjednoczenie Niemiec, lecz także cena niematerialna. A wśród tych ostatnich nie brakuje opinii, że to właśnie w tych ustaleniach kryje się klucz do zrozumienia obecnej polityki Niemiec wobec Rosji. Polityki opartej na ustępstwach, przymykaniu oka i realizowaniu wspólnych interesów gospodarczych, czego najbardziej symbolicznym przykładem jest budowa gazociągów: najpierw Nord Stream, a następnie Nord Stream 2. Wiele lat pewnie minie, zanim historycy dotrą, jeśli w ogóle dotrą, do wszystkich dokumentów i aneksów do nich z czasów poprzedzających zjednoczenie Niemiec. Niemcy do dzisiaj spłacają swój dług wdzięczności wobec Rosji.

„Majstersztyk niemieckiej dyplomacji"

9 listopada 1989 roku rozpoczęła się kilkudniowa wizyta Helmuta Kohla w Polsce, tego samego też dnia władze NRD otworzyły granicę z Berlinem Zachodnim, tym samym runął mur berliński. W związku z tymi niespodziewanymi wydarzeniami kanclerz Kohl przerwał swoją wizytę i udał się do Berlina. Do Polski wrócił po dwóch dniach, aby kontynuować rozmowy, w czasie których miały być poruszone kwestie granicy na Odrze i Nysie, problem reparacji za straty poniesione przez Polskę w II wojnie światowej oraz sytuacja mniejszości narodowych.

12 listopada 1989 roku w Krzyżowej Tadeusz Mazowiecki i Helmut Kohl wzięli udział w Mszy świętej.

eprasa.pl f7e0bb845d

Uścisk premiera i kanclerza, uwieczniony przez fotografów, stał się symbolem pojednania obu narodów i przemian zachodzących w Europie. Mimo symbolicznej wymowy Msza święta w Krzyżowej nie była punktem przełomowym w polsko-niemieckich negocjacjach dotyczących kwestii nienaruszalności granicy na Odrze i Nysie oraz reparacji. Toczyły się one przez kolejne miesiące – w czerwcu 1990 roku nienaruszalność zachodniej granicy Polski uznały parlamenty NRD i RFN. Traktat ostatecznie rozstrzygający tę kwestię podpisali 14 listopada 1990 roku minister spraw zagranicznych RP Krzysztof Skubiszewski i minister spraw zagranicznych, zjednoczonych już Niemiec, Hans-Dietrich Genscher.

Odtajnione przez ministra Waszczykowskiego w 2017 roku szyfrogramy MSZ dotyczące wizyty Helmuta Kohla w listopadzie 1989 roku ujawniły, jak Niemcy umiejętnie rozegrali polskie władze. Kohl był politykiem niezwykle pragmatycznym, asertywnym, grającym ostro, dbającym wyłącznie o interesy niemieckie.

W okresie jednoczenia się Niemiec jednym z podstawowych problemów kanclerza Helmuta Kohla było niedopuszczenie do podniesienia sprawy reparacji i odszkodowań Polsce za II wojnę światową. Kohl, który doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że priorytetem Tadeusza Mazowieckiego i polskiej dyplomacji było ostateczne uznanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, używał wobec Polski szantażu. Taką postawą Kohla byli zniesmaczeni nawet nieliczni politycy niemieccy. Markus Meckel, teolog, opozycjonista enerdowski, stwierdził, że „2 marca 1990 roku Helmut Kohl dolał oliwy do ognia, gdy uznanie granicy powiązał z daleko idącymi żądaniami. Polska powinna oświadczyć, że nadal obowiązuje zadeklarowana w 1953 roku przez ówczesny rząd komunistyczny rezygnacja z reparacji. Ponadto powinny zostać wzmocnione prawa mniejszości niemieckiej". Krótko mówiąc, rząd Tadeusza Mazowieckiego miał zrzec się roszczeń reparacyjnych w zamian za potwierdzenie przez Berlin naszej zachodniej granicy. Ze strony niemieckiej dochodziły ostrzeżenia, że ta kwestia może zostać niezałatwiona – na przykład w lipcu 1989 roku niemiecki minister finansów w rządzie Kohla, Theo Waigel, powiedział na zjeździe ziomkostwa Ślązaków w Hanowerze, że zjednoczenie Niemiec powinno obejmować obszary na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej.

„Sprawa odszkodowań od Niemiec wzbudzała w Polsce żywe zainteresowanie" – pisał w 2022 roku niemcoznawca, prof. Stanisław Żerko z Instytutu Zachodniego w Poznaniu. „Podczas listopadowej wizyty w Polsce kanclerza Helmuta Kohla, która miała dać początek nowego rozdziału w stosunkach polsko-niemieckich, Mazowiecki nie mógł nie poruszyć tej kwestii. Kohl wykazywał w tej sprawie wyjątkowy upór, okazując niekiedy wręcz irytację. […] Przypominał, że Polska w 1953 r. zrezygnowała z reparacji […]. Twarda postawa Kohla spowodowała, że w obszernym wspólnym oświadczeniu premiera i kanclerza kwestię odszkodowań całkowicie pominięto". Kohl posunął się też do manipulacji i kłamstw. Jak dalej pisał prof. Żerko: „Podczas wizyty w Camp David w lutym 1990 r. [Kohl – przyp. D.J.] przekonał prezydenta George'a H.W. Busha, że podjęcie problemu reparacji/odszkodowań znacznie opóźniłoby zjednoczenie Niemiec. Mówił przy tym, że Polacy jakoby otrzymali »wielkie sumy« z kwoty 100 mld DM, jakie RFN wypłaciła z tytułu odszkodowań. Była to oczywista nieprawda, gdyż RFN do 1990 r. wypłaciła polskim ofiarom niemieckiej okupacji jedynie 100 mln DM (wspomniana umowa z 1972 r.), a więc ledwie 1 promil z kwoty wymienionej przez Kohla".

Jeden z najbardziej uznanych niemieckich komentatorów politycznych, Michael P. Stuermer, stwierdził na łamach dziennika „Die Welt" 14 września 2017 roku, że zamiecenie pod dywan kwestii odszkodowań było „majstersztykiem niemieckiej dyplomacji". W podpisanym 12 września 1990 roku w Moskwie traktacie 2+4 ani słowem nie wspomniano o reparacjach i odszkodowaniach. Strona niemiecka stoi dziś na stanowisku, że traktat ten zamykał cały kompleks problemów związanych z II wojną światową w odniesieniu do RFN. Do podpisanego 17 czerwca 1991 roku polsko-niemieckiego traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy nie włączono zagadnień związanych z odszkodowaniami.

Himalaje hipokryzji

Profesor Stanisław Żerko nie bez racji stwierdza: „Niemiecka polityka zagraniczna kieruje się przede wszystkim własnymi interesami, ale jednocześnie z ust niemieckich polityków słyszymy odwołania do etyki, moralności, wartości europejskich. I jednocześnie, co jest szczególną hipokryzją, ten sam rząd odwołuje się do wymuszonego na Polsce oświadczenia rządu Bieruta z 1953 roku. […] ubolewam, że duża część polskich analityków i komentatorów traktuje przypomnienie o sprawie reparacji jako swoisty zamach na rzekomą idyllę w relacjach na linii Berlin–Warszawa. Jakiś rodzaj lęku i kompleksów, zaklinanie rzeczywistości, retoryka pojednaniowa i swoiste fetyszyzowanie stosunków polsko-niemieckich, przekonywanie, że celem samym w sobie jest troska, aby były one jak najlepsze, były typowe dla myślenia o naszym sąsiedztwie […]. Otóż nie: możliwie najlepsze relacje z Niemcami nie są celem, ale narzędziem w realizowaniu polskich interesów narodowych. Tego powinniśmy się uczyć właśnie od naszych zachodnich sąsiadów i sojuszników".

eprasa.pl f7e0bb845d

Gwoli przypomnienia. Jesienią 1944 roku, kiedy stało się już jasne, że wojna jest przegrana, całe skradzione bogactwo, m.in. z Polski, Niemcy zaczęli wysyłać za granicę do tzw. zaprzyjaźnionych państw, była to operacja zaplanowana przez wysokich funkcjonariuszy SS i Kancelarii III Rzeszy oraz niemieckich finansistów i przedsiębiorców. Niemcy stworzyli wówczas za granicą dziesiątki spółek joint venture, na których konta wpływały fundusze, które potem były inwestowane. Kilkanaście lat po zakończeniu wojny nastąpił powrót wytransferowanego w czasie wojny kapitału do Republiki Federalnej Niemiec. Ten kapitał stał się podstawą niemieckiego cudu gospodarczego, jaki rozpoczął się w latach 60. To wszystko sprawiło, że Niemcy stały się ponownie gospodarczą potęgą.

Po wojnie Republika Federalna Niemiec została również objęta planem Marshalla, otrzymując około 1,5 mld dolarów, czyli 11 proc. środków. RFN stała się jednym z głównych beneficjentów amerykańskiej pomocy dla zniszczonej wojną Europy. Dziś rząd RFN unika odpowiedzialności i ucieka od tematu reparacji wojennych dla Polski, a wspierają go w tym Donald Tusk i jego koalicja 13 grudnia oraz reżimowe media.

▶ Deutschland über alles

Profesor Bogdan Musiał, polski i niemiecki historyk, politolog, ujawnił w maju 2022 roku dla Polskiej Agencji Prasowej szyfrogram nr 3398, sporządzony w czerwcu 1990 roku przez oficera polskiego wywiadu na podstawie informacji uzyskanych od niemieckiego agenta o pseudonimie „Wolf":

„Według »Wolfa« i kół doradców polityczno-gospodarczych rządu RFN korzystnym z punktu widzenia RFN jest rozbicie politycznych ugrupowań w Polsce, brak dominującej partii i podziały w Solidarności. Optymalnym według »Wolfa« dla jednoczących się Niemiec byłby ostateczny rozpad Solidarności i odrodzenie się w Polsce ze znacznej części jej członków silnego ugrupowania chłopskiego, składającego się z kilku partii chłopskich popieranych przez Kościół. Skutecznie zahamuje to według tych ocen odrodzenie się stabilnego życia politycznego w RP oraz powstanie na gruncie ustaw reprywatyzujących warstwy drobnych i średnich polskich przemysłowców. A więc warstwy średniej, która na zachodzie odgrywa decydująca rolę w rozwoju kraju. Dla Niemiec tworzy to szansę gospodarczej ekspansji (tak jak to było w okresie II RP) i inwestycji przemysłowych w Polsce ze strony małego i średniego kapitału niemieckiego. Przybliżyłoby to też Polskę w strefie bezpośrednich wpływów Niemiec w Europie Wschodniej".

Profesor Musiał przyznał w rozmowie z PAP, że na ujawnienie owego szyfrogramu, odkrytego już wcześniej, zdecydował się dopiero wówczas, kiedy „Der Spiegel" opublikował zapisy z niektórych dokumentów niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych z 1991 roku. Z dokumentów tych wynika jasno, że kanclerz Helmut Kohl chciał zapobiec rozszerzeniu NATO na wschód, był także przeciwny niepodległości Ukrainy oraz krajów bałtyckich, a upadek Związku Sowieckiego nazwał „katastrofą". Zdaniem prof. Musiała ujawnione dokumenty przez „Der Spiegel" mówią bardzo wiele o stosunku Niemców do Polski, a wojna, która toczy się na Ukrainie, „zweryfikowała wschodnią politykę niemiecką".

Dla Niemców, a wówczas osobiście Helmuta Kohla, liczył się, jak widać, wyłącznie interes niemiecki, nasi sąsiedzi gotowi byli poświęcić każdy kraj w imię własnego biznesu. Mentalność niemiecka nie podlega zmianie. Zdaniem profesora Niemcy skutecznie hamowali procesy reprywatyzacji w Polsce, aby nie powstała w Polsce klasa średnia, kluczowa dla życia gospodarczego, aby stworzyć w Polsce możliwości ekspansji gospodarczej dla niemieckich firm.

Profesor w swojej wypowiedzi podkreślił, że szyfrogram oficera polskiego wywiadu wpłynął do centrali w dniu 11 czerwca 1990 roku, a więc rok po częściowo wolnych wyborach w Polsce, gdzie Solidarność odniosła ogromne zwycięstwo, kiedy Polska stawała się krajem demokratycznym, stabilnym politycznie i ważnym w regionie.

„Nie wiemy też dokładnie, czy »Wolf« zdawał sobie sprawę, że rozmawia z polskim agentem" – mówił PAP prof. Musiał. „Mam wrażenie, że nie zdawał sobie z tego sprawy. Wiemy jednak, że szczególnie w partii FDP (Wolna Partia Demokratyczna) byli agenci, blisko Genschera (minister spraw zagranicznych RFN w latach 1974–1992), jego najbliższy współpracownik albo nawet on sam był agentem. […] Mam rosyjską notatkę z rozmowy Genschera z Gorbaczowem z początku grudnia 1989 roku, ta rozmowa wygląda, jakby Gorbaczow był przełożonym Genschera, karcił go wręcz. Ale to tylko moje wrażenie, do końca tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że Genscher był na przykład przeciwko Solidarności".

Mechanizm działania Niemców nie zmienił się od czerwca 1991 roku, czyli owego szyfrogramu odnalezionego przez prof. Musiała, a nawet apetyty niemieckie jeszcze bardziej wzmogły się, ponieważ Polska jest łakomym i łatwym kąskiem. Niemcy zainstalowali w Polsce rząd, który realizuje ich politykę, polegającą – najogólniej rzecz biorąc – na dewastowaniu państwa polskiego, polskich instytucji, gospodarki. Niestety, dzieje się to ze wsparciem dużej części polskiego społeczeństwa. ■

Źródła: „The Times", „Der Spiegel", Deutsche Welle, „Die Welt", „Dziennik. Gazeta Prawna", Polska Agencja Prasowa, „Wszystko, co Najważniejsze".

eprasa.pl f7e0bb845d

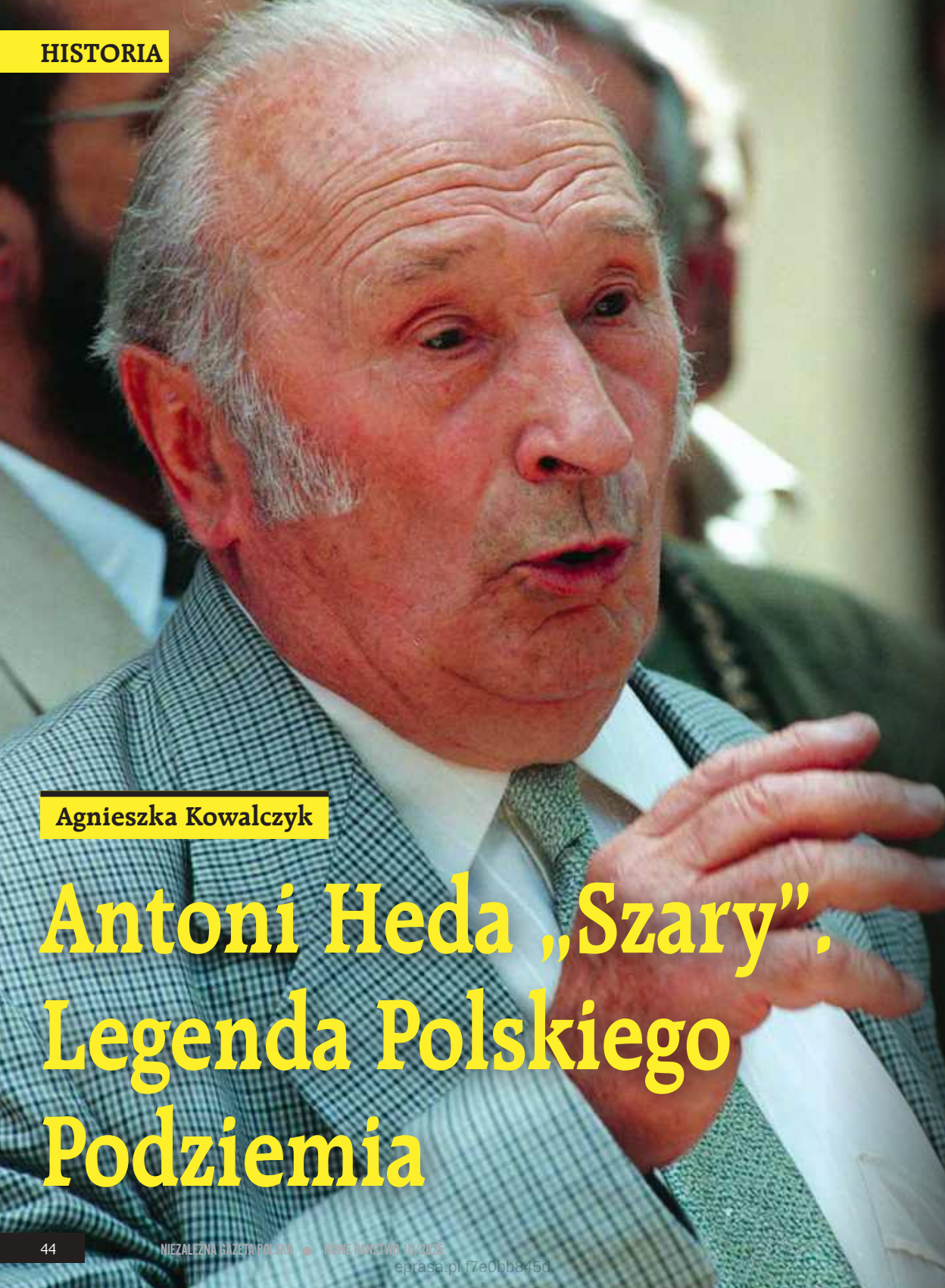

Agnieszka Kowalczyk

Antoni Heda „Szary”. Legenda Polskiego Podziemia

eprasa.pl f7e0bb845d

Stał się legendą partyzantki ziemi kieleckiej i radomskiej. Dzielnie walczył najpierw z okupantem niemieckim, a potem z komunistycznym reżimem Polski Ludowej. Jego ducha nie były w stanie złamać ani ubeckie katownie, ani stalinowskie więzienia, ani też czterokrotny wyrok śmierci. Czuł się Polakiem i Polsce służył do końca swego życia. Był człowiekiem honoru i niezachwianej moralności, słynnym partyzantem, wybitnym dowódcą polskiego podziemia, najlepszym mężem i ojcem.

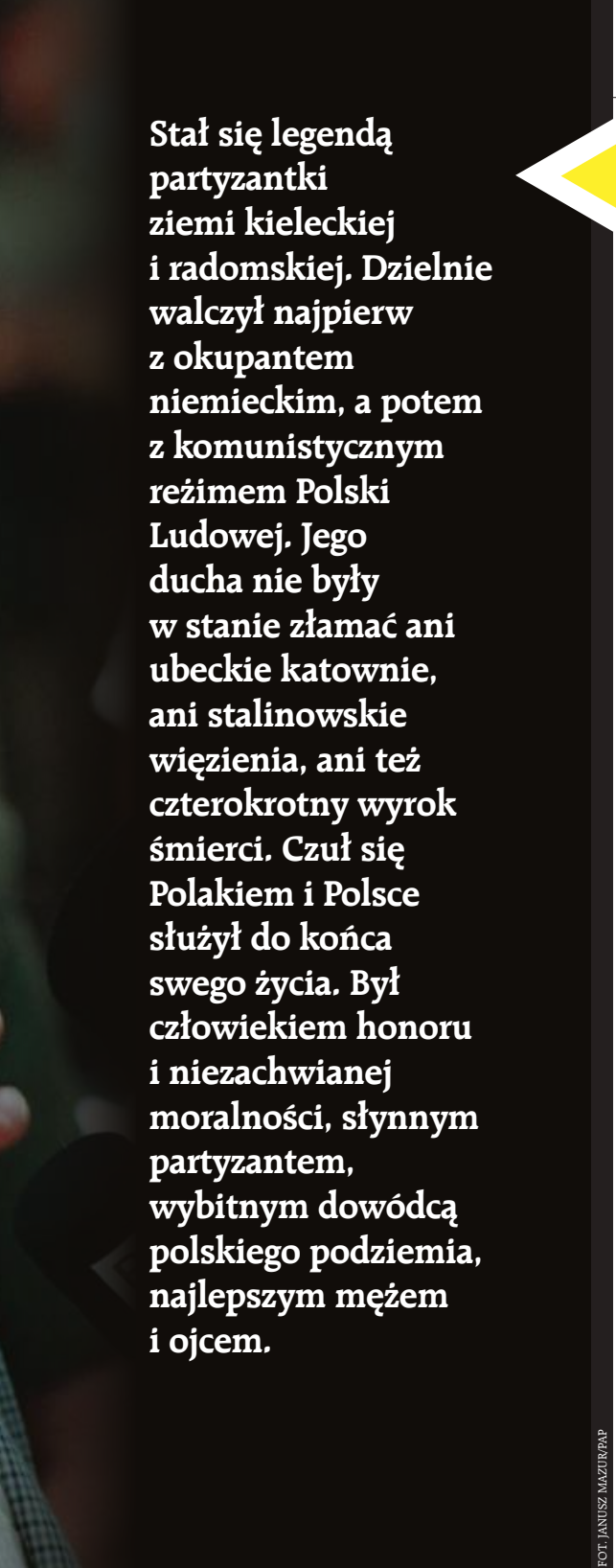

FOT. JANUSZ MAZUR/PAP

Antoni Heda przyszedł na świat 11 października 1916 roku w Małomierzycach koło Iłży, w małej wiosce malowniczo położonej wśród lasów. Jego ojciec gospodarował na ojcowiźnie wraz ze swą żoną Antoniną. Rodzina była duża. Antoni miał sześciu braci i trzy siostry. Jego najdawniejsze wspomnienie sięga roku 1920, gdy do rodzinnego domu zawitali żołnierze walczący naówczas z bolszewikami. Czteroletni malec był nimi zachwycony. „Oglądałem z zaciekawieniem pociski karabinowe i bawiłem się nimi, wyjmując je z ładownicy – opowiadał. – Pamiętam do dziś ich barwę koloru miedzi, a także skórzane ładownice na pasach, takie same jakie nosiłem później, służąc w wojsku. Było to moje pierwsze zetknięcie się z bronią. Pamiętam także jak kawalerzyści odjeżdżali z naszego podwórka i jeden z nich posadził mnie na siodle swojego wierzchowca. W oczach innych dzieci […] malowała się zazdrość. Jakże się wtedy czułem dumny!". Żołnierski los widocznie był mu pisany. Po ukończeniu w 1936 roku Kolejowej Szkoły Technicznej w Radomiu rozpoczął pracę w Fabryce Zbrojeniowej w Starachowicach. Odbył też służbę wojskową w Kielcach, w 4 pułku piechoty Legionów.

Ucieczka w beczce z odpadkami spożywczymi

Wojna zastała go w starachowickich zakładach, których bronił przed wrogiem wraz z całym zespołem pracowników. Od razu też młody podchorąży Heda włączył się w wir walk kampanii wrześniowej. Jego pierwszym wojennym wyczynem było zdobycie niemieckiego samochodu pancernego i użycie go w bojach pod Iłżą, za co otrzymał pochwałę od ppłk. Emila Fieldorfa „Nila". Wraz z cofającymi się oddziałami Wojska Polskiego dostał się pod Kock, gdzie walczył do 5 października 1939 roku w zgrupowaniu gen. Franciszka Kleeberga. Kilka miesięcy po klęsce wrześniowej, w styczniu 1940 roku, przystąpił do tworzenia struktur konspiracyjnej organizacji „Orła Białego", a po masowych aresztowaniach i rozstrzelaniu 360 konspiratorów i mieszkańców Skarżyska-Kamiennej w połowie lutego dołączył do Związku Walki Zbrojnej. Chciał przedostać się przez Rumunię do polskiego wojska na Zachodzie, ale został aresztowany przez NKWD i uwięziony w Brześciu. Po tym, jak Niemcy w czerwcu 1941 roku opanowali twierdzę brzeską, trafił wraz z innymi jeńcami sowieckimi do stalagu 107 pod Terespolem, gdzie na małym skrawku ziemi stłoczono 140 tys. jeńców. „Często razem z trupami rzucano do dołów ludzi jeszcze żywych, w agonii i zasypywano ich ziemią i wapnem. Potem grzebania zaniechano. Kiedy na początku grudnia ludzie umierali w swoich ziemnych jamach, wygrzebanych dla ochrony od wiatru – pozostawiano ich tam w tych sypialniach-grobach. Cały obóz przypominał gi-

gantyczne pobojowisko, po którym z trudem poruszali się jeszcze żywi, wzajemnie się podtrzymujący ludzie-widma". Heda miał wiele szczęścia, bo wydostał się stamtąd na wolność ukryty w beczce z odpadkami spożywczymi! Schronienia udzielił mu nauczyciel mieszkający w pobliżu stalagu, i to dzięki jego pomocy finansowej przedostał się do Warszawy, a stamtąd w rodzinne strony. Od razu powrócił do pracy konspiracyjnej, wstępując w szeregi Armii Krajowej i pełniąc funkcję komendanta Podobwodu Iłża AK.

„Szarego" witano chlebem i solą

Jego domem stały się lasy ziemi radomskiej i kieleckiej, w których toczyło się podziemne życie Polski walczącej. Były doskonałą bazą ruchu partyzanckiego i prawdziwą ostoją ludzi oddanych ojczyźnie. Hedzie czas upływał na „organizacyjnym dopinaniu plutonów", szkoleniu żołnierzy, dbaniu o broń i sprzęt. Oddział „Szarego" nie próżnował – oprócz działań wywiadowczych jesienią 1942 roku zainicjował serię akcji sabotażowych w pracujących dla Niemców gorzelniach, mleczarniach, tartakach i młocarniach. Niszczył biura werbujące na roboty do Niemiec, dokonywał sabotaży administracyjno-gospodarczych, paląc akta kontyngentowe w każdej niemal gminie powiatu i rejestry żywego inwentarza w spółdzielniach rolniczych.

O Hedzie, który wykazywał się talentami prawdziwego dowódcy, tworzył struktury lokalnego wywiadu oraz kryjówki i podziemne szpitaliki, ks. bp gen. Tadeusz Płoski, pisał, że był twórcą „swoistego kodeksu partyzanta, polegającego na tym, aby nie narażać ludności cywilnej na krwawy odwet hitlerowskiego okupanta. Jego oddział budował własne obozowiska, nie nocował po wsiach, wspomagał ludność wiejską zdobytą żywnością i ubraniami. »Szarego« witano chlebem i solą".

Polowanie na „łowcę Żydów"

Jedną z pamiętnych akcji, którą przeprowadził „Szary", było zlikwidowanie w lasach starachowickich groźnego gestapowca z miejscowości Marcule, niejakiego Kruegera, który urządzał na tym terenie polowania dla prominentnych Niemców. Ponoć brał w nich udział sam Hermann Göring. W istocie Krueger był „łowcą Żydów" ukrywających się w lasach i organizował na nich prawdziwe obławy. Podchorąży Marian Langer „Brzoza", syn leśniczego z Klepacz, opowiadał, że po zamieszkaniu w Marculach Krueger zajął się rozpoznaniem środowisk polskich pracowników leśnych, tworząc sieć donosicieli. Najpierw jego ofiarą padł nadleśniczy Wiesław Ungeheuer za odmowę wpisania się na Reichslistę. Jemu to podesłał dwóch agentów gestapo udających Francuzów zbiegłych z niemieckiej niewoli. Podstęp się udał, nadleśniczy ukrywał w swoim domu rzekomych zbiegów, aż do momentu aresztowania go wraz z agentami. Otrzymał karę śmierci zamienioną na obóz koncentracyjny w Dachau.

Potem Krueger wydał rozkaz rozstrzelania jeszcze dwóch innych gajowych z leśnictwa Klepacze – Jana Sadłosa i Jana Glabisza – za pomoc udzieloną Żydom. Jego najkrwawszą akcją była pacyfikacja wsi Bór Kunowski (4 lipca 1943), podczas której oddziały żandarmerii i SS zamordowały 44 mieszkańców. Ich ofiarą padły głównie kobiety i dzieci, 20 ludzi spalono żywcem. I oni także próbowali ratować Żydów.

W tej sytuacji „Szary" razem z Janem Piwnikiem „Ponurym" opracowali plan likwidacji Kruegera. 7 lipca 1943 roku ośmioosobowa grupa pod dowództwem Jerzego Hajdenrajcha „Kruka" podeszła pod jego dom. Do środka wkroczyli dwaj zamachowcy i dwaj ludzie z ochrony w mundurach leśników. Krueger, zorientowawszy się w czym rzecz, w mgnieniu oka pchnął stół na partyzantów i rzucił się do ucieczki. Padł strzał, kula przeszyła mu nogę, ale wciąż jeszcze uciekał. Ostatecznie jednak Wyrok Polskiego Państwa Podziemnego został wykonany. Z domu Krugera przejęto cały arsenał broni – pistolety, karabiny, granaty i dubeltówki.

Wypowiedział wojnę Niemcom

Przez całą okupację niemiecką Heda wraz ze swoim oddziałem dokonywał rzeczy wymagających niezwykłej odwagi, działając na ziemi radomskiej i świętokrzyskiej. Jedną z jego pierwszych brawurowych akcji stało się zdobycie niemieckiego więzienia w Starachowicach i uwolnienie wszystkich 80 aresztantów, którzy znaleźli schronienie w okolicznych lasach. 70 spośród uwolnionych, głównie młodych ludzi z okolic Tarłowa, Starachowic, Skarżyska oraz wysiedleńców z Poznańskiego i Łódzkiego, przyłączyło się zaraz do partyzantów Zygmunta Kiepasa „Krzyka".

W połowie września 1943 roku po przeszło trzygodzinnej zażartej walce Heda ze swymi ludźmi zdobył ufortyfikowany kompleks budynków majątku Pakosław koło Iłży, w którym stacjonował 50-osobowy oddział Wehrmachtu terroryzujący okolicznych mieszkańców. Atak partyzantów zaskoczył Niemców i zakończył się zdobyciem pokaźnej ilości broni i amunicji. Nie minął tydzień, gdy „Szary" przystąpił do akcji odwetowej na niemieckich kolonistach we wsi Gozdawa, karząc ich za represje wobec tamtejszej ludności. Ośmieleni sukcesami partyzanci uderzyli jesienią 1943 roku na Zakłady Zbrojeniowe w Starachowicach. Przebrani za Niemców opanowali fabrykę i opróżnili jej kasę, uwożąc 2 mln złotych oraz broń.

Najbardziej spektakularne starcie oddziału „Szarego" to całodzienna zwycięska potyczka z Niemcami sto-

eprasa.pl f7e0bb845d

czona 1 kwietnia 1944 roku w okolicach Jeleńca. Dwa miesiące później jego grupa szturmowa wysadziła za pomocą trotylu bramę więzienia w mieście Końskie i uwolniła około 70 więźniów. Partyzanci stracili czterech ludzi, ale Niemców zginęło 17. Niedługo potem, w lipcu 1944 roku, przejęli niemiecki pociąg w pobliżu Wólki Plebańskiej, zdobywając pokaźną ilość amunicji i trotylu. Tymczasem zbliżała się akcja „Burza". W lasach koneckich, gdzie operował „Szary", zarządzono koncentrację 3. Pułku Piechoty Legionów AK, a jemu powierzono dowództwo II batalionu. We wrześniu ruszył ze swoim oddziałem na odsiecz mieszkańcom Radoszyc pacyfikowanych przez oddział SS, potem bił się pod Trawnikami i Radoszycami, a wreszcie wziął udział w prawdziwej batalii pod Szewcami koło Chęcin, mierząc się z niemieckimi samolotami i artylerią. „Niemcy przystąpili do ostrzeliwania naszych pozycji z moździerzy i granatników. Metr po metrze orali ziemię pociskami, samoloty obrzucały las wiązkami granatów i małymi bombami. Piekło na ziemi" – wspominał jeden z uczestników boju. Z tego morderczego starcia to jednak Niemcy wyszli przegrani, mając po swojej stronie około stu poległych.

Jak rozbić ubeckie więzienie w Kielcach

Wkroczenie Armii Czerwonej na ziemie polskie otworzyło nowy rozdział naznaczony walką zbrojnego podziemia niepodległościowego z komunistami, którzy siłą i terrorem torowali sobie drogę do władzy. 19 stycznia 1945 roku Komendant Główny AK gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek" uświadamiał swoim żołnierzom, że „wojna się nie skończyła" i że nie ma zgody na „inne życie, jak tylko w całkowicie suwerennym, niepodległym i sprawiedliwie urządzonym Państwie Polskim". Tego samego zdania był Antoni Heda.

W głębiach sosnowych borów Kielecczyzny, w gajówce Pogorzałe, nieopodal drogi ze Skarżyska-Kamiennej do Radomia, w lipcu 1945 roku „Szary" zainicjował tajne spotkanie z por. Włodzimierzem Dalewskim „Szparagiem" stającym do niedawna na czele plutonu saperów 3. Pułku Piechoty Legionu AK w czasie akcji „Burza". W odludne leśne ustronie sprowadziła obu konieczność szukania ratunku dla aresztowanych przez Sowietów i przetrzymywanych w kieleckim więzieniu żołnierzy AK, Narodowych Sił Zbrojnych i innych działaczy polskiego podziemia niepodległościowego. W ręce Sowietów dostali się m.in. ppłk Wojciech Borzobohaty „Wojan" – szef sztabu Okręgu Radomsko-Kieleckiego, płk Antoni Żółkiewski „Lin" – dowódca 2. Dywizji Piechoty AK, mjr Michał Mandziara „Siwy" – szef sztabu tej jednostki. Ubecy pochwycili też braci „Szarego" i po poddaniu okrutnym torturom zamordowali. Ciało Jana Hedy prawdopodobnie wrzucono do dołu kloacznego, natomiast skatowanego Stanisława Hedę z rozbitą czaszką przewieziono do szpitala, gdzie dr Balicki odmówił mu pomocy lekarskiej, mówiąc: „Ciebie, bandyto, nie warto ratować".

Tymczasem partyzanci „Szarego" czekali niecierpliwie na mającą nastąpić 3 sierpnia mobilizację wszystkich sił w lasach dalejowskich, w odległości pięciu kilometrów na zachód od leśniczówki Kruk w powiecie kieleckim.

Najpierw należało wywabić wroga z Kielc. Dzień przed akcją upozorowano uderzenie na miasteczko Szydłowiec koło Radomia. „W pobliskich lasach rozkładaliśmy miny, które kolejno wybuchały przez cały dzień – opowiada »Szary«. – Tym sposobem zmusiliśmy wojskowy garnizon stacjonujący w Kielcach do opuszczenia miasta. Pociągnęli na obławę. Od samego rana wywożono ich autobusami na miejsce wybuchów i tam czesali lasy, nikogo nie znajdując".

W czasie gdy niczego nieświadoma obława ubecka penetrowała szydłowieckie bory, partyzancki patrol zatrzymywał i rekwirował wszystkie napotkane pojazdy przejeżdżające szosą Skarżysko-Kamienna–Kielce, kierując je w lasy bliżyńskie, skąd partyzanci mieli wyruszyć nocą przez wieś Kruk ku Kielcom. Wśród 14 zatrzymanych samochodów znalazło się kilka należących do KBW i WUBP w Kielcach. By nie dopuścić do demaskacji, pasażerów trzymano pod strażą w lesie.

W nocy z 4 na 5 sierpnia 1945 roku z leśnych głębin wyłoniło się ponad 200 śmiałków polskiego podziemia uzbrojonych w około 20 karabinów maszynowych, blisko 200 pistoletów, trzy piaty, granaty oraz spory zapas materiałów wybuchowych i amunicji. Czym prędzej załadowali się na zarekwirowane ciężarówki i pomknęli ku Kielcom. Na czele kolumny w dwóch pierwszych wozach pędziła grupa szturmowa, a za nimi w kolejnych oddziały dowodzone przez poruczników „Sęka", „Zygmunta", „Harnasia" i „Ostrolota".

Wysadzanie cel

Zastawszy Kielce zatopione w głębokim śnie, ciszy i chlupoczącym deszczu, leśni ludzie w mig rozbroili posterunek na rogatce, pozrywali linie telefoniczne, pozakładali ładunki wybuchowe i rozstawili karabiny maszynowe wokół koszar wojskowych, posterunków milicyjnych i ubeckich. Grupa szturmowa pod wodzą „Szarego" przemknęła przez cmentarną bramę przykościelną, przeskoczyła mur i wpadła na ulicę Zamkową, stając przed kieleckim więzieniem.

„Odpaliliśmy z piata – relacjonuje »Szary« – jeden, drugi strzał, ale brama dalej pozostawała zamknięta, główne rygle nie chciały puścić. Trzeba więc było przygotować nowe ładunki i założyć je wprost pod rygle. Puściło wreszcie! Ale po pierwszej trzeba było zdobyć

eprasa.pl f7e0bb845d

następną bramę. Odbyło się to w podobny sposób. Znaleźliśmy się na głównym podwórcu więziennym".

Wyzwalanie uwięzionych rozpoczęło się od cel w kobiecym pawilonie. Oswobodzone więźniarki wybiegały na zewnątrz rozgorączkowane, półprzytomne, nierzadko w nocnych strojach, „radując się i płacząc na przemian". Zaraz potem przyszedł czas na cele męskie, wysadzane jedna po drugiej, od dołu ku górze. Wymagało to zachowania szczególnej ostrożności, by nie zranić pozamykanych w środku, którzy chwilę przed wybuchem zasłaniali głowy kocami i siennikami. Zdarzało się, że wrzucano im przez okno ładunek, który sami odpalali, torując sobie drogę ku wolności. Tak oto wydarty został z paszczy lwa blady i słaby płk Antoni Żółkiewski „Lin", który ledwo słaniał się na nogach, tak też kapitan Michał Mandziara „Siwy", który uradowany i pokrzepiony na duchu od razu włączył się w akcję. Za nim szli ludzie ze sztabu NSZ, a wśród nich kpt. Józef Wyrwa „Stary". Wyswobodzony porucznik „Jeleń" oświadczył ze śmiechem, że „sam się odbił", gdy własnoręcznie odpalił podany mu przez żołnierza ładunek. Tymczasem „Szary" wciąż szukał swoich braci i szwagra, ale nigdzie ich nie było. Minęła już godzina trzecia w nocy. Akcja przedłużała się w czasie, z każdą chwilą robiło się coraz niebezpieczniej. Trzeba było wydać rozkaz do odwrotu, a tu zabrakło trotylu do wysadzenia ostatnich trzech cel. Dla zamkniętych w nich ludzi nie było już ratunku… Ostatecznie uwolniono 354 więźniów, a według szacunków samego Hedy liczba ta mogła sięgnąć nawet 700 osób.

Po wykonaniu zadania akowcy zanurzyli się w lasy klonowskie, będące dla nich najbezpieczniejszym schronieniem. Dla Hedy prawdziwym wstrząsem były wieści o tragicznym losie obu braci bestialsko zamordowanych przez bezpiekę. W momencie poznania prawdy poprzysiągł sobie, że „rozbijanie ubeckich więzień musi stać się nakazem chwili!".

Rozbicie kieleckiego więzienia i uwolnienie setek przetrzymywanych w nim Polek i Polaków było jedną z najbardziej brawurowych akcji Polskiego Podziemia. Mówi o tym poruszająca relacja jednej z oswobodzonych więźniarek:

„Cela bardzo mała, okno 70×55 cm i kosz na nim, a nas jest 7. Ciemno i przeraźliwie duszno. […] Badania trwały po 9 godzin bez przerwy. […] Więc trzask pierwszego policzka. Zrywam się na równe nogi – lecz już dwóch drabów wykręca mi ręce i ciska na podłogę. A za chwilę zaczyna się… Świst gum i obelżywe słowa szumią w głowie. »Mówisz ty« i potok najohydniejszych słów. Zmęczyli się, bo to już trwa jakieś pół godziny. Stoję na uginających się nogach, każdy nerw wibruje we mnie. Wracam do celi, trzymając się ścian. Towarzyszki moje siedzą przerażone i milczące. Wita mnie grobowa cisza. […] Dziś ja, jutro ty – znamy to wszystkie. Widziałyśmy cele badań zbryzgane krwią, słyszeliśmy jęki katowanych… Na brzęk kluczy, zgrzyt zamka drgałyśmy nerwowo, jak pod pchnięciem noża. Nie zapomnę tego, póki żyć będę. […] Aż 4 VIII o godz. 3 huk »gammonów«, grzechot salw i okrzyk: »Niech żyje Polska«. Szybko mówimy »pod Twoją obronę« za tych, co idą i ubieramy się, jak która może. Potem – tupot ich kroków i huk wysadzanych drzwi zwiastujący Wolność – w sekundzie cele są puste. A my nareszcie wolni. Wszystkim, którzy się do tego przyczynili, za ofiarność, poświęcenie i odwagę Cześć".

Najgorsi są zdrajcy

Po sukcesie akcji kieleckiej Heda „Szary" ukrywał się pod zmienionym nazwiskiem wraz z żoną Wacławą najpierw w Marysinie, a potem we Włocławku. Gdy na początku września 1945 roku powstała organizacja Wolność i Niezawisłość – kontynuatorka organizacji „Nie" – bez wahania do niej przystąpił. Nadal utrzymywał stałą łączność z oficerami i dowódcami plutonów, pomagał, jak tylko mógł, „spalonym" i zagrożonym aresztowaniem. Pułkownik Jan Zientar „Mieczysław" powierzył mu dowództwo Samodzielnej Brygady Kieleckiej, a do tego nowe zadanie rozbicia „więzienia znajdującego się w samym sercu najbardziej strzeżonego miasta polskiego" – więzienia mokotowskiego w Warszawie! Siedziało w nim bardzo wielu akowców. Cały plan udaremnił jednak szef wywiadu Okręgu Radomsko-Kieleckiego o pseudonimie „Bartek", który okazał się zdrajcą, doprowadzając do uwięzienia wielu działaczy podziemia.

„Szaremu" przez długi czas udawało się uniknąć aresztowania. Najpierw w Solcu Kujawskim pracował jako kierownik w Zakładach Remontów Samochodowych, skąd musiał uciekać wraz z rodziną, po tym jak przedwojenny poseł Antoni Langer, którego poznał w czasie okupacji niemieckiej, opowiedział o nim samemu Bierutowi, ujawniając jego miejsce zamieszkania. Wtedy zdążył jednak w porę umknąć ubekom. Potem przez długi czas jego bezpieczną przystanią stał się Emilianów koło Ostródy, gdzie został kierownikiem cegielni z kaflarnią i gdzie stworzył prawdziwy dom dla swojej żony Wacławy i dwóch córeczek, Marysi i Tereni. Rodzinna sielanka dobiegła jednak końca wiosną 1948 roku. Podczas polowania zorganizowanego w okolicznych lasach dla Bieruta Heda został rozpoznany przez dawnego partyzanta od „Łokietka" (AL). W tej sytuacji zdecydował, że musi uciekać wraz z rodziną. Wyjechali o świcie, jeszcze przed pojawieniem się pracowników. Tym razem udali się do Gdyni-Chylonii, do siostry Wacławy.

Jednakże pewnego lipcowego dnia 1948 roku, gdy Antoni wyszedł z domu szwagierki, zauważył, że jedzie za nim jeep i motocykl z milicjantami. Skierował się na dworzec. Wokół było zupełnie pusto, jedynie po peronie kręcili się wojskowi. W chwili, gdy poprosił o bilet na

eprasa.pl f7e0bb845d

Hel i sięgał już po portfel do tylnej kieszeni, doskoczyło do niego znienacka trzech cywilów. „Chwyciwszy za ręce i wykręciwszy je do tyłu, wprowadzili mnie do bufetu – opowiada. – Tutaj spojrzeli na zdjęcie, na które i ja ukradkiem zerknąłem, i powiedzieli: »ten sam«. Rzeczywiście byłem ten sam! Musiałem być ten sam, bo było to zdjęcie, które zrobił mi Edek Nadarkiewicz w Zakopanem. Jedno jedyne, wykonane przez niego w 1946 r. Byłem w tym samym ubraniu co teraz, dosłownie, w tym samym: biała furażerka na głowie, spodnie-pumpy w kratę (krótkie) koszula i czarne okulary przeciwsłoneczne". W jednej chwili wszystko stało się jasne. Zdradził go kolega z konspiracji – Edek Nadarkiewicz „Narew". Spotkał się z nim niedawno w Warszawie, u przyjaciela Mietka Kalinowskiego „Zdzisława". Edek żalił się, że „gonią go", że ucieka z żoną. Antoni zaoferował mu pomoc, wysłał do swojego znajomego na Mazurach, pożyczył 20 tys. złotych, a ten okazał się zdrajcą.

W celi śmierci

Podczas śledztwa Antoni Heda zachowywał się niezłomnie – „jego wewnętrzna siła, postawa i okupacyjna legenda budziły respekt ubeckich oprawców". Przetrzymywany był w siedzibie Informacji Wojskowej przy ulicy Oczki w Warszawie, a śledztwo, podczas którego osobiście przesłuchiwał go Józef Różański, toczyło się przy ulicy Rakowieckiej. Proces „Szarego" odbywał się natomiast przy zamkniętych drzwiach w Kielcach. Na sali sądowej ustawiono karabiny maszynowe. Oskarżono Hedę o współpracę z hitlerowskim okupantem i „długoletni staż w służbie rodzimego faszystowsko-sanacyjnego podziemia". Został skazany na czterokrotną karę śmierci. Kategorycznie odrzucił możliwość ubiegania się o ułaskawienie. W celi śmierci spędził kilka miesięcy, oczekując na egzekucję. Wtedy też powierzył swe życie Opatrzności Bożej. „Dopuszczając myśl o śmierci, mówiłem sobie: przecież śmierć jest naturalnym zakończeniem życia. Umrzeć kiedyś trzeba – wyznawał. – Zależało mi tylko na tym, żeby zdążyć przed śmiercią wykrzyknąć: »Jeszcze Polska nie zginęła«. […] Byłem przygotowany wszystko szczerze wyznać Bogu, wyspowiadałem się kontemplacyjnie i przyjąłem Komunię św. z chleba, wierząc, że przyjmuję prawdziwe Ciało i Krew Chrystusa".

Ostatecznie wyrok zamieniono na dożywocie, biorąc pod uwagę, że skazany podczas wojny pomagał Żydom i uratował jeńców radzieckich, przekazując ich do oddziału AL Mieczysława Moczara. Więziony był w Rawiczu i Wronkach.

Ogród wolności, czas Solidarności

Wolność odzyskał dopiero na mocy amnestii, 16 listopada 1956 roku. Wtedy też postanowił wieść takie życie, by całkowicie uniezależnić się od władzy. Nabył więc kawałek ziemi w podwarszawskich Kaniach i tam osiadł z rodziną. Wybudował skromny dom i założył nowoczesną szklarnię, a miejsce to przeobraziło się w wymarzone gniazdo rodzinne. „To wspaniałe siedlisko w Kaniach z bajecznym ogrodem pielęgnowanym przez Mamę, stawikiem z pływającymi rybami, ogromnym sadem i warzywnikiem, zawsze z dwoma psami […] i tradycyjnie prowadzonym domem, zostaje w pamięci nie tylko najbliższej rodziny, a także ogromnej ilości osób, które odwiedzały rodziców" – wspominała córka „Szarego" Teresa. Była pierwszą osobą z rodziny, która ujrzała go po tym, jak po latach opuścił więzienie i wrócił do domu. Miała wówczas 11 lat, plotła warkocze do szkoły, gdy nagle w lustrze ujrzała postać wchodzącego do domu ojca i z całych sił krzyknęła: „Tatuś!". Pamięta tatę jako człowieka stanowczego i wymagającego, który jednocześnie miał wielkie serce i kochał ludzi. Był zarazem człowiekiem głęboko wierzącym. Modlił się na różańcu, klęcząc, mimo bólu w kolanach, nie opuszczał niedzielnych Mszy świętych".

Antoni Heda swojemu patriotycznemu etosowi pozostał wierny do końca życia. Całą duszą czuł się związany z dawnymi towarzyszami broni i ich rodzinami. Chcąc, by nie zaginęła pamięć o ich niepodległościowym czynie, organizował religijno-patriotyczne spotkania „Szaraków", ogniska partyzanckie, patronował budowaniu pomników i odsłanianiu tablic upamiętniających bohaterstwo walczących o Polskę. W 1980 roku tworzył struktury Solidarności Kombatantów, a 12 grudnia 1981 roku został jej przewodniczącym. Po ogłoszeniu stanu wojennego internowany trafił do więzienia w Białołęce. Wolność odzyskał 16 czerwca 1982 roku, ale do końca lat 80. był podsłuchiwany i inwigilowany przez komunistów. Dopiero wraz z nastaniem prawdziwej wolności doczekał się rehabilitacji. W latach 90. doprowadził do zjednoczenia około 30 organizacji kombatanckich i stworzenia Światowej Federacji Polskich Kombatantów, której został prezesem. Uhonorowano go m.in. Orderem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych i Żelaznym Orderem Gwiazdy Wytrwałości. W 2006 roku prezydent RP Lech Kaczyński nadał mu stopień generała brygady, a pośmiertnie odznaczono go Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Jeden z ostatnich Niezłomnych, który całe swe życie poświęcił ojczyźnie, odszedł na wieczną wartę 14 lutego 2008 roku. Żegnany był z wojskowymi honorami w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie. Pochowany został na cmentarzu w Podkowie Leśnej w mundurze strzeleckim, a na płycie nagrobnej, zgodnie z jego ostatnim życzeniem, pojawiła się postać Matki Boskiej z Dzieciątkiem, która osłania swym płaszczem żołnierza AK. ■

Źródło: Antoni Heda-Szary, „Wspomnienia »Szarego«", Warszawa 2021.

eprasa.pl f7e0bb845d

Piotr Lisiewicz

Szaposznikow, bardzo dyskretnie dyskutujący z pomysłem »pochodu za Wisłę« Tuchaczewskiego, dość wyraźnie atakuje naiwne, europejskie poglądy niefortunnego czerwonego marszałka. Klęska 1920 r. wypłynęła nie ze słabości armii czy jej nędznego wyekwipowania, jak to tłumaczy Tuchaczewski, lecz z niedostatecznego zrewolucjonizowania Polski. »Przeceniliśmy zrewolucjonizowanie wewnętrznej sytuacji w Polsce w tym okresie. Ta przesada w ocenie sytuacji w Polsce znalazła swój wyraz w nadmiernej, tzn. nie uzgodnionej z naszymi możliwościami, ofensywnej operacji«" – cytował znakomity polski sowietolog Włodzimierz Bączkowski w swym fundamentalnym artykule „Uwagi o istocie siły rosyjskiej". Czy podobnie Rosjanie oceniają dziś pełnoskalową wojnę z Ukrainą? Czy nie docenili woli obrony ze strony Ukraińców i woli Polski, by Ukrainie pomagać? Czy przecenili tendencje rozkładowe, niszczące Zachód? Jak dowodził Bączkowski, Rosja prowadząca wielokrotnie liczne wojny na wielu frontach, wygrywa tam, gdzie spotyka wroga moralnie zniszczonego, rozłożonego korupcją i jej intrygami. Poniżej najbardziej aktualne dziś fragmenty artykułu „Uwagi o istocie siły rosyjskiej".

Włodzimierz Bączkowski

Uwagi o istocie siły rosyjskiej

Moskwa z reguły podbijała narody bądź znajdujące się w stanie kompletnego upadku, bądź też nie stawiające większego oporu.

W. Iwan, głęboki myśliciel rosyjski, pisał: „Zawojewanija wsiegda byli dla nas ekwiwalentom gosudarstwiennoj siły". Gen. Kuropatkin w swym dzienniku oblicza, że w ciągu ostatnich lat Rosja prowadziła długi szereg wojen, ciągnących się w sumie 128 lat – z tej liczby wojny mające na celu rozszerzenie granic Rosji trwały w sumie 101 lat. Wojen obronnych prowadzono w tym czasie tylko cztery i trwały one w sumie zaledwie 4 i pół roku. Dane te, poparte tablicą rozwoju terytorialnego Rosji, sugerują wstępny pogląd, że wojny zaborcze Rosji są najwłaściwszym przejawem potęgi tego kraju, analiza zaś tych wojen musi nas z konieczności prowadzić do wyłuskania tych elementów, które skupiają w sobie istotną treść siły moskiewskiej. Analizując jednak wojny zaborcze Rosji, przekonamy się że Moskwa z reguły podbijała narody bądź znajdujące się w stanie kompletnego upadku, bądź też nie stawiające większego oporu. Zatrzymamy się na paru przykładach.

***

Cesarstwo Kazańskie padło w chwili wewnętrznej słabości i izolacji dyplomatycznej, niezdolne do oporu poza obroną murów Kazania (1551), carstwo astrachańskie w ogóle nie stanowiło żadnego zorganizowanego organizmu państwowego (1556), Syberię podbijały ochotnicze watahy pioniera Jermaka (1581) – z kolei Czułkow, również rodzaj Pizzaro syberyjskiego, dokończył dzieła podboju Syberii do linii średniego Jenisieju, nie napotykając na opór z jakim spotkali się konkwistadorzy amerykańscy (1584-1598). Tak samo zhołdowano ziemię Baszkirów (1586), ziemię Samojedów, wreszcie Tatarów, rozpylonych pomiędzy Obiem i Jenisiejem, ziemię Tunguzów i Jakutów. W tym samym czasie na zachodzie traktatem andruszowskim zdobyto Ukrainę zadnieprzańską walczącą na dwa fronty i opanowaną wewnętrzną anarchią (1667), a nieco później metodą lekkiej wyprawy myśliwskiej zagarnięto Kamczatkę (1703), ziemię Koriaków, na zachodzie część Finlandii i w r. 1772 pierwszą część osłabionej, zanarchizowanej, o przekupionej elicie Polski.

eprasa.pl f7e0bb845d

Jako następna padła Gruzja, całkowicie bezsilna, trwająca w podziałach i zagrożona przez muzułmańską część Kaukazu (1801). Nie było też rzeczą trudną opanować Besarabię kosztem dalekiej potęgi Islamu oraz słabej Wołoszy i Mołdowy (1812). Nie były żadnym militarnym bohaterstwem zdobycze na północnych koloniach Chin, odległych od metropolii o dobre 1200 km. itd.

Jednocześnie momentem najbardziej zastanawiającym jest fakt, że najmniejszy opór na długo zatrzymywał zwycięski podbojowy pochód Rosji, a najmniejszy, lecz prężny i zdrowy moralnie ośrodek państwowo-narodowy umiał trzymać w szachu o wiele potężniejszą Moskwę. Złota Horda z XIV i początku XV w. panowała nad potężnym Księstwem Moskiewskim. Później mikroskopijny Krym przez półtora, dwa stulecia w wiekach od XIV do XVII zagrażał państwu 10-krotnie większemu pod względem ludności i 20, 30-krotnie większemu terytorialnie […]

Interesujące są dzieje walki Rosji z Kaukazem Północnym. 150-200 tys. armia wielkiego mocarstwa walczyła wówczas z 8-10 tys. Górali, nie posiadającymi za sobą ani silnych węzłów jedności narodowej, ani wspólnej organizacji państwowej. Opór Górali trwał jednak przez 25 lat sprawiając Rosji nie lada kłopot. Rosja umiała ponosić klęski również i przy zdobywaniu pustki Turkiestanu w połowie ub. stulecia […]

***

Rola siły zbrojnej Rosji we wszystkich tych wydarzeniach występuje w świetle bladym, jako coś marginesowego, co będąc zawsze słabe, jednocześnie umie zwyciężać dzięki wspaniale układającym się okolicznościom ubocznym przy których na czołowe miejsce wysuwa się czynnik uchwycenia odpowiedniego momentu oraz świadomego tworzenia dogodnego dla siebie układu stosunków. Stajemy w ten sposób przed zjawiskiem siły rosyjskiej, leżącej gdzieś poza formalną siłą militarną. Powiedzenie Trockiego, że Rosja to nie naród i nie państwo, lecz kontynent, nie rozwiązuje sprawy w całości, stanowiąc tylko jeden ze szczegółów ułatwiających sytuację Rosji. Obok trudności przestrzennych i okupacyjno-garnizonowych istnieją tu siły, które umieją wypierać wroga nawet w dobie wielkich trudności wewnętrznych typu „smuty" i rozszerzać swe wpływy polityczne w chwilach największego nasilenia wewnętrznych przeciwieństw, jak to było w dobie wojennego komunizmu, z politycznym opanowaniem Mongolii Zewnętrznej i później – w innych warunkach – Chińskiego Turkiestanu […]

Rosja, której główne państwowotwórcze procesy odbywały się na wschód od Moskwy, jest z punktu widzenia kultury państwowej (i nie tylko państwowej) państwem azjatyckim, powierzchownie i zewnętrznie zabarwionym europeizmem. Z azjatyckiego charakteru Rosji wypływa swoisty, podszyty mistycyzmem materializm światopoglądowy Rosjan. Stąd zaś wypływają dwie cechy rosyjskiego życia zbiorowego: niezdolność do poświęceń życia w walce o ideały narodowe lub państwowe oraz szukanie innych metod walki a unikanie walki zbrojnej, wymagającej krwi i najwyższej ofiarności. Tą inną drogą walki jest akcja polityczna, prowadzona różnorakimi metodami i skrajnie przewrotna, nie zatrzymującą się przed masowymi aktami wszelkiego rodzaju gwałtu sprowadzającego akcję polityczną do charakteru specjalnego rodzaju wojny nieregularnej.

***

Rok 1920 jest dalszym ciągiem dziejów dywersji rosyjskiej, za którą wlecze się byle jaka armia będąca dodatkiem, rodzajem licznej watahy pacyfikacyjnej. B. Szaposznikow, bardzo dyskretnie dyskutujący z pomysłem „pochodu za Wisłę" Tuchaczewskiego, dość wyraźnie atakuje naiwne, europejskie poglądy niefortunnego czerwonego marszałka. Klęska 1920 r. wypłynęła nie ze słabości armii czy jej nędznego wyekwipowania, jak to tłumaczy Tuchaczewski, lecz z niedostatecznego zrewolucjonizowania Polski. „Przeceniliśmy zrewolucjonizowanie wewnętrznej sytuacji w Polsce w tym okresie. Ta przesada w ocenie sytuacji w Polsce znalazła swój wyraz w nadmiernej, tzn. nie uzgodnionej z naszymi możliwościami, ofensywnej operacji". Ten pogląd wypowiada L. Trocki. W postawie Szaposznikowa łatwo wyczuwa się przekonanie, że nie należy szukać źródła klęski w takim czy innym stanie armii. To jest sprawa drugorzędna, sedno sprawy tkwi gdzie indziej – w tym co wojnę powinno poprzedzać i jej wynik określać z góry nieomal w 100%. Kult Clausewitza w pracy Szaposznikowa jest również znamienny. Uczeń doktryn moskiewskich z przełomowych lat 1812–14, Clausewitz, jest wychowankiem wojennej tradycji moskiewsko-mongolskiej. Jego poglądy o integralnym powiązaniu polityki z wojną i haseł politycznych z walką orężną nie w Niemczech, lecz w Rosji znalazły pełne uznanie. Paul Rohrbach atakuje bezideowość wojny niemieckiej z Rosją w 1914 r. Natomiast „Krasnaja Zwiezda" z 7 listopada 1938 r. pisze: „Formułka Clausewitza była w sposób należyty doceniona przez klasyków marksizmu. Tylko w świetle markso-leninowskiej nauki została ona w należyty sposób wyniesiona – ze sfery dogmatyki wkroczyła w sferę regulaminowego działania". ■

Przedruk za: „Wschód–Orient. Kwartalnik poświęcony sprawom Wschodu", Warszawa, październik–grudzień 1938.

eprasa.pl f7e0bb845d

Łukasz Czarnecki

20 lutego ubiegłego roku upłynęło 200 lat od chwili, gdy prof. William Buckland z Uniwersytetu Oksfordzkiego wygłosił w londyńskim Towarzystwie Geologicznym referat, w którym przedstawiał uczonym kolegom opis odkrytego przez siebie olbrzymiego prehistorycznego gada – megalozaura. Wydarzenie to stanowi początek fascynacji dinozaurami (choć termin ten ukuto dopiero w 1842 roku). Przez dwa wieki zmieniały się wyobrażenia na temat wyglądu i natury mezozoicznych zwierząt, a one same odcisnęły zza grobu trwały ślad w popkulturze, równie wyraźny jak znajdywane na całym świecie skamieniałe tropy sprzed dziesiątków milionów lat.

FOT. WIKIMEDIA

eprasa.pl f7e0bb845d

Dyskretny urok zaginionych światów

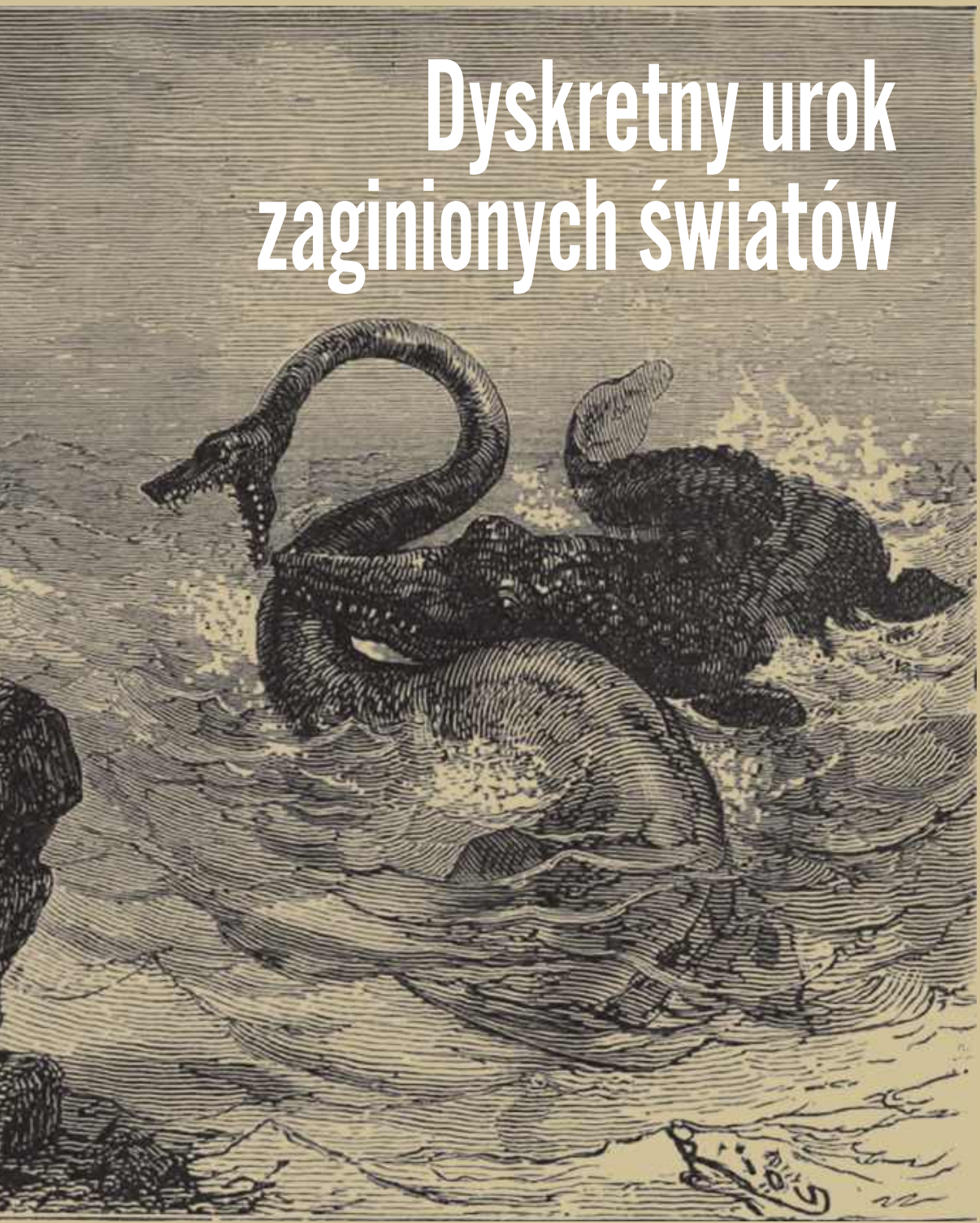

eprasa.pl f7e0bb845d

31 grudnia 1853 roku w południowym Londynie miało miejsce wydarzenie, które na trwałe wprowadziło dinozaury do masowej wyobraźni. Tego dnia odsłonięto olbrzymie modele przedstawiające dwa najwcześniej odkryte gatunki „strasznych jaszczurów" – drapieżnego megalozaura i roślinożernego iguanodona. Wzbudziło to wielkie zainteresowanie mieszkańców miasta, zwłaszcza że wewnątrz drugiej rzeźby, pustej w środku, odbył się bankiet paleontologiczny, na którym bawił William Buckland, a rolę gospodarza pełnił Richard Owen, pomysłodawca terminu „dinozaur" i najwybitniejszy specjalista epoki w dziedzinie wymarłej fauny. Wrażenie, jakie zrobiła owa impreza na opinii publicznej, porównać można tylko do tego wywartego przez premierę filmu „Park Jurajski" 150 lat później.

Ach, gdyby tak spotkać dinozaura…

Modele wykonanych w skali 1:1 wedle wskazówek Owena dinozaurów wciąż można podziwiać w parku Crystal Palace, choć dziś budzą rozbawienie. Megalozaur i iguanodon przedstawione zostały jako czworonożne jaszczury, podobne nieco do ogromnych krokodyli, zaś nos tego drugiego zdobi róg, nadający mu wygląd owocu romansu samicy legwana z nosorożcem. Ćwierć wieku później w kopalni węgla w belgijskim Bernissart natrafiono na doskonale zachowane szkielety całego stada iguanodonów, które po wydobyciu, na powierzchni zrekonstruowano, co dało naukowcom lepsze wyobrażenie na temat prezencji ornitopoda. Wyszło na jaw, że model zaprojektowany przez Owena był całkowicie błędny, zaś domniemany róg okazał się… wyposażonym w szpon kciukiem. Zbadawszy skamieniałości, uczeni uznali, iż zwierzę poruszało się na tylnych kończynach, i od tej pory w muzeach szkielety iguanodonów ustawiano w pozycji wyprostowanej, podpierające się ogonem. Ten typ rekonstrukcji stosowano przez długie dziesięciolecia do coraz liczniej odkrywanych gatunków dinozaurów dwunożnych, w efekcie czego artystyczne wyobrażenia mezozoicznych zwierząt, zarówno w formie graficznej, jak i literackiej, nadawały im wygląd podobny kangurom. Dopiero w drugiej połowie XX wieku dalsze badania wykazały, że przyjęcie takiej sylwetki było anatomicznie niemożliwe i dinozaur, który by tego spróbował, złamałby sobie kręgosłup. Rozwój technologii dający paleontologom nowe możliwości doprowadził ostatecznie do stworzenia realistycznego modelu postawy i sposobu przemieszczania się dinozaurów. Odkrycia poczynione na przełomie stuleci wykazały też jasno, jak bardzo „straszne jaszczury" różniły się od wyobrażeń żywionych na ich temat przez poprzednie pokolenia – począwszy do tego, że bliższe pokrewieństwo łączyło je z… ptakami niż ze współczesnymi gadami (wyjąwszy krokodyle) – były stałocieplne, wiele z nich pokrywały pióra, a niektóre potrafiły latać!

Urok dinozaurów wciąż jest tak silny, że nieustannie marzymy o spotkaniu z nimi. Stąd cały przemysł filmów, gier komputerowych, modeli i wszelkich gadżetów. Z tej tęsknoty wyrasta ogromna popularność, także w Polsce, parków rozrywki z olbrzymimi modelami prehistorycznych bestii. Stały się one także wielokrotnie wykorzystywanym toposem literackim. W zaledwie dekadę od londyńskiego paleontologicznego obiadu, narodził się w europejskiej literaturze motyw „zaginionego świata", odizolowanej krainy poza czasem, w której przetrwały prehistoryczne zwierzęta. Różnego rodzaju wariacje na ów temat powtarzają się na kartach książek i komiksów do dziś. Poniżej chciałbym zaprezentować Wam, Drodzy Czytelnicy, trzy wpisujące się w ów gatunek dzieła, które stanowią klasykę literatury SF. Dwa z nich były wielokrotnie filmowane lub adaptowane przez inne media, tak że kojarzą je nawet ludzie, którzy nigdy nie mieli w ręku literackiego oryginału, a czasem nawet nie wiedzą, że takowy istnieje! Ruszajmy zatem w podróż po zaginionych światach!

We wnętrzu planety

Pierwsza powieść eksploatująca wątek „prehistorycznego safari" wyszła spod pióra ojca fantastyki naukowej, francuskiego pisarza Juliusza Verne'a w roku 1864. W chwili gdy autor pracował nad swym dziełem, o dinozaurach wiadomo było jeszcze bardzo niewiele, w związku z czym „straszne jaszczury" nie pojawiają się na kartach „Podróży do wnętrza Ziemi". Dzielnie zastępują je pochodzące z tych samych czasów (acz z dinozaurami niespokrewnione) gady morskie – plezjozaur i ichtiozaur, będące bohaterami najbardziej bodajże ikonicznej ze wszystkich scen powieści. Warto przy tej okazji wspomnieć, że o istnieniu pradawnych morskich jaszczurów wiedziano już na długo przed referatem Bucklanda z 1824 roku. Od końca XVIII wieku w holenderskim Maastricht wykopywano szczątki zatrważających istot, których przynależność gatunkowa pozostawała dla ówczesnych ludzi zagadką – jedni widzieli w nich ryby, inni krokodyle, wielu wierzyło zaś, iż szkielety ewidentnie morskich stworzeń stanowią pozostałość potopu. Ostatecznie francuski przyrodnik i ojciec paleontologii Georges Cuvier rozpoznał w jednej

eprasa.pl f7e0bb845d

z takich skamieniałości pozostałości gada, w 1822 roku zwierzę ochrzczono mozazaurem. Równocześnie w Anglii odkryto liczne skamieniałe szczątki podobnych delfinom ichtiozaurów oraz długoszyich plezjozaurów. O ile w momencie gdy Verne pracował nad swoją książką, dinozaury były jeszcze nowością, z którą wiązało się więcej pytań niż odpowiedzi, choćby w kwestii ich wyglądu, wyobrażenia na temat gadów morskich były już solidnie ugruntowane. Dlatego też pisarz najbardziej emocjonującym epizodem uczynił starcie między ichtiozaurem a plezjozaurem, którego świadkami stają się bohaterowie żeglujący przez podziemne morze. Fragment ten, zwłaszcza jeśli dysponujemy wydaniem zawierającym ilustracje z pierwszej edycji, daje czytelnikowi dobry wgląd na to, jak w XIX wieku rekonstruowano wygląd i zachowanie wielkich morskich gadów okresu mezozoiku. Zarówno autor, jak i ilustrator przedstawili zwierzęta jako wielkie drapieżne i agresywne potwory, przy czym ichtiozaur łączy cechy krokodyla, ryby i wieloryba oraz opisany zostaje jako najstraszliwsza bestia, zaś plezjozaur stanowi mix węża oraz żółwia o giętkiej szyi, którą wymachuje niczym łabędź. Ostatni obraz miał wyjątkowo mocno zakorzenić się w masowej wyobraźni, w której egzystuje do dziś, mimo iż nauka dawno już go obaliła. Jak powiedział w jednym ze swych wykładów polski specjalista w dziedzinie życia w mezozoicznych morzach, dr Daniel Tyborowski, opowieści o giętkiej szyi plezjozaurów to „bajki dla grzecznych dzieci".

„Podróż do wnętrza Ziemi" jest interesującą pozycją także z innych powodów. Na tle innych powieści Verne'a wyróżnia ją choćby fakt, że francuski pisarz bardzo swobodnie traktuje naukową otoczkę opowieści, której w innych swych dziełach zazwyczaj bardzo pilnuje. Wizja podziemi naszej planety, prezentowana na kartach książki, stoi w sprzeczności nawet z przekonaniami naukowców żyjących w tym samym czasie co autor. Co ciekawe, gdy bohaterowie odnajdują pod powierzchnią globu „zakonserwowany" poza czasem świat „przedpotopowy" (takie określenia używa Francuz), to mieszają się w nim zwierzęta pochodzące z zupełnie odmiennych epok, rozdzielonych od siebie milionami lat. Plezjozaurom i ichtiozaurom sprzed kilkudziesięciu milionów lat towarzyszą wcale nie tak bardzo odległe od naszych czasów mamuty, a nawet ludzie pierwotni, choć ci ostatni pojawiają się tylko w postaci doskonale zakonserwowanych szczątków oraz jednego żywego osobnika, widzianego przez podróżników z oddali, który swym pojawieniem się wywołuje w nich paniczny strach, zmuszając do ucieczki.

Płaskowyż w dżungli

Arthur Conan Doyle powszechnie kojarzony jest ze swą najsłynniejszą kreacją, cyklem opowiadań o genialnym detektywie Sherlocku Holmesie. Mniej osób słyszało o innym bohaterze zrodzonym w wyobraźni Brytyjczyka, ekscentrycznym i porywczym profesorze Georgu Challengerze, centralnej postaci powieści „Zaginiony świat", pojawiającej się później także w opowiadaniach „Trujące pasmo" i „Eksperyment profesora Challengera".

„Zaginiony świat" zaczął się ukazywać w odcinkach na łamach czasopisma „Strand Magazine" w kwietniu 1912 roku. W październiku na rynek trafiło wydanie książkowe, co jest o tyle interesujące, że periodyk zakończył publikację historii dopiero w listopadzie. Od czasu „Podróży do wnętrza Ziemi" paleontologia zrobiła znaczne postępy i na kartach swej powieści Doyle odmalował kilka gatunków dinozaurów, o wiele bardziej zbliżonych z wyglądu do współczesnych rekonstrukcji, niż byłoby to możliwe pięć dekad wcześniej. Bohaterowie spotykają zatem iguanodony, alozaury (lub megalozaury o dokładną przynależność gatunków drapieżców dybiących na podróżników toczy się spór między postaciami) czy stegozaury. Z innych rodzajów gadów mezozoicznych tytułowy „zaginiony świat" obfituje w pterodaktyle i plezjozaury. Co do tych ostatnich nie wiadomo jednak za bardzo, skąd się wzięły, gdyż „kraina poza czasem" usytuowana jest na szczycie ukrytego w amazońskiej dżungli płaskowyżu, wyniesionego w górę przez pradawną erupcję wulkanu i odciętego od reszty świata. Co prawda pośrodku znajduje się rozległe jezioro, jednakże plezjozaury były stworzeniami morskimi, więc ich obecność w samym środku Ameryki Południowej jest z naukowego punktu widzenia absurdalna.

Konstrukcja „Zaginionego świata" była tak pomysłowa, że czytelnik naiwny i niezdający sobie sprawy z tego, że obcuje z fikcją literacką, mógł przedstawioną mu opowieść o ekspedycji naukowej penetrującej tereny nad Amazonką wziąć za autentyczne sprawozdanie z wyprawy badawczej! Złudzenie to powodowała choćby otwierającą książkę fotografia przedstawiająca rzekomo jej bohaterów. Powieść utrzymana zaś została w formie korespondencji prasowej, słanej do Londynu przez dziennikarza „Gazety Codziennej", Edwarda Malone'a, biorącego udział w ekspedyturze. Miała ona na celu weryfikację twierdzeń kontrowersyjnego zoologa profesora George'a Challengera, utrzymującego, że w trakcie podróży po amazońskiej dżungli odkrył płaskowyż zamieszkany przez prehistoryczne gady. Badaczowi wedle jego relacji udało się nawet ustrzelić pterodaktyla, jednakże w drodze po-

eprasa.pl f7e0bb845d

wrotnej do cywilizacji wiozącą podróżnika łódź się przewróciła, a okaz – z wyjątkiem fragmentu skrzydła – przepadł w nurtach rzeki, razem z większością fotografii. Okrzyknięty hochsztaplerem uczony doprowadza do zorganizowania przez jedno z brytyjskich towarzystw naukowych wyprawy, w której oprócz niego i narratora udział biorą także jego osobisty przeciwnik profesor Summerlee oraz słynny łowca dzikich zwierząt lord John Roxon. Podróżnicy rzeczywiście docierają do płaskowyżu i z wielkim trudem udaje im się na niego dostać, tyle że dokonawszy tego, zostają na nim uwięzieni. W odciętej enklawie nieustraszonym Brytyjczykom dane zostaje zobaczyć ostatni bastion prehistorycznego świata i przeżyć mrożące krew w żyłach przygody, w tym wziąć udział w konflikcie między lokalnym plemieniem Indian a władającą większością płaskowyżu rasą krwiożerczych małpoludów.

Jak już wspomniałem, w czasach Doyle'a wiedza o dinozaurach była pełniejsza niż w momencie, gdy Verne pisał swoją „Podróż do wnętrza ziemi". Mimo to lektura „Zaginionego świata" potrafi wywołać uśmiech na ustach czytającego. Wizja dinozaurów o postawie kangurów, w powieści Brytyjczyka doprowadzona została do ekstremum, drapieżne teropody poruszają się skokami niczym torbacze. Panuje też dziwne pomieszanie pojęć, choć nie jestem pewien, czy winić pisarza, czy też autora polskiego przekładu, oto bowiem dinozaury określane są na przemian mianem gadów i płazów. Nieadekwatny jest też obraz inteligencji „strasznych jaszczurów", o których Doyle pisał, iż de facto nie posiadały mózgu.

Rzekomej głupocie dinozaurów na kartach „Zaginionego świata" przypisane jest na przykład ich wymarcie. Uczeni profesorowie informują swych towarzyszy, że „straszne jaszczury" wyzdychały, bo były zbyt tępe, by dostosować się do zmieniających się warunków środowiska. Niedobitki żyjące na płaskowyżu przetrwanie zawdzięczać mają swej izolacji, w wyniku której warunki naturalne enklawy pozostały niezmienne od czasów jurajskich. Znajdujemy zatem tu relikt, dawno porzuconych już teorii, wedle których dinozaury były wielkimi, ociężałymi i tępymi wybrykami natury, niejako z góry skazanymi na wymarcie. Pogląd przypisujący im taką naturę znalazł się w odwrocie w latach 70. XX wieku, zaś rzeczywistą przyczynę końca ich panowania odkryto na początku lat 80., kiedy geolodzy zyskali niepodważalne dowody świadczące o uderzeniu 66 mln lat temu w naszą planetę ogromnej asteroidy, która spustoszyła Ziemię z siłą większą niż ta, jaką miałaby eksplozja wszystkich bomb atomowych przechowywanych w światowych arsenałach.

Cyrylicą pisane

O ile dwie wyżej omawiane książki mogły być znane części z Państwa, o tyle o ostatniej pozycji z tej listy zapewne nigdy nie słyszeliście. Mowa o „Plutonii" rosyjskiego / sowieckiego pisarza SF (niebędącego zawodowym literatem, lecz geologiem i badaczem Syberii oraz Azji Środkowej) Władimira Obruczewa (1863–1956). Nie żałujcie jednak, bowiem powieść ta stanowi potworka bardziej groteskowego niż wygląd iguanodona wedle Richarda Owena. Na szczęście piszący te słowa przeczytał „Putonię", dzięki czemu nie musicie już tego robić.

Rosjanie rzadko zdobywają się na oryginalność, większość ich technologii i kultury to prymitywne kopie rozwiązań podpatrzonych u narodów będących na wyższym poziomie rozwoju lub wręcz bezczelne kradzieże. Podobnie jest w przypadku „Plutonii", w dużej mierze plagiatującej pomysły Verne'a, choć Obruczewowi przyznać trzeba jedną rzecz – nigdy nie wypierał się inspiracji „Podróżą do wnętrza Ziemi". Sęk w tym, że o ile starszą o prawie pół wieku francuską powieść czyta się świetnie nawet dzisiaj, to jej rosyjski odpowiednik, napisany w roku 1915, jest po prostu zatrważająco okropny.

„Plutonia" opowiada o grupie czterech uczonych, inżynierze górnictwa i myśliwym z Syberii, którzy wyruszają na zorganizowaną przez zamożnego astronoma wyprawę na Biegun Północny, której celem jest potwierdzenie istnienia hipotetycznej wyspy i przyłączenie jej do Rosji. Ląd zostaje odnaleziony, a nieustraszeni badacze w trakcie eksploatacji przypadkiem znajdują wejście do wnętrza naszej planety, które okazuje się puste w środku i oświetlone przez czerwoną, nigdy niegasnącą gwiazdę usytuowaną w jądrze Ziemi. Ta podziemna kraina zostaje ochrzczona mianem Plutonii, a jej miniaturowe słońce – Plutonem (w chwili pisania książki ludzkość nie wiedziała jeszcze o istnieniu w Układzie Słonecznym niewielkiego globu, któremu później nadano imię rzymskiego boga umarłych). Warunki w niej panujące sprzyjają życiu roślinnemu i zwierzęcemu, co więcej– podobnie jak na płaskowyżu z powieści Doyle'a – zachowały się tu warunki środowiskowe z poprzednich epok geologicznych. W północnych rejonach bliskich wyjściu na powierzchnię trwa ostatnia epoka lodowcowa i żyje charakterystyczna dla niej fauna obejmująca m.in. mamuty, nosorożce włochate, a także (jak pod koniec opowieści przekonują się rosyjscy podróżnicy) neandertalczyków. Założywszy tu bazę i zostawiwszy w niej dwóch towarzyszy, reszta drużyny rusza łodziami na południe z biegiem podziemnej rzeki, a im dalej posuwają się w głąb ziemskich trzewi, tym bardziej cofają się w czasie, aż w końcu podróż znajduje finał

eprasa.pl f7e0bb845d

w ekosystemie właściwym dla okresu jurajskiego, gdzie Rosjanie mają okazję spotkać się oko w oko z olbrzymimi brontozaurami i skosztować steku z iguanodona.

Krótki ten opis wydawać się może zapowiedzią fascynującej literackiej przygody, niestety tak nie jest. Władimir Obruczew był bez wątpienia wybitnym specjalistą w dziedzinie geologii, co widać w trakcie lektury, ale jako pisarz okazał się beznadziejny. Główni bohaterowie jego powieści są całkowicie pozbawieni jakichkolwiek cech indywidualnych, cała charakterystyka biorących udział w wyprawie podróżników ogranicza się do ich specjalności zawodowych. Mamy zatem oprócz dwóch wymienionych już postaci także geologa, zoologa, botanika i meteorologa. Przez ponad 400 stron nie dowiadujemy się na ich temat niczego, co pozwoliłoby nam przekonać się, jakimi są ludźmi, co więcej – prawie wszystkie dialogi na kartach „Plutonii" dotyczą tylko spraw naukowych lub technicznych, związanych z przebiegiem ekspedycji. Co gorsza, brzmią one tak sztucznie, że sprawiają wrażenie konwersacji manekinów. Przez większą część książki bohaterowie po prostu posuwają się naprzód, dopiero mniej więcej w połowie dochodzi do zwrotu akcji, gdy muszą zmierzyć się z ogromnymi (metr długości), niezwykle inteligentnymi mrówkami. Jednak nawet mimo tego że konfrontacja ta zagraża ich życiu, a owady okazują się groźnym przeciwnikiem, opis walki z tym okrutnym wrogiem nie wywołuje w czytelniku żadnych emocji! Podobnie jest, gdy dwóch uczestników ekspedycji zostaje porwanych przez neandertalczyków. Epizod ten gdyby go dobrze poprowadzić, mógłby mrozić krew w żyłach, sztuka ta udała się wszak Doyle'owi w jego „Zaginionym świecie", gdzie małpoludy prześladujące bohaterów budzą prawdziwą grozę. U Obruczewa przygoda z ludźmi pierwotnymi nie wzbudza adrenaliny ani u przeżywających ją podróżników, ani u śledzącego wypadki czytelnika.

„Plutonia" ma tak naprawdę tylko jeden atut. Rosyjski geolog, z racji swej specjalności naukowej, był doskonale obeznany z ówczesną sobie wiedzą z dziedziny paleontologii i w trakcie obcowania z jego dziełem jest to widoczne. Autor z wielkim namaszczeniem i szczegółowością opisuje florę i faunę pochodzące z kolejnych etapów historii życia na Ziemi. Sam Obruczew przyznawał, że powieść napisał, chcąc w przystępnej formie przybliżyć młodym ludziom świat prehistoryczny. Co do owej „przystępności" poległ jednak na każdym froncie, bo „Plutonia" to nieniosąca ze sobą żadnego ładunku emocjonalnego cegła, z bohaterami, którzy nie zasługują nawet na miano papierowych – są aż tak pozbawieni właściwości!

Na koniec wyrazić muszę zdziwienie pewnym zjawiskiem. Otóż z posłowia zamykającego posiadany przeze mnie egzemplarz powieści Obruczewa wynika, iż wielu czytelników uznało ją za relację z autentycznych wydarzeń! Autora zasypywano listami z pytaniami o to, dlaczego nie przedsięwzięto dotychczas kolejnych ekspedycji do podziemnej krainy, co w końcu zmusiło go do publicznego zaprzeczenia jej istnieniu! Jakim cudem ktokolwiek mógł wziąć sobie do serca tak źle napisaną książkę? Parafrazując pewnego bohatera komiksów, zostaje tylko powiedzieć: „Ale głupi ci Moskale".

Urok dinozaurów wciąż jest tak silny, że nieustannie marzymy o spotkaniu z nimi. Stąd cały przemysł filmów, gier komputerowych, modeli i wszelkich gadżetów. Stały się one także wielokrotnie wykorzystywanym toposem literackim.

Jak widać, w przeciąg zaledwie dziewięciu dekad od odkrycia pierwszego dinozaura gady te zdążyły stać się inspiracją dla kolejnych pisarzy i de facto wróciły do życia, zajmując nową niszę – literaturę fantastyczną. Trend ten trwa do dziś, kolejne generacje autorów SF tworzą nowe historie o zaginionych światach lub wskrzeszeniu mezozoicznych gadów, czego najsławniejszym przykładem jest powieść Michaela Crichtona „Park Jurajski", która pod koniec XX wieku podkręciła światowe zainteresowanie dinozaurami, wywołując trwającą kolejne dekady gorączkę. Ostatnim jej przejawem był film „Jurrasic World: Odrodzenie", którego nie polecam, bo to okropieństwo zupełnie oderwane od faktów naukowych. Lepiej przeczytać Verne'a lub Doyle'a, a jeszcze lepszym pomysłem jest lektura jakiejś pozycji z dziedziny paleontologii, kolejne ekscytujące odkrycia na tym polu sprawiają, że w trzeciej dekadzie XXI wieku książki naukowe o dinozaurach czyta się lepiej niż powieści – prawda raz za razem przebija swą niezwykłością fikcję. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Krzysztof Karnkowski

Bezpieka na wojnie z papieżem

„Zamach na papieża" to film dla fanów Władysława Pasikowskiego, fanów Bogusława Lindy i fanów efektów współpracy reżysera „Psów" i odtwórcy roli Franza Maurera. Raczej nie jest to film dla osób poszukujących prawdy o zamachu na Jana Pawła II i oczekujących wiernej rekonstrukcji zdarzeń. Wreszcie – na pewno nie jest to film dla widzów emocjonalnie związanych z postacią papieża Polaka, chcących na ekranie kolejny raz zobaczyć Karola Wojtyłę jako wielkiego człowieka, zmieniającego historię i podążającego drogą do świętości.

eprasa.pl 17e0bb845d

Przede wszystkim papieża w tym filmie prawie nie ma. Poza kilkoma ujęciami archiwalnymi pojawia się jedynie w rozmowach. Są to zaś głównie rozmowy ubeków, którzy Karola Wojtyłę, choć raczej półsłówkami, wpisują w kontekst modnych dziś oskarżeń zarówno wobec Kościoła, jak i biskupa najpierw Krakowa, a potem Rzymu. Sam główny bohater nosi w sobie traumę związaną z wykorzystywaniem młodszego brata przez, jakże by inaczej, księdza. I chociaż można uznać to za pewną przewrotność, bo popularność pewnych krzywdzących hipotez sączonych przez internet w popkulturę i głowy młodych ludzi ma zapewne swój esbecki rodowód i jest zapewne zemstą zza grobu dawnych służb, nie o to Pasikowskiemu chodzi. A o co? Tu pewną podpowiedzią może być ukryta w końcowych napisach dedykacja dla Sinead O'Connor, irlandzkiej artystki, która wsławiła się w swoim czasie podarciem zdjęcia Jana Pawła II przed kamerami z okrzykiem: „Poznaj swojego wroga!", i to w czasie, gdy gest taki mógł jeszcze cokolwiek kosztować. Skoro zaś to jej Pasikowski dedykuje swe dzieło, nie o pamięć o papieżu tu chodzi, a na pewno nie o dobrą pamięć.

Opowieść o starym esbeku Brunie

W takiej sytuacji nasuwa się oczywiste pytanie, czy film zrobiony z dość niejasnymi intencjami może być dobry? Odpowiedź zależy od tego, czego szukamy. Jak już wspomniałem, to chyba głównie atrakcja dla fanów „Psów", których nakręcona kilka lat temu trzecia część według wielu nie udźwignęła dawnej legendy. W „Zamachu na papieża" pełno jest nawiązań do pierwszej i drugiej części tamtego filmu, nie przypadkiem też twórcy ujawnili w internecie scenę przesłuchania przed komisją przyznającą uprawnienia wędkarskie, będącą bardzo mocnym mrugnięciem okiem do wiernych widzów Pasikowskiego. Dla tej widowni bardzo kuszący jest oficjalny zwiastun, ale, powiedzmy sobie szczerze, obiecuje on dużo więcej niż ostatecznie dostajemy, bo – jak to ze zwiastunami często bywa – wyciąga on z większej całości prawie wszystko, co najlepsze.

„Zamach na papieża" jest więc, oczywiście, opowieścią o starym esbeku Brunie, a zarazem legendarnym strzelcu (oczywiście Bogusław Linda), który dowiedziawszy się, że ma przed sobą tylko miesiąc życia, postanawia wyjechać w góry w towarzystwie zaprzyjaźnionej prostytutki (Karolina Gruszka). W nowym miejscu, pełnym alkoholu i różnych form przemocy, pokazanym w sposób, którego nie powstydziłby się nawet taki mistrz społecznego turpizmu jak Wojciech Smarzowski, Bruno przypadkowo rozwiązuje dręczącą miejscowych zagadkę kryminalną i zaczyna zaprowadzać dość brutalne, ale sprawiedliwe porządki. Gdyby na tym Władysław Pasikowski się zatrzymał, film moim zdaniem tylko by zyskał, nie byłby jednak wtedy filmem „Zamach na papieża". Żeby więc spleść filmową opowieść z wielką historią, weterana służb dopada więc przeszłość pod postacią kolegów, którzy mają dla niego ostatnią misję. Misję, w której każdy inny wykonawca sam zostałby na końcu zabity, lecz trawiący bohatera rak pozwoli Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej zaoszczędzić tę jedną, drogocenną kulkę.

Zamach na Ojca Świętego

Zostawmy na chwilę film i przypomnijmy sobie, co wiemy o zamachu na Jana Pawła II, który miał miejsce 13 maja 1981 roku. A wiemy tak naprawdę niewiele, więc tym bardziej szkoda, że i od Pasikowskiego się za dużo nie dowiemy. Karol Wojtyła był inwigilowany przez służby PRL właściwie od początku swej duchowej drogi. Wpływ na to miała na pewno opinia, jaką wśród ubecji cieszył się Kraków, będący dla niej siedzibą reakcji, i abp Adam Sapieha, bezkompromisowy patriota i antykomunista. Na młodego Wojtyłę od początku szukano haków, posuwając się w desperacji nawet do produkcji fałszywek, z biegiem czasu coraz mocniej infiltrowano też jego otoczenie, szpikując je kolejnymi agentami. Bardzo dobrze proces ten pokazywał inny polski film – „Figurant" Roberta Glińskiego z 2023 roku. Kiedy Karol Wojtyła został papieżem, dla służb nie było to zaskoczeniem, a co najwyżej spełnieniem śnionego już wcześniej koszmaru. Tym samym sprawa stała się międzynarodowa i włączyły się w nią służby państw bloku wschodniego, w tym Stasi, KDS i, rzecz jasna, KGB. Podkładką była dyrektywa KC KPZR z 13 listopada 1979 roku, dopuszczająca wobec Jana Pawła II wszelkie działania operacyjne, z przemocą i zabójstwem włącznie. Feralnego dnia turecki zamachowiec, mający już na koncie zabójstwo dziennikarza, oddał w stronę papieża dwa strzały, które cudem ominęły najważniejsze organy w ciele. Stan Ojca Świętego był jednak na tyle poważny, że udzielono mu namaszczenia chorych, a on sam udzielił przebaczenia swemu niedoszłemu, jak się okazało, zabójcy. Papieżem zajęli się lekarze z kliniki Gemelli, a śledztwem – włoski wymiar sprawiedliwości.

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl f7e0bb845d

Śledztwo, długie i żmudne, pełne było zwrotów akcji, pokazało też, niestety, całkowitą bezsilność Włochów wobec zmieniającego zeznania i mającego kontakt z domniemanymi mocodawcami Agcy. Dość szybko w sprawie pojawił się wątek obecnego na miejscu, lecz nigdy nie odnalezionego wspólnika (eksploatuje go też Pasikowski), coraz więcej wskazywało też na instytucjonalne wsparcie. Tropy namacalne prowadziły do tureckich terrorystów i bułgarskich służb KDS. Te drugie jednak łatwo znalazły drogę do osadzonego i po wizycie dwóch „prawników" Turek zmienił zeznania i zaczął markować własną niepoczytalność. W efekcie wszystkie dodatkowe wątki śledztwa zostały stopniowo wygaszone, nie wrócono do nich również po 1989 roku, gdy możliwe było już dotarcie do przynajmniej części komunistycznych archiwów i dawnych funkcjonariuszy służb, których w tej historii było wielu. Najbardziej znani to komunistyczny nielegał Tomasz Turowski, przewijający się aż do Smoleńska w historii Polski dyplomata i dawny fałszywy ksiądz, a także podejrzewany według wielu źródeł o współpracę ze Stasi papieski ochroniarz, a później szef Gwardii Szwajcarskiej Alois Estermann. Po latach pozostajemy w sferze domysłów, teorii i tropów tyleż oczywistych, co nigdy jednoznacznie nie udowodnionych. To w ich gąszczu buszuje również Pasikowski, odwołując się do wątku bułgarskiego, znanych relacji wywiadów demoludów z terrorystycznym półświatkiem arabskim, włączając w to wreszcie polską bezpiekę i Rosjan, sprawujących nad wszystkim sprawstwo kierownicze.

Trochę na tak, trochę na nie

Sam film przez mniej więcej dwie trzecie toczy się dość leniwie, choć to spokojne tempo, podkreślane zdjęciami i muzyką nawiązującymi do polskiego kina z epoki, w której rozgrywa się akcja, wzbogacają czasem punktowe i udane sceny przemocy. Kilka dialogów, zwłaszcza rozmowa z generałem SB przy karmieniu ptaków, ma potencjał komediowy. Ten ostatni wynika bardzo często z kwestii, która jest według mnie największą wartością „Zamachu na papieża" – czujnego pokazania napięcia, jakie wynika ze zderzenia katolickiego wychowania i wyniesionych z domów tradycji a przyjętym później komunistycznym, materialistycznym światopoglądem większości bohaterów. Za kilka scen, w których napięcie to znajduje ujście, należy się Pasikowskiemu największa pochwała. Gdyby nie pojawienie się bardzo schematycznych dialogów, osuwających wszystko w antyklerykalny banał, wymieszany z „męskimi", a tak naprawdę po prostu szowinistycznymi schematami kobiecych postaci, całkiem dobrze oglądałoby się też ostatnią część filmu, gdy akcja przyspiesza i dogania zawartą w zwiastunie obietnicę żwawego, współczesnego kina sensacyjnego. Gdy podróż do Watykanu staje się wyścigiem z czasem, zaczyna się oglądać film zupełnie inaczej.

„Zamach na papieża" to film, który ma swoje dobre momenty i ma swoją, moim zdaniem, krzywdzącą wobec papieża wymowę.

Pasikowskiemu zdarzały się filmy doceniane przez widzów i takie, które przechodziły niemal bez echa, przynosząc rozczarowanie licznym przecież miłośnikom jego twórczości. Kiedy dotykał tematów poważnych, wpisywał się na ogół w sposób myślenia elit III RP, czego najlepszym przykładem jest odnoszące się do szkicowanej przez Grossa i „Gazetę Wyborczą" wizji Jedwabnego – „Pokłosie". Czasem też brał się za tematy wpisujące się w nurt patriotyczny, jak w zupełnie niezłym „Jacku Strongu". „Zamach na papieża" nie jest na pewno cukierkową produkcją czy patriotycznym produkcyjniakiem, na którym dałoby się zarobić pomimo kiepskich recenzji w liberalnych mediach. To film, który ma swoje dobre momenty i ma swoją, moim zdaniem, krzywdzącą wobec papieża wymowę. Kto w „Psach" widział głównie ocieplanie wizerunku bezpieki, znajdzie ją i tu, choć tylko w losie głównego bohatera, walczącego dziś na swój sposób z dawnymi kolegami. Można go jednak odebrać również jako opowieść o walce dobra ze złem, nawet jeśli to filmowe dobro samo jest dość zagubione i nie zawsze potrafi dokonać odpowiedniego osądu. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Marek Kalinowski

Z dala od konkursu, bliżej Chopina

Młody klawesynista Justin Taylor zaprasza słuchaczy do ciekawej gry wyobraźni. Na niewielkim zabytkowym pianinie Pleyela nagrywa wybrane fragmenty chopinowskich preludiów, łącząc je z innymi popularnymi utworami kompozytora. To lekka i intrygująca propozycja, stanowiąca przeciwwagę dla emocji towarzyszących konkursowym zmaganiom.

Gdy właśnie rozpoczynają się pierwsze występy w konkursie chopinowskim, mam dla Państwa płytę, która zabiera muzykę Chopina z dala od wypełnionych pomieszczeń filharmonii, medialnego szumu i potężnego brzmienia koncertowych fortepianów Steinwaya. Proszę więc usiąść wygodnie, zamknąć oczy i wyobrazić sobie genialnego kompozytora za maleńkim pianinem, w chwili gdy gra wyłącznie dla siebie, układając w głowie porządek preludiów. Na taką grę wyobraźni zabiera nas swoim nowym albumem „Chopin intime" Justin Taylor, młody francuski klawesynista.

Justin Taylor, CHOPIN INTIME, Alpha Classics / Outhere Music France

W 2015 roku Taylor, mając zaledwie 23 lata, zdobył główną nagrodę Międzynarodowego Konkursu Musica Antiqua w Brugii. Razem ze skrzypkami Théotime Langlois de Swarte i Sophie de Bardonnèche oraz wiolonczelistką Hanną Salzenstein prowadzi fantastyczny zespół muzyki dawnej Le Consort. Zarówno płyty zespołu, jak i solowe nagrania jego muzyków bardzo gorąco polecam. Zachwycające są również ich występy, o czym mogła się w tym roku przekonać publiczność Festiwalu Bachowskiego w Świdnicy. Wróćmy jednak do najnowszej, solowej płyty Justina Taylora.

Kluczem do nagrań jest instrument, po który sięgnął – małe, zabytkowe, zaledwie sześć i pół oktawowe pianino Pleyela, bliźniacze do tego, którego używał Chopin w 1838 roku w trakcie pobytu z George Sand na Majorce. Ograniczenia tego instrumentu bez wątpienia miały wpływ na decyzje Taylora związane z doborem repertuaru. Ograniczenia, które równocześnie okazały się jego niezwykłą mocą.

Wiemy, że w trakcie pobytu na Majorce Chopin pracował właśnie nad Preludiami op. 28. Te również dominują wśród utworów zebranych na płycie Taylora, albo raczej stanowią szkielet nagrań, które posłużyły pianiście do ułożenia ciekawej, nostalgicznej historii. Justin Taylor nie chciał bowiem prezentować ich wedle porządku naznaczonego według Chopina ani też nagrywać kompletu preludiów. Zamiast tego zabiera nas krok wcześniej – jakby próbując uchwycić czas, w którym powstawały. Album otwiera jeśli nie najpiękniejszy, to z pewnością najbardziej popularny z nokturnów, nr 20 (paradoksalnie wbrew temu co myślał o nim sam Chopin). Dopiero potem usłyszymy wybrane preludia, przetykane mazurkami, nokturnami i Etiudą As-dur op. 25 nr 1.

Czy tak mógł wyglądać dzień ćwiczeń Chopina w czasie pobytu w klasztornej celi w Valldemossie? No pewnie że tak! A czy mógł w trakcie swych prób sięgnąć po fragment z popularnej opery Belliniego? Taką sytuację – dzięki Taylorowi – możemy sobie wyobrazić, słuchając chopinowskiego opracowania na fortepian arii „Casta Diva".

Szczególnie cenię albumy, w których pianista prowadzi słuchacza w nieoczywistą podróż przez dobrze znane dzieła kompozytora. Choć pojawiły się głosy krytyczne – dotyczące wyrwania utworów z kontekstu czy brzmieniowych ograniczeń – są one, moim zdaniem, zupełnie chybione. Jeśli ktoś ma ochotę na zapis kompletu preludiów, w pełnym brzmieniu i porządku, zawsze może sięgnąć po albumy Maurizio Polliniego czy Rafała Blechacza. Tymczasem z przyjemnością słucham historii zarysowanej przez Justina Taylora i z pewnością będę do niej po wielokroć wracał. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl f7e0bb845d

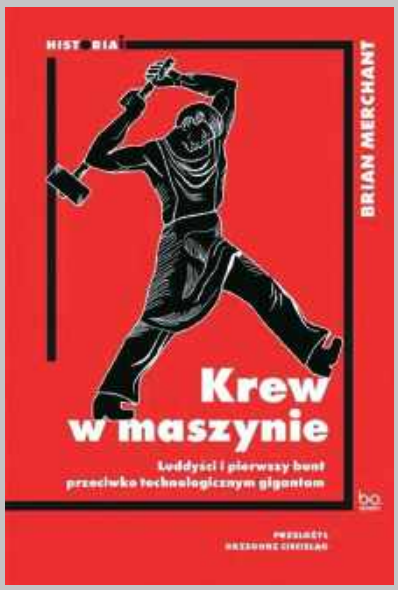

Brian Merchant, „Krew w maszynie. Luddyści i pierwszy bunt przeciwko technologicznym gigantom", przełożył Grzegorz Ciecieląg, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2025.

Krzysztof Wołodźko

Luddyści. O godność i chleb

W Polsce historia luddyzmu znana jest słabo, a jeśli już – traktowana jest raczej jako lewicowe dziwactwo z czasów triumfów rewolucji przemysłowej. Luddyzm był wielkim buntem angielskich pracowników, których jako pierwszych na naszym globie gwałtowne technologiczne zmiany pozbawiały pracy, chleba, nadziei, sensu egzystencji. Był rewoltą ludzi rozgniewanych, że „maszyny odbiorą im pracę, pozbawią aktualnej pozycji, zagrożą przyszłości i postawią na głowie całe ich życie". „Krew w maszynie. Luddyści i pierwszy bunt przeciwko technologicznym gigantom" Briana Merchanta to nie tylko podróż w przeszłość. Amerykański pisarz i dziennikarz przekonująco pokazuje, że historia lubi się powtarzać.

eprasa.pl f7e0bb845d

Historię rewolucji przemysłowej słusznie kojarzymy z Anglią początków XIX wieku. Ale kilka wieków wcześniej Elżbieta I odrzuciła wniosek Williama Lee o patent na maszynę dziewiarską, wyjaśniając: „Proszę się zastanowić […], jak wielkie szkody pański wynalazek mógłby wyrządzić moim biednym poddanym. Pozbawieni pracy, bez cienia wątpliwości popadliby w nędzę i żebractwo". To temat dla historiozofów i najlepszych autorów parających się historią alternatywną: czy królowa Anglii i Irlandii, ostatnia z rodu Tudorów, jedną decyzją spowolniła i zmieniła bieg dziejów? Monarchini jednego była pewna: nie chciała, by maszyny pozbawiły jej poddanych pracy, a jej królestwo – spokoju. Rozwój nauk i technologii powoli zmieniał jednak i lud, i elity, i władców. W XVIII wieku pojawiły się maszyny dziewiarskie, latające czółenko i maszyna parowa. Pod koniec stulecia, które Rzeczypospolitej przyniosło rozbiory, a Anglii wzrost potęgi, powszechną nędzę i żebractwo dało się już wliczyć w koszta zysków posiadaczy kapitału: „Aby dostarczyć energii silnikom parowym, otwierano nowe kopalnie, łącząc je ze sobą siecią kanałów upstrzonych gmachami wznoszonymi na tle sielankowej scenerii. Kolejne pokolenie pracowników tekstylnych zaczynało się z widokiem unoszących się nad pastwiskami pióropuszy dymu, zwiastujących narodziny nowoczesnej fabryki i nadejście epoki przemysłowej".

Gniew przeciwko maszynie

W potocznym znaczeniu luddyści to ludzie irracjonalnie zaniepokojeni rozwojem maszyn – ich zaprzysięgli, choć bezradni przeciwnicy. Brian Merchant rozprawia się z tym stereotypem: „Luddyści jak mało kto wiedzieli, z czym mają do czynienia. Nie darzyli maszyn nienawiścią – sprzeciwiali się wykorzystywaniu ich na niekorzyść pracowników". Luddyzm swoją mitologią nawiązywał do postaci Robin Hooda – a nazwę zawdzięczał legendarnej postaci Neda Ludda, zwanego kapitanem, generałem, królem. Rzemieślnicy, postrzygacze, tkacze, rękodzielnicy, operatorzy maszyn nie byli ani głupcami, ani pięknoduchami – łączyła ich silna więź, wspólnota interesów i poczucie, że tracą grunt pod nogami, że maszyny czynią ich losy coraz bardziej niepewnymi, że upadną ich rodziny, wspólnoty, świat zakorzeniony w dawnych obyczajach. W przywiązaniu do stałych form, dających pewność niezgorszego życia, byli raczej rozgniewanymi konserwatystami, potrafiącymi liczyć swój grosz, niż ekscentrykami poszukującymi nowych, wspaniałych światów.

Żyli w świecie, który nie oferował żadnych socjalnych zabezpieczeń, trudno byłoby ich zatem nazywać roszczeniowcami. Mieli podstawy, by obawiać się, że będą spadać coraz niżej na społecznej, ekonomicznej drabinie, że ich dzieci zasilą świat nędzy i żebractwa: „Nie postrzegali technologii jako zjawiska immanentnie pozytywnego; nie wpojono im, że powinni kibicować zmianom. Z perspektywy ludzi pracujących urządzenie, które niekorzystnie wpływało na dotychczasowe warunki pracy lub zagrażało ich stabilności finansowej, było zwyczajnie niemoralne". Trudno mieć do nich pretensje, że nie chcieli być nawozem przemysłowej rewolucji. A przy okazji – luddyzm miał także rodzimą, polską kartę. Wiosną 1861 roku kilkudziesięciu łódzkich tkaczy zniszczyło maszyny w fabrykach Abrahama Prussaka i Karola Scheiblera. Bunt stłumili rosyjscy strzelcy i Kozacy.

Luddyści nie byli zrewoltowanym plebsem. Mieli do stracenia znacznie więcej niż kajdany. Brian Merachant sięga po teksty źródłowe. Opowiada o angielskich tkaczach pończoch z okolic Nottingham w pierwszych dekadach XIX wieku. Żyjący w tamtych czasach kupiec William Gardiner w 1838 roku opublikował wspomnienia „Muzyka i przyjaciele", w których opisał stare, dobre czasy, czyli dekady z końca XVIII i początku XIX wieku. Pończosznicy, czyli dziewiarze, jako wykwalifikowani robotnicy produkujący towar, na który było duże zapotrzebowanie, mogli być pewni nie tylko dobrej pracy i rzetelnych zysków. Gardiner tak opisuje czasy prosperity: „Kolejnym źródłem dochodu było wspólne, powszechnie dostępne pole. Taki dziewiarz uprawiał w niewielkim ogródku groszek i fasolę, a w słusznych rozmiarów beczce trzymał buzujące piwo. Dodajmy do tego dwa komplety strojów: jeden do pracy, a drugi odświętny; ale ponad wszystko liczył się czas wolny, zwłaszcza latem dostarczający radości i błogości. Rok obfitował w święta, stypy i jarmarki; zawsze coś się działo. Ci, którzy mieli krosna w domach, rzadko pracowali więcej niż trzy dni w tygodniu". To musi brzmieć dla nas niezwykle – pochwała czasu wolnego dobrze wykształconego robotnika u zarania przemysłowej rewolucji. Paradoks polega na tym, że automatyzacja pracy milionom pracowników najemnych przyniosła coś dokładnie odwrotnego – kilkunastogodzinną harówkę, bez odpoczynku, bez świąt. A walka o ustalenie cywilizacyjnych warunków zatrudnienia, w oparciu o gwarantowane przez państwo prawa, trwała kolejne dekady. Dziś właściwie należałoby zacząć ją od początku, szczególnie że najnowsze procesy technologiczne rozsadzają kruche powojenne kompromisy między światem kapitału i światem pracy.

Pod ciosami młotów

Zmowa kupców z Nottingham, którzy wspólnie ogłosili obniżenie zarobków dziewiarzy, wywołała

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl f7e0bb845d

wściekłość robotników. Przedsiębiorcy oznajmili – skąd znamy ten styl! – że „obniżą stawki pracownicze, pozostawiając robotnikom wolność decyzji, czy są gotowi je zaakceptować". Smaczku całej sprawie dodaje fakt, że ostentacyjnie ogłoszona zmowa zbiegła się właściwie w czasie z ogłoszeniem przez brytyjskie władzy Combination Acts zbioru praw, który zabraniał zrzeszania się pracownikom najemnym. Przed prawem są równi i równiejsi – robotnicy nie mogli się zrzeszać, ale pracodawcy mogli się ugadać przeciwko nim. Dziewiarz Gravener Henson próbował postawić przed sądem kupców z Nottingham, ale nie udała mu się ta sztuka. Najpierw sędziowie pokoju zlekceważyli jego zeznania: „Powiedzieli, że w moim najlepszym interesie będzie, jeśli dam sobie spokój". Ale uparty mężczyzna dalej nastawał w tej sprawie, wówczas sędziowie zgodzili się na wydanie nakazu sądowego przeciw kupcom, ale sprawa nigdy nie nabrała toku. Mimo zgody sądu ratusz zaoponował. Jak opisywał później Henson: „Urzędnik odmówił wydania nakazu, gdyż nie mogłem udowodnić, w której gminie doszło do zmowy. […] Ci producenci w ogóle nie słuchali [głosu robotników – K.W.], aż w końcu zebrał się tłum. […] Nie trzeba było długo czekać, żeby ludzie zaczęli niszczyć maszyny". Tam, gdzie prawo i jego stróże jawnie i skrycie stoją po jednej stronie sporu (dziwnym trafem często sympatyzują z uprzywilejowanymi i bogatszymi), tam prędzej czy później dojrzeje społeczny bunt i gniew. I pojawi się przemoc, która tak gorszy miłośników porządku – okupionego jednak cierpieniem wysadzanych z siodła niższych warstw społecznych.

Rewolucja przemysłowa, z którą przyszło się mierzyć luddystom, głęboko przeorała nie tylko angielską gospodarkę, lecz także społeczeństwo. W połowie XVIII wieku Anglia liczyła około 5 mln ludzi. Tylko 15 proc. z nich mieszkało w miastach. W 1820 roku żyło tam już 10 mln osób (dekadę wcześniej 9 mln). Ale wówczas na wsi mieszkało już tylko 15 proc. obywateli. Miejskie ośrodki stały się siedliskami nędzy i żebractwa, których tak obawiała się przed stuleciami Elżbieta I. Rósł płomienny gniew niemałej części robotników, którzy w mgnieniu oka stawali się obcymi we własnym kraju: automatyzacja pracy stawiała ich na przegranej pozycji. Nagle się okazało, że wykwalifikowani robotnicy są mniej potrzebni: dzięki maszynom łatwiej zastąpić ich dziećmi, podrostkami, gorzej przygotowanymi do fachu pracownikami. W tym samym czasie sklepikarze podnosili ceny żywności, a na handlu odbijał się negatywnie koszt wojny handlowej z napoleońską Francją. Coraz śmielej zaczęto stawiać żądania ustalenia płacy minimalnej, prawnej ochrony pracy, prawa do reprezentacji. Dziewiarze z Nottingham zdecydowali się na radykalny krok: pod ciosami młotów runął w gruzy nowy zakład produkcji tekstyliów w miasteczku Arnold. Akcja zaczęła się rozszerzać, pośród kilku tysięcy robotników nie zabrakło śmiałków – w kolejnych ośrodkach zniszczone zostały tzw. szerokie maszyny dziewiarskie, odbierające ludziom chleb i nadzieję. Kupcy z Nottingham znów się zebrali. I podjęli decyzję: potępili „nielegalne środki, do których uciekają się niektórzy z dziewiarzy". A równocześnie ogłoszono, że „zalecono przedsiębiorcom związanym z branżą przywrócenie dawnych stawek za pracę dziewiarzy-pończoszników". Tę bitwę wygrali zdesperowani robotnicy. Rosnąca w siłę, zainteresowana pomnażaniem majątków burżuazja nie mogła się z tym pogodzić. I szybko przystąpiła do kontrataku.

O porażce luddystów zdecydowała polityka. Kupcy, ziemianie, arystokraci, sędziowie pokoju zaczęli domagać się wysłania wojska na zrewoltowane miasta. Luddyści byli wszędzie, gdzie właściciele raczkującego przemysłu włókniarskiego stawiali na automatyzację pracy.

Luddyści i wielka polityka

O porażce luddystów zdecydowała polityka. Kupcy, ziemianie, arystokraci, sędziowie pokoju zaczęli domagać się wysłania wojska na zrewoltowane miasta. Luddyści byli wszędzie, gdzie właściciele raczkującego przemysłu włókniarskiego stawiali na automatyzację pracy. „Dwa oddziały powinny wystarczyć, o ile łaskawie zgodzicie się przysłać setkę żołnierzy, gdyż zmuszeni jesteśmy zakwaterować ich po okolicznych wsiach" – brzmią archiwalne listy do ministra spraw wewnętrznych. Wojsko było w kłopocie: luddyści mieli po swojej stronie dużą część społeczeństwa, trudno było znaleźć winnych. Sprawa stanęła na ostrzu noża. W 1812 roku parlament brytyjski uchwalił Frame-Breaking Act. Mocą ustawy zdecydowano, że niszczenie maszyn jest przestępstwem zagrożonym karą śmierci. Tak rodził się nowoczesny świat, z bru-

eprasa.pl f7e0bb845d

talną szczerością określający swoje zasady i priorytety. Żeby nikt nie sądził, że nowe prawo ma wyłącznie czernić papier, jeszcze w tym samym roku mocą prawa za niszczenie maszyn stracono w Yorku 17 mężczyzn. A wielu luddystów zesłano do Australii.

Opiniotwórczy autorzy, stojący po stronie latyfundystów i fabrykantów, zaczęli z premedytacją budować negatywny obraz luddyzmu i luddystów, nazywając ich ludźmi „leniwymi, rozpustnymi, niewykształconymi i brutalnymi, wykazującymi zamiłowanie do agresywnych zachowań […], którym większą przyjemność sprawiało odbieranie siłą niż korzystanie z dobra wypracowanego przez przemysł". Gdy spychani coraz niżej na drabinie społecznej robotnicy zaczynali przymierać głodem, rozbudowujący przemysł fabrykanci notowali zyski. Rósł dochód państwa, rosły majątki polityków zasiadających w parlamencie. Natomiast ludzie, którzy jeszcze niedawno mogli na godnym poziomie utrzymać się z pracy własnych rąk, nagle okazali się niebezpiecznym motłochem. A po stuleciach wciąż traktowani są jak głupcy i szkodnicy, którzy nie zrozumieli żelaznych praw dziejów, kapitału, postępu.

Książka amerykańskiego autora nie jest wyłącznie opowieścią o zamierzchłych czasach i dawno przebrzmiałych problemach. Wiele jej rozdziałów poświęconych jest najnowszym technologiom, AI, cyfryzacji i szybko postępującej automatyzacji pracy.

▶ Po złej stronie tabelki Excela

Problemem dla przegranych była nagłość całego procesu, który dokonywał się w Anglii. I to nie w skali dekad, a lat. I przyspieszał, coraz bardziej przyspieszał. Autor „Krwi w maszynie" podsumowuje rzecz następująco: „Wyobraźmy sobie, że spędziliśmy długie lata, aby opanować trudny zawód, który miał gwarantować nam dostatnie życie – ktoś mógłby powiedzieć, że gramy według zasad; uczęszczamy do szkoły, uczymy się fachu, poświęcając ogromną ilość czasu i środków, aby zapewnić sobie skromną pozycję społeczną i finansowe zabezpieczenie – aż tu nagle okazuje się, że zasady uległy zmianie. […] Nie wiemy, czy, kiedy ani w jaki sposób nasz fach odejdzie w zapomnienie – a my zatracimy tożsamość. Wyobraźmy sobie, że nie istnieje realistyczny scenariusz, w którym wychodzimy obronną ręką z tej sytuacji". Widzimy jednak, że znacznie mniej liczni mają się coraz lepiej, sprzyja im zmieniające się na naszą niekorzyść prawo, obojętne lub jawnie wrogie instytucje publiczne, znaczna część wpływowych ośrodków opinii – interpretujące zawsze na naszą niekorzyść wskaźniki ekonomiczne, społeczne.

Merchant idzie dalej: „A może czytelnicy nie muszą wyobrażać sobie takiego scenariusza, bo w XXI wieku obserwowaliśmy już, jak korporacja, platforma bądź menedżer posługują się technologią, aby przeformułować kontratak społeczny, który dotychczas definiował naszą pracę". Książka amerykańskiego autora nie jest wyłącznie opowieścią o zamierzchłych czasach i dawno przebrzmiałych problemach. Wiele jej rozdziałów poświęconych jest najnowszym technologiom, sztucznej inteligencji, cyfryzacji i postępującej coraz szybciej automatyzacji pracy. Być może wielu czytelników i czytelniczek najmocniej wczyta się w rozdziały, które mówią o gigantach cyfrowego kapitalizmu, za pomocą coraz bardziej zaawansowanych i masowych technologii spychających dziś w dół drabiny społeczno-ekonomicznej nie tylko najemnych pracowników fizycznych, lecz także umysłowych. Dziś przychodzi to o tyle łatwiej, że żyjemy w globalnej kulturze, która bierze za oczywistość tak rozumiany postęp. I o tyle prościej, że pracownicy i pracownice IT, tzw. branż kreatywnych czy mass mediów często nie tylko finansowo, ale – co gorsza – mentalnie są zakładnikami najbardziej drapieżnych technologicznie sił.

Lecz i w tym nie wyczerpuje się problem. Luddyści sprzed stuleci byli o wiele bardziej hardzi, łatwiej przychodziło im się zjednoczyć, wspólnie buntować, razem śpiewać pieśni, niszczyć maszyny fabrykantów, iść na wygnanie i umierać. Czy mieli mniej do stracenia? Czy nie mieli swoich miejsc na świecie, marzeń i rodzin? Czy mieli rację? To pytania z pogranicza wielu dziedzin, na poły filozoficzne, na poły metafizyczne. To także pytanie o to, jak w świecie zaawansowanych narzędzi komunikacyjnych znacznie łatwiej podzielić tych, którzy są po złej stronie tabelki Excela. Rzecz przecież nie w krwawym oporze, nie to stanowi sedno opowieści o luddystach – lecz w śmiałości wspólnoty, której z premedytacją odebrano godność i chleb. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Odpowiedź na nową oś zła

Hanna Shen

eprasa.pl f7e0bb845d

Spotkanie przywódców Chin Xi Jinpinga, Rosji Władimira Putina oraz Korei Północnej Kim Dzong Una podczas defilady wojskowej na placu Tiananmen w Pekinie to bezprecedensowy przejaw solidarności autokratów przeciwko USA i ich sojusznikom oraz kolejna odsłona budowy nowej sieci zła. W tym kontekście wizyta prezydenta RP Karola Nawrockiego w Białym Domu ma kluczowe znaczenie nie tylko dla Polski, lecz także dla krajów wschodniej flanki NATO.

FOT. ALEXANDER KAZAKOV/SPUTNIK/KREMLIN POOL/PAP/EPA

Tuż przed spotkaniem prezydenta Nawrockiego z prezydentem USA Donaldem Trumpem w Chinach miały miejsce dwa istotne wydarzenia: szczyt państw członkowskich Szanghajskiej Organizacji Współpracy (SzOW), uznawanej za chińsko-rosyjską przeciwwagę dla NATO, oraz wielka defilada wojskowa na placu Tiananmen w Pekinie, z okazji 80. rocznicy kapitulacji Japonii w II wojnie światowej. Chiny wykorzystały oba te wydarzenia, aby zaprezentować swoją wizję nowego porządku świata, w którym na pierwszym miejscu stawiane jest „globalne Południe". Taki kierunek ma stanowić bezpośrednie wyzwanie dla Stanów Zjednoczonych.

Chiny budują nowy porządek

Podczas szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy w Tianjin, Xi Jinping skrytykował politykę celną prezydenta Donalda Trumpa. Główny gość szczytu, zbrodniarz wojenny Władimir Putin, również nie szczędził słów krytyki wobec Zachodu. Stwierdził, że wojna na Ukrainie nie wybuchła „w wyniku rosyjskiego ataku", lecz była efektem wspieranego przez Zachód „zamachu stanu" w Kijowie w 2014 roku. Dodał, że próby Zachodu, mające na celu wciągnięcie Ukrainy do NATO, stanowią „bezpośrednie zagrożenie dla bezpieczeństwa Rosji". Według Putina SzOW przywróci „prawdziwy multilateralizm", tworząc „polityczne i społeczno-ekonomiczne podstawy dla utworzenia nowego systemu stabilności i bezpieczeństwa w Eurazji".

W realizacji idei nowego globalnego porządku mają pomóc inicjatywy ogłoszone przez Xi Jinpinga podczas szczytu w Tianjin. Prezydent Chin zadeklarował potrzebę utworzenia nowego banku rozwoju dla państw członkowskich Szanghajskiej Organizacji Współpracy, co stanowiłoby krok w stronę stworzenia alternatywnego systemu płatności, który ominie amerykańskiego dolara oraz zachodnie sankcje. Pekin zapowiedział również, że w tym roku przeznaczy 2 mld juanów (około 280 mln dolarów) na bezpłatną pomoc dla państw członkowskich SzOW oraz dodatkowe 10 mld juanów w formie pożyczek dla konsorcjum bankowego Szanghajskiej Organizacji Współpracy. Dodatkowo Chiny planują zbudować centrum współpracy w zakresie sztucznej inteligencji dla krajów tego bloku.

Loża autokratów

Kolejnym bezprecedensowym przejawem solidarności przeciwko USA i ich sojusznikom była defilada wojskowa na placu Tiananmen w Pekinie, którą z loży honorowej obserwowali Xi Jinping, Władimir Putin oraz przywódca Korei Północnej Kim Dzong Un. W róż-

eprasa.pl 72e0bb845d

nych momentach parady trzej liderzy, którzy nigdy wcześniej nie pojawili się razem publicznie, pochylali się ku sobie, uśmiechali się, a nawet prowadzili rozmowy na temat długowieczności i nieśmiertelności. Podczas swojego wystąpienia na placu Tiananmen Xi wezwał Chińską Armię Ludowo-Wyzwoleńczą (ChALW) do „przyspieszenia budowy armii światowej klasy", aby osiągnąć to, co nazwał „wielkim odrodzeniem narodu chińskiego". Kluczowym elementem tego planu odrodzenia jest zajęcie Tajwanu.

Ten spektakl uśmiechów autokratów to jedynie kolejna odsłona budowy nowej sieci zła. Korea Północna stała się kluczowym sojusznikiem Rosji od momentu inwazji na Ukrainę w 2022 roku. Pjongjang dostarczył Rosji broń, w tym pociski artyleryjskie i rakiety, a także wysłał tysiące żołnierzy do walki w obwodzie kurskim. „Chciałbym zauważyć, że wasi żołnierze walczyli odważnie i bohatersko" – miał powiedzieć Putin Kim Dzong Unowi podczas defilady w Pekinie. Północnokoreański dyktator obiecał, że będzie nadal wspierał Rosję w wojnie na Ukrainie „w każdy możliwy sposób". „Uważamy to za nasz braterski obowiązek" – stwierdził Kim. „Obowiązek", za który Kim Dzong Un został wynagrodzony przez Putina. Od dłuższego czasu zabiegał w Moskwie o technologię budowy okrętów podwodnych z napędem atomowym. W połowie września południowokoreański wywiad ujawnił, że wsparcie ze strony Putina prawdopodobnie już nastąpiło. Rosja dostarczyła Korei Północnej reaktor jądrowy do wykorzystania w atomowych okrętach podwodnych, co po raz kolejny dowodzi, że Putin nie koncentruje się jedynie na wojnie na Ukrainie i groźbach wobec Europy; umożliwia również niebezpiecznym tyranom, takim jak on sam, podsycanie konfliktów w innych częściach świata.

Jednak najważniejszym elementem tej nowej osi jest Pekin, który na arenie międzynarodowej kreuje się na gołąbka pokoju – mediatora i neutralnego gracza w konflikcie na Ukrainie. W rzeczywistości jednak reżim Xi Jinpinga stanowi kluczowego sponsora maszyny wojennej Putina.

Nie byłoby rosyjskich dronów bez Chin

Współpraca Rosji z Chinami jest niezwykle silna i stanowi poważne zagrożenie także dla Polski, co unaocznia agresja rosyjskich dronów na nasz kraj. Technologię niezbędną do produkcji dronów Rosja pozyskała od Iranu, jednak obecnie jest w stanie wytwarzać je na dużą skalę, ponieważ ma wsparcie Pekinu.

Główna produkcja tych bezzałogowców odbywa się w specjalnej strefie ekonomicznej w Jełabudze w Tatarstanie. Pod koniec sierpnia br. ukraińska agencja analityczno-wywiadowcza Frontelligence Insight opublikowała raport, który potwierdził, że produkcja dronów w Jełabudze opiera się na co najmniej 41 oddzielnych komponentach pochodzących z Chin. Wśród tych elementów znajdują się silniki, komponenty elektroniczne i mechaniczne, akumulatory, gaźniki oraz części telekomunikacyjne. W Jełabudze powstało także specjalne centrum logistyczne, które umożliwia bezpośrednie dostawy kolejowe z Chin, co znacznie uprościło łańcuch dostaw w produkcji dronów. „Współpraca Rosji z Iranem i Chinami stanowi zarówno strategię unikania sankcji, jak i kluczowy element umożliwiający prowadzenie operacji powietrznych. Proste w produkcji, a jednocześnie nadające się do masowego rozmieszczenia drony zyskują na znaczeniu jako istotne narzędzie w wojnie na wyniszczenie. Choć Chiny nie są bezpośrednio zaangażowane w konflikt, pozostają kluczowym dostawcą, oferując części, bez których ten sposób prowadzenia wojny byłby niemożliwy" – czytamy w ukraińskim dokumencie.

Jesteśmy w momencie, w którym Rosja i Chiny dążą do zbudowania nowego porządku światowego. Powstaje nowa oś zła, a Europa, pod przewodnictwem Niemiec, rozbroiła się i przez lata uzależniała gospodarczo od swoich wrogów – Moskwy i Pekinu.

Xi i Putin mogą wywołać III wojnę światową

Prezydent Chin Xi Jinping nie ukrywa, że kwestia Tajwanu jest dla niego jedną z najważniejszych spraw. Pekin zamierza podjąć wszelkie wysiłki, aby zająć tę wyspę. W czerwcu, przed rozpoczęciem szczytu NATO w Hadze, sekretarz generalny Sojuszu Północnoatlantyckiego Mark Rutte ostrzegł, że Rosja i Chiny wspólnie przygotowują się do wywołania konfliktu znacznie

eprasa.pl f7e0bb845d

większego niż ten na Ukrainie. „Jeśli prezydent Xi Jinping zdecyduje się na atak na Tajwan, najpierw będzie musiał skontaktować się ze swoim młodszym partnerem, Władimirem Władimirowiczem Putinem, mieszkającym w Moskwie, i powiedzieć mu: »Hej, zamierzam to zrobić i potrzebuję, żebyś zajął ich czymś w Europie, atakując terytorium NATO«".

Generał Alexander Richard Shirreff, brytyjski wojskowy i były zastępca naczelnego dowódcy sojuszniczych sił europejskich NATO (DSACEUR), w artykule opublikowanym 19 września br. na łamach „Daily Mail" stwierdził, że biorąc pod uwagę znaczące niedobory zbrojeniowe w Europie, taki scenariusz jest bardzo prawdopodobny. „Stoimy na krawędzi katastrofalnego konfliktu między supermocarstwami na dwóch frontach – to definicja wojny światowej" – pisze Shirreff. Brytyjski wojskowy przedstawił również potencjalny przebieg takiego konfliktu, który mógłby rozpocząć się od „awarii" zasilania w Wilnie, a następnie rozprzestrzenić się na inne miasta Litwy, a wkrótce potem na Łotwę i Estonię, co mogłoby wywołać chaos w tych państwach. Następnego dnia Putin ogłosiłby, że w związku z niepokojami społecznymi w sąsiednich krajach wojska w rosyjskiej enklawie Kaliningradu zostały postawione w stan pełnej gotowości i przesunięte w kierunku granicy z Litwą. Ławrow dodałby, że „rosyjskojęzyczni mieszkańcy Wilna są celem ataków nacjonalistycznych tłumów i że Moskwa ich nie opuści". Wkrótce doszłoby do pierwszych potyczek na północnym krańcu Przesmyku Suwalskiego. W miarę jak konflikt zaostrzałby się, prezydent Chin Xi Jinping pochwaliłby Rosję za „obronę swoich obywateli" i zapewniłby o pełnym poparciu dla rosyjskich działań zarówno na Litwie, jak i na Ukrainie, jednocześnie rozpoczynając atak na Tajwan. Scenariusz przedstawiony przez gen. Shirreffa nie wróży nic dobrego ani dla Zachodu, ani dla Tajwanu. Ale to na razie jeden z wielu przedstawianych scenariuszy.

A unijni biurokraci o klimacie

Jesteśmy w momencie, w którym Rosja i Chiny dążą do zbudowania nowego porządku światowego. Powstaje nowa oś zła, a Europa, pod przewodnictwem Niemiec, rozbroiła się i przez lata uzależniała gospodarczo od swoich wrogów – Moskwy i Pekinu. Jak pokazała ostatnia wizyta przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen w Pekinie, nie ma żadnych oznak, że rządzące obecnie elity Unii Europejskiej są gotowe na wyzwania, które przed nami stoją. Rozmowy von der Leyen z chińskimi przedstawicielami nie przyniosły żadnych rezultatów – nie doszło do otwarcia chińskiego rynku dla europejskich firm, uregulowania ekspansji handlowej ChRL w Europie, a Pekin nie potępił działań wojennych Putina ani nie wycofał się ze swojego wsparcia dla jego machiny wojennej na Ukrainie. Jedynym wspólnym oświadczeniem, które ogłosiła niemiecka polityk wraz z przedstawicielami strony chińskiej, była kwestia współpracy na rzecz dalszej redukcji emisji dwutlenku węgla. Krótko mówiąc, w obliczu „katastroficznego konfliktu" wiszącego nad Europą, Ursula von der Leyen rozmawiała o ratowaniu klimatu ze stroną, która może ten konflikt wywołać, a jednocześnie z największym trucicielem środowiska.

Nie ma też żadnych wskazówek, że Niemcy pragną, aby Europa przestała uzależniać się od Chin. Niedawno zgodziły się na sprzedaż pakietu kontrolnego w spółce Ceconomy, właściciela sieci sklepów Saturn i Media Markt, chińskiemu przedsiębiorstwu JD.com. Wcześniej Chińczycy próbowali przejąć brytyjską sieć Curry's, jednak transakcja ta została wstrzymana. Teraz, dzięki Niemcom, JD.com zalać może europejskie sklepy elektroniką z Chin po dumpingowych cenach, co grozi wypieraniem lokalnych producentów. Ta transakcja stanowi dla Europy ryzyko utraty suwerenności gospodarczej oraz zwiększonego uzależnienia od chińskich łańcuchów dostaw. Co więcej, jako chińska firma, JD.com podlega prawu Chińskiej Republiki Ludowej, które zobowiązuje do współpracy z rządem (na przykład w ramach ustawy o wywiadzie). Dane klientów, takie jak informacje o zakupach i preferencjach, mogą trafić do Pekinu, co stwarza zagrożenie dla prywatności i bezpieczeństwa całej Europy.

Nie Niemcy, a Polska

Trump i jego administracja są zdania, że wciąż istnieje możliwość uniknięcia większego konfliktu, który mógłby zostać wywołany przez Rosję i Chiny. Niezbędne jest szybkie budowanie mechanizmów odstraszania na Dalekim Wschodzie oraz w Europie. Europa, pod przywództwem Niemiec, nie będzie w stanie tego zrealizować. Dlatego Stany Zjednoczone stawiają na silny sojusz z Polską, która od lat alarmuje o zagrożeniu ze strony Putina i inwestuje w swoją obronność. Podczas gdy Xi Jinping spotykał się w Pekinie z Władimirem Putinem, Donald Trump rozmawiał z prezydentem Polski Karolem Nawrockim i w ten sposób pokazał naszemu regionowi i Europie, na kim można oprzeć obronę przed nową osią zła. Trump zapewnił o gwarancjach bezpieczeństwa dla Polski i obiecał prezydentowi Nawrockiemu, że amerykańskie wojska pozostaną w naszym kraju, a ich obecność może nawet wzrosnąć. To nie jest informacja, którą Xi i Putin, rozmawiający w Chinach o nowym porządku, chcieli usłyszeć. W obliczu groźby „katastrofalnego konfliktu", który może rozpocząć się od uderzenia w nasz region, spotkanie Nawrockiego z Trumpem oraz deklaracje, które tam padły, mają strategiczne znaczenie dla Polski i krajów wschodniej flanki NATO. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

„Coraz częściej używają broni chemicznej. Od początku pełnej inwazji w 2022 roku Rosja przeprowadziła ponad 9000 ataków chemicznych na ukraińskich żołnierzy"

Kaja Kallas, wysoka przedstawiciel UE ds. zagranicznych, lipiec 2025

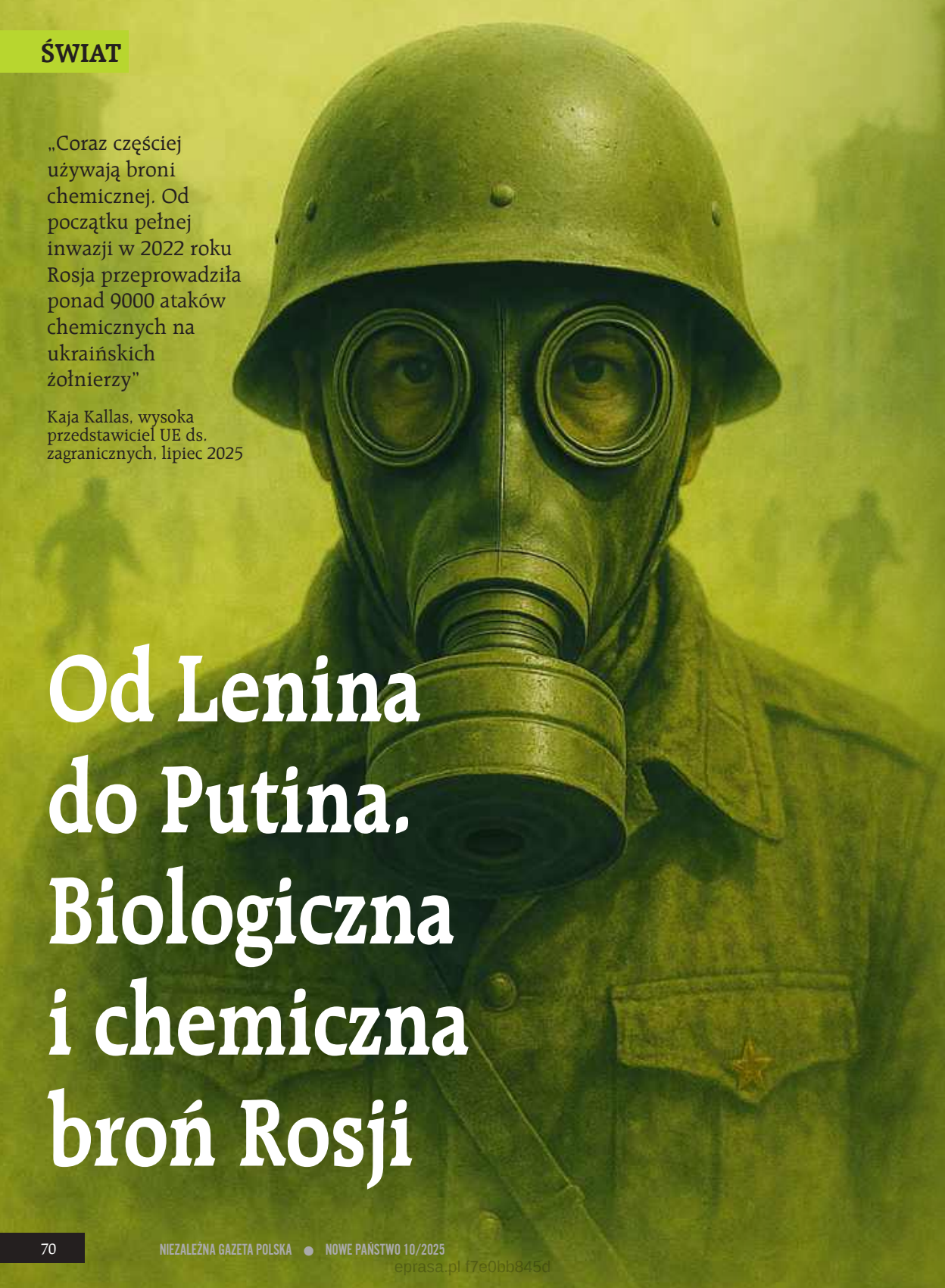

Od Lenina do Putina. Biologiczna i chemiczna broń Rosji

eprasa.pl f7e0bb845d

Antoni Rybczyński

Wojna z Ukrainą i operacje rosyjskiego wywiadu w Europie potwierdzają, że Rosja rozwija swoje programy broni biologicznej i chemicznej. Nie tylko nie pozbyła się spadku po Związku Sowieckim – mimo międzynarodowych umów – lecz także jeszcze bardziej zwiększyła zapasy śmiercionośnej broni i pracuje nad jej udoskonaleniem.

Pomimo swoich zobowiązań jako kraj, który podpisał Konwencję o zakazie broni chemicznej, Rosja nie tylko nie rezygnuje z jej stosowania, lecz także modernizuje i zwiększa skalę produkcji.

Granaty RG-Wo i piekielny ogień

Od początku wojny na pełną skalę Służba Bezpieczeństwa Ukrainy odnotowała ponad 10 tys. ataków chemicznych na ukraińskich żołnierzy. W listopadzie 2024 roku MSZ Ukrainy po raz pierwszy oskarżyło Rosję o użycie broni chemicznej. W maju 2025 roku Stany Zjednoczone nałożyły sankcje na Rosję za użycie chloropikryny i gazu łzawiącego. Użycie granatów gazowych przez Rosję potępiła również Rada Unii Europejskiej. Holenderski i niemiecki wywiad poinformowały 4 lipca, że zidentyfikowały środek chemiczny chloropikrynę, który „może być śmiertelny, gdy jest stosowany w wysokich stężeniach w zamkniętych pomieszczeniach". Jak w warunkach sankcji Rosji udaje się masowo produkować broń do ataków chemicznych na Ukrainę? Projekt śledczy „Schemy", ukraińskiej służby Radia Swoboda, ustalił przedsiębiorstwo, które stworzyło nowy granat gazowy dla armii, i dowiedział się, w jaki sposób, pomimo zachodnich sankcji, nadal produkuje się tam broń, kupując komponenty i surowce w samej Rosji i w przyjaznych jej Chinach.

Ukraińskie siły zbrojne były świadkami stosowania broni chemicznej przez armię rosyjską już od 2014 roku, od początku działań wojennych w obwodach donieckim i ługańskim. Sowieckiej produkcji granaty K-51 były używane podczas szturmu na lotnisko w Doniecku, a także – już w 2022 roku – w walkach o Mariupol. W grudniu 2023 roku siły zbrojne Federacji Rosyjskiej po raz pierwszy użyły przeciwko ukraińskim żołnierzom nowych granatów gazowych RG-Wo – prawdopodobnie skrót od nazwy „ręczny granat – substancja trująca". W jego skład wchodzą trujące gazy CS (2-chlorobenzyloalmalononitryl) i CN (chloracetofenon). Osoba, która otrzyma jakąkolwiek dawkę tych substancji, traci orientację, zdolność do wykonywania jakichkolwiek czynności i staje się łatwym celem. Substancje chemiczne zawarte w granacie RG-Wo mogą doprowadzić nie tylko do zatrucia żołnierzy, lecz także do ich śmierci. Jednak największe zagrożenie związane z granatami chemicznymi jest inne. Są one używane głównie do zmuszania żołnierzy do opuszczenia schronów. Metody te nie są nowe. Rosja stosuje taktykę sprzed ponad 100 lat. Wtedy granaty z gazem łzawiącym rzucano do okopów

FOT. MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl 7e0bb845d

wroga głównie ręcznie. Obecnie zrzuca się je z dronów. Najpierw usuwa się zawleczkę i blokuje dźwignię spustową, która zapobiega przedwczesnemu wybuchowi granatu, a następnie mocuje się go do quadkoptera. Operator kieruje go w stronę pozycji ukraińskich żołnierzy i zrzuca granat do ich schronu. Trujący dym szybko wypełnia przestrzeń. Aby się chronić, żołnierze zakładają maski przeciwgazowe, a jeśli ich nie mają, wychodzą na zewnątrz w poszukiwaniu świeżego powietrza. Gdy tylko żołnierze opuszczają schron, otwiera się do nich ogień.

Amunicję chemiczną w wojsku – w tym granaty RG-Wo – dostarcza założony jeszcze w 1945 roku Naukowo-Badawczy Instytut Chemii Stosowanej (NIIPH). Znajduje się on pod Moskwą, w mieście Sergijew Posad, wchodzi w skład państwowej korporacji Rostech. NIIPH kupuje większość komponentów i surowców do produkcji broni w Rosji i Chinach. A handlują z nim firmy, którym jak dotąd udaje się pozostać poza zasięgiem uwagi krajów zachodnich i w ten sposób omijać sankcje. W latach 2022–2023 instytut zakupił za ponad 1 mln dolarów prawie 100 ton czerwonego fosforu od firmy Yunnan Phosphorus, która reprezentowała interesy innej chińskiej firmy – Dongguan Haofei. Ta została zarejestrowana już po rozpoczęciu pełnej wojny Rosji przeciwko Ukrainie, w październiku 2022 roku, i ma kapitał zakładowy w wysokości zaledwie 70 tys. dolarów. Chociaż obie firmy są prywatne, komunistyczny rząd Chin kontroluje wszystkie przedsiębiorstwa zajmujące się handlem towarami o znaczeniu strategicznym. Czerwony fosfor po podgrzaniu w próżni w warunkach laboratoryjnych natychmiast przekształca się w wybuchowy biały fosfor. Rosyjskie siły wielokrotnie używały amunicji zawierającej tę substancję przeciwko ukraińskim wojskom. W kontakcie z tlenem biały fosfor może nagrzewać się do 800 stopni Celsjusza. Ugaszenie wywołanego przezeń pożaru jest praktycznie niemożliwe. Z tego powodu stosowanie białego fosforu w wojnach jest zabronione przez konwencje genewskie.

Od iperytu do nowiczoka

Choć Rosja podpisała Konwencję o zakazie broni chemicznej, nie pozbyła się tego rodzaju broni masowego rażenia. Najlepszym tego dowodem były zamachy z ostatnich lat, które wywołały poruszenie na całym świecie. W 2018 roku rosyjscy agenci otruli mieszkającego w Wielkiej Brytanii Siergieja Skripala i jego córkę nowiczokiem, środkiem paralityczno-drgawkowym, opracowanym przez Związek Sowiecki w ostatnich latach zimnej wojny. Skripalowie przeżyli, ale dwie inne osoby, które później przypadkowo zetknęły się z nowiczokiem, zmarły. W 2020 roku Rosja próbowała również otruć nowiczokiem przywódcę opozycji Aleksieja Nawalnego. Oczywiście Rosja nigdy nie przyznała się do posiadania nowiczoka, ale te dwie historie pokazują, że zachowała co najmniej elementy programu broni chemicznej odziedziczonego po ZSRS. Używa go do zamachów i na froncie.

Rosja carska nie produkowała i nie używała broni chemicznej. Gazy bojowe zaczęła otrzymywać od zachodnich sojuszników w czasie I wojny światowej. Na bazie nielicznych oddziałów wojsk chemicznych carskiej armii bolszewicy zaczęli w 1918 roku budować wojska chemiczne Armii Czerwonej – początkowo jako część sił artylerii. Siedem lat później powstał samodzielny Zarząd Wojskowo-Chemiczny (Chimupr). Pod koniec lat 20. XX wieku jego pododdziały były już we wszystkich dywizjach i brygadach piechoty i kawalerii. Oczywiście konieczna więc była odpowiednia ilość amunicji. Początkowo były to przede wszystkim pociski artyleryjskie z iperytem i fosgenem, dostarczone w czasie wojny przez Ententę. Sowieci zaczęli więc pracować nad własną bronią chemiczną. Po Rapallo wspólnie z Niemcami prowadzili doświadczenia na tajnym poligonie w obwodzie samarskim. W latach 20. i 30. XX wieku najważniejszy był ośrodek Tomka, gdzie wspólnie z Niemcami testowano gazy bojowe. Gdy Berlin zerwał współpracę po przejęciu rządów przez nazistów, Sowieci mieli już gotowe know-how produkcji broni chemicznej. W 1935 roku na uzbrojeniu Armii Czerwonej znajdowało się około 1 mln pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych zawierających gazy bojowe. Sowiecka doktryna wojskowa przewidywała użycie broni chemicznej na wielką skalę podczas szeroko zakrojonych działań ofensywnych. Tyle że Stalin musiał przez dużą część wojny bronić się, nie atakować. Gdy już przeszedł do kontrofensywy, z używania broni chemicznej zrezygnowano. Zresztą wpływ na takie, a nie inne decyzje dowództwa mógł mieć fakt, że w czasach tzw. wielkiego terroru zdziesiątkowano kierownictwo wojsk chemicznych i na długo znalazły się one w niełasce.

Później, w czasach zimnej wojny, oczywiście wrócono do programu rozwoju broni chemicznej. Miał to być, obok broni atomowej i biologicznej, trzeci ważny element arsenału ABC. I gdy Związek Sowiecki zaczął chylić się ku upadkowi, także broń C dotknęły rozbrojeniowe pomysły tamtych lat. W 1990 roku George W. Bush i Michaił Gorbaczow podpisali umowę, zgodnie z którą ZSRS i USA kończyły produkcję nowej broni chemicznej i przystą-

eprasa.pl f7e0bb845d

pić miały do zniszczenia już posiadanej. Tyle że Moskwa wcale nie zaprzestała takich prac, nadal na przykład produkując nowe wersje nowiczoka. W kwietniu 1991 roku szefowie tego projektu dostali nawet od Gorbaczowa Ordery Lenina. Gdy Związek Sowiecki upadł, niemal cały jego arsenał broni chemicznej odziedziczyła Federacja Rosyjska. Gdy w 1993 roku podpisała Konwencję o zakazie broni chemicznej, zadeklarowała posiadanie około 40 000 ton chemicznych środków bojowych „kategorii 1" (z czego 80 proc. to środki paralityczno-drgawkowe). Wiadomo, że do 2004 roku Rosjanie zniszczyli tylko 1,5 proc. swego arsenału. Konwencja weszła w życie w kwietniu 1997 roku, a jej sygnatariusze zobowiązali się do zniszczenia całości posiadanej broni chemicznej w ciągu 10 lat, z możliwością przedłużenia tego okresu o kolejne pięć lat. Rosja powinna więc niszczyć cały swój chemiczny arsenał najpóźniej do kwietnia 2012 roku. Ogłosiła, że to zrobiła, jednak dopiero jesienią 2017 roku. Pytanie, czy zrobiła? Zweryfikować się tego nie dało. Co więcej, oficjalnie Moskwa mówiła o 40 000 ton, tymczasem już na początku lat 90. XX wieku zachodnie służby mówiły o 60 000 ton.

Jakimi środkami chemicznymi dysponuje dziś Rosja? Oczywiście jest nowiczok. Najsilniejsza znana na świecie broń chemiczna. W odpowiednich warunkach (niska wilgotność, wysoka temperatura) 2 gramy tej substancji wystarczą, by zabić pół tysiąca ludzi. Wiadomo, że były co najmniej cztery wersje nowiczoka, a pierwsza została opracowana już w 1972 roku. Później je tylko modyfikowano i krzyżowano. Dotychczas znane są cztery przypadki użycia nowiczoka – za każdym razem chodziło o zamach. Pierwszy był szef zrzeszenia rosyjskich bankowców Iwan Kiwilidi (1995). Ale zmarł nie tylko on, lecz także jego sekretarka i patolog, który robił sekcję. Z życiem uszli natomiast Gebrew (2015), Skripal (2018) i wreszcie Nawalny (2020). Nie można jednak wykluczyć, że Rosja posiada techniczną zdolność użycia nowiczoka jako broni na polu walki, przeciwko wielu ludziom. Rosjanie dysponują także innymi trującymi środkami chemicznymi, choćby gazem VX. Działa na układy krwionośny i nerwowy. Jest bardziej trujący od sarinu. Sarin powoduje śmierć w wyniku uduszenia, ponieważ ofiary nie są w stanie kontrolować mięśni odpowiedzialnych za oddychanie. W marcu 2002 roku FSB ogłosiła, że udało jej się zlikwidować Ibn al-Chattaba, Saudyjczyka walczącego po stronie czeczeńskich rebeliantów. Towarzysz broni Szamila Basajewa otworzył list pokryty trucizną, najprawdopodobniej sarinem. Zaledwie siedem miesięcy później czeczeńscy bojownicy wzięli za zakładników ponad 900 osób w moskiewskim teatrze na Dubrowce. Rosyjskie służby bezpieczeństwa wpompowały do środka gaz, który powalił nie tylko napastników. Zmarło również ponad 100 zakładników – wielu dlatego, że FSB nie powiedziała próbującym ich ratować lekarzom, jakim środkiem zostali otruci. Eksperci uważają jednak, że była to forma opioidu – fentanylu.

▶ Biopreparat i blef Jelcyna

Podobnie jak w przypadku broni chemicznej, obecny tajny program broni biologicznej w Rosji jest kontynuacją programu sowieckiego. Już w latach 20. XX wieku, pod osobistym nadzorem Lenina, rozpoczęto prace nad takimi patogenami jak na przykład tularemia czy tyfus. Prace nad bronią biologiczną w pewnym momencie były wręcz oczkiem w głowie szefów sowieckiego aparatu bezpieczeństwa. W 1925 roku większość państw świata, w tym Związek Sowiecki, podpisała protokół genewski zakazujący stosowania broni chemicznej i bakteriologicznej na polu walki. Następnie sygnatariusze zaczęli gorączkowo budować laboratoria chemiczne i biologiczne w głębokiej tajemnicy przed sobą. Także Sowieci. Sowiecki program tworzenia broni biologicznej rozpoczął się w 1928 roku (niektóre prace nad patogenami zwierząt gospodarskich prowadzono już od 1918 roku). Na początku lat 30. XX wieku w klasztorze Pokrowskim w Suzdalu otwarto laboratorium biologiczne, którego pracownikami zostali aresztowani naukowcy. Laboratorium jednocześnie pracowało nad szczepionkami i przeprowadzało eksperymenty z zarażaniem więźniów wewnętrznego więzienia niebezpiecznymi patogenami.

Po II wojnie światowej ZSRS uzyskał cenne informacje na temat japońskiego programu broni biologicznej. Rozbudowano infrastrukturę wojskowo-biologiczną, która działa do dziś. W latach 50. i 60. XX wieku w ZSRS badano możliwości stworzenia bardziej zakaźnych, odpornych na szczepionki i leki, bardziej śmiercionośnych patogenów przy użyciu klasycznej selekcji. Prace prowadzono nad bakteriami (dżumy, wąglika, tularemii, wenezuelskiego zapalenia mózgu) oraz nad wirusami (ospa). W latach 70. XX wieku Związek Sowiecki przystąpił do „Konwencji o zakazie prowadzenia badań, produkcji i gromadzenia zapasów broni bakteriologicznej (biologicznej) i toksycznej oraz o ich zniszczeniu, sporządzonej w Moskwie, Londynie i Waszyngtonie dnia 10 kwietnia 1972 roku". Powinien zlikwidować wszelkie posiadane zapasy broni biologicznej i zaprzestać prowadzenia prac nad taką bronią. Tyle że chwilę później, w 1973 roku, powołano do życia cywilną instytucję pod nazwą Główna Agencja Przemysłu Mikrobiologicznego. W skrócie Biopreparat. Oficjalnie zajmowała się pracami nad szczepionkami, w rzeczywistości kontynuowała prace wcześniej prowadzone nad bronią biologiczną. Zachód dowiedział się o tym dopiero

eprasa.pl f7e0bb845d

na przełomie lat 80. i 90. XX wieku, gdy na Zachód zbiegło dwóch ważnych pracowników Biopreparatu – Władimir Pasiecznik i Ken Alibek. Z ich relacji wynikało, że realizowany w latach 70. i 80. XX wieku przez sowieckie służby program prac nad bronią biologiczną był wielokrotnie większy, niż zakładał Zachód. Mogło być w ten program zaangażowanych nawet 60 tys. osób, z czego około 10 tys. naukowców, w tym od 1 tys. do 2 tys. ekspertów zajmujących się wyłącznie śmiercionośnymi truciznami. Prace były prowadzone w co najmniej 40 różnych ośrodkach.

To, że w Związku Sowieckim program broni biologicznej nie został wstrzymany, po raz pierwszy publicznie przyznał na początku 1992 roku Borys Jelcyn. W kwietniu 1992 roku podpisał dekret wymagający całkowitego wstrzymania wszystkich prac i przestrzegania Konwencji o zakazie broni biologicznej. We wrześniu 1992 roku w Moskwie odbyły się trójstronne rozmowy (Rosja, Wielka Brytania, Stany Zjednoczone), w wyniku których podpisano porozumienie, w którym Rosja potwierdziła zobowiązanie do zaprzestania programu broni biologicznej. Przeprowadzono kilka wzajemnych inspekcji, ale po 1996 roku współpraca faktycznie ustała. Do tego momentu zachodni eksperci zdążyli odwiedzić wiele organizacji należących do „cywilnej" części Biopreparatu. Jednak Rosja nigdy nie wyraziła zgody na inspekcje instytutów wojskowych w Jekaterynburgu, Kirowie i Siergijew Posadzie.

Ebola spod Moskwy

Pod koniec października 2024 roku gazeta „The Washington Post" opublikowała kilka zdjęć satelitarnych terytorium rosyjskiego zamkniętego miasta wojskowego Sergijew Posad-6 na północnym wschodzie obwodu moskiewskiego, kilka kilometrów od miasta Sergijew Posad. W Sergijew Posad-6 znajduje się główny kampus głównego wojskowego instytutu biologicznego Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej (obecna nazwa – 48. Centralny Instytut Badawczy Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej), który od 1954 roku zajmował się opracowywaniem broni biologicznej. W sumie do 48. Centralnego Instytutu Badawczego należą obecnie trzy filie: w Sergijew Posad-6, Kirowie i Jekaterynburgu. Historycznie instytut w Sergijew Posadzie zajmował się wirusami, a w Kirowie – bakteriami. Na zdjęciach opublikowanych przez „WaPo" widać, że od wiosny 2022 roku w Sergijew Posad-6 rozpoczęto zakrojone na szeroką skalę prace budowlane: w ciągu dwóch lat na zamkniętym terenie wzniesiono sześć nowych budynków, a także budynek techniczny, w którym, jak przypuszczają dziennikarze, znajduje się podstacja elektryczna. Eksperci cytowani w artykule „The Washington Post" przypuszczają, że co najmniej w czterech nowych budynkach znajdują się laboratoria biologiczne o najwyższym poziomie bezpieczeństwa biologicznego, niezbędnym do pracy z niebezpiecznymi patogenami, takimi jak wirus ospy prawdziwej lub wirus Ebola.

Nowoczesne laboratoria biologiczne o wysokim poziomie bezpieczeństwa zbudowane w ostatnich dziesięcioleciach są podobne pod względem konstrukcyjnym. Maksymalna ochrona biologiczna – w rzeczywistości jest to „pudełko w pudełku". Z reguły laboratorium jest otoczone w budynku od góry i od dołu piętrami technicznymi. Laboratorium to hermetyczne, czyste pomieszczenie, nad którym znajduje się piętro techniczne z doprowadzeniem i odprowadzeniem powietrza oraz stacją filtracji, przy czym wentylacja jest zazwyczaj scentralizowana, a na piętrze pod laboratorium znajdują się m.in. zbiorniki do oczyszczania ścieków. Hermetyczne pomieszczenie głównego laboratorium („strefa gorąca") często otacza galeria korytarzy („strefa zimna"), w których mogą znajdować się okna zewnętrzne. Na piętrach technicznych zazwyczaj nie montuje się okien.

Rozbudowa ośrodka łączy się z rozwojem prac nad bronią biologiczną. Pierwszą oznaką był gwałtowny wzrost zakupów małp z Wietnamu od 2017 roku. Instytut w Sergijew Posad-6 bada wirusa Ebola co najmniej od 1996 roku. Od tamtej pory doszło do dwóch znanych przypadków śmierci z powodu Eboli – za każdym razem był to pracownik instytutu. Najlepiej jednak badania nad wirusami wywołującymi gorączkę krwotoczną, jak Ebola, prowadzić w warunkach tropikalnych. Rosjanie to wiedzą. Dlatego zbudowali laboratoria w sojuszniczej Republice Środkowoafrykańskiej, której prezydenta wspierają do lat rosyjscy najemnicy. Wiadomo o trzech obiektach w Bossangoa w prefekturze Ouam, w pobliżu granicy z Czadem. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że pracują tam ludzie ze wspomnianego instytutu w Sergijew Posad-6. Choroby wirusowe, którymi zajmują się rosyjscy wirusolodzy wojskowi w Afryce, nie są typowe dla Rosji, prawdopodobnie celem tych badań jest wykorzystanie chorób rozprzestrzeniających się przez wirusy jako broni. Możliwe, że Rosja będzie chciała zainstalować podobne laboratoria w Sudanie, Burkina Faso i Nigrze. Rozmieszczenie biologów wojskowych w krajach afrykańskich ma na celu zebranie próbek obiecujących wirusów i infekcji do dalszego wykorzystania jako broń biologiczna. Wszystko wskazuje na to, że badania w dziedzinie gorączek krwotocznych, bakteryjnego zapalenia opon mózgowych i malarii są dla Rosji priorytetowym kierunkiem działań. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

FOT. CHRISTIAN MONTERROSA/PAP/EPA

Jakub Augustyn Maciejewski

QAnon – najbardziej tajemniczy ruch społeczny w USA

Być może nawet setki tysięcy Amerykanów przynależą do nieformalnego, dynamicznego i radykalnego ruchu QAnon, będącego zarazem najbardziej tajemniczą i wpływową doktryną społeczno-polityczną ostatnich dekad. Literka „Q", która jest symbolem tej grupy, pojawiała się powszechnie podczas szturmu na Kapitol, podczas oskarżeń wobec Hillary Clinton, George'a Sorosa czy Billa Gatesa. W Polsce też niemal każdy przynajmniej raz widział komunikat QAnonu. Czy ta wielka teoria spiskowa rozleje się dalej?

eprasa.pl f7e0bb845d

O QAnonie jest niebywale trudno pisać. Powstałe na ten temat materiały należą albo do fanatycznych zwolenników ruchu, albo liberalnych autorów, którzy zbyt często patrzą na wszystkich z politowaniem. Kłopoty sprawia też fakt, że jest to nurt wielopłaszczyznowy, składający się i z takich ludzi, którzy chcą stanowczego umocnienia władzy Trumpa, i tropicieli jaszczurów z kosmosu (których główni QAnonowcy nie uznają za członków wspólnoty). Powszechnie uważa się, że to właśnie QAnon pchnął wściekły tłum do ataku na waszyngtoński Kapitol w dniu przekazania władzy Joemu Bidenowi 6 stycznia 2021 roku, a więc jest to grupa zdeterminowana, która potrafi chwycić za broń i egzekwować swoje doktryny siłą. Wreszcie największą przeszkodę w pisaniu sprawia tajemnica założycielska – kim jest tajemniczy „Q", który potrafił wstrząsnąć amerykańskim społeczeństwem?

Bo od 8 lat ruch inspiruje anonimowy internauta zalogowany na konkretnych forach internetowych pod pseudonimem Q. Pisze on na forach dla radykałów, na tzw. Dzikim Zachodzie internetu, gdzie na ma adminów, ograniczeń, gdzie swoje memy i hasła publikują także rasiści, neonaziści czy tropiciele kosmitów przebranych za ludzi. Bywają tam też prawicowe subkultury sprzeciwiające się feminizmowi, LGBT czy równouprawnieniu Murzynów, bywają tam wyznawcy fantastycznych teorii spiskowych, pojawił się tam też w październiku 2017 roku użytkownik Q ze swoim pierwszym, lakonicznym wpisem. „Hillary Clinton zostanie aresztowana między 7.45 a 8.30 rano w poniedziałek 30 października 2017 roku". Niektórzy się z tego śmiali, niektórzy się tym zainteresowali, ale większość przede wszystkim w morzu różnych wpisów akurat tego tekstu nie zauważyła. No i wspomnianego dnia głównej persony amerykańskiego liberalizmu wcale nie aresztowano. A jednak Q powrócił. Jego wypowiedzi stały się mniej konkretne, forma zapisu bardziej hasłowa, a całość zaczęła zawierać słowa klucze wokół konkretnego wyobrażenia świata. I tak oto rosnące grono czytelników Q utwierdzało i konkretyzowało swoje wcześniejsze wyobrażenia o władzy w USA. Konserwatyści amerykańscy bowiem i tak opisywali strukturę waszyngtońskiego establishmentu jako „deep state" (głębokie państwo), opierający się prawicowym zmianom, jako sitwę skorumpowanych i zdemoralizowanych liderów. Q jednak szedł z tym dalej, w doprawdy kuriozalnych wyobrażeniach.

Świat QAnonu

Otóż Stanami Zjednoczonymi ma zarządzać „Klika" z Hillary Clinton na czele, forsująca Nowy Porządek Świata, oparty na władzy zakonu iluminatów i biologicznych eksperymentach na ludziach. To ostatnie jest już istną paranoją – liberałowie mają bowiem w stolicy USA podziemne tunele (w innych wariantach są to magazyny zorganizowane pod przykrywką na przykład sklepu z mediami czy pizzerii), w których przechowuje się kolejne porywane dzieci, aby podczas gwałcenia ich wydobyć z ich ciał specjalną substancję przedłużającą życie: adrenochrom. Dzięki temu specyfikowi takie postacie jak Barack Obama czy George Soros będą żyć w zdrowiu przez bardzo długi czas, a ich zmysły i zdolności intelektualne są na zwiększonym poziomie. Do tych okropieństw wyznawcy QAnonu dołączają wiele rozmaitych nowych teorii spiskowych, wzmacniających podział na zwykłych ludzi, demoniczny establishment i ich – ruch wyzwolenia Ameryki od zła.

Warto też wspomnieć, że wbrew opisom tego ruchu, nie tylko konserwatyści do niego dołączają. Antysystemowcy lewicowi też dają się wciągnąć w labirynt teorii, komunikatów i interpretacji. Badacze QAnonu odnotowali w nim: wyborców ultralewicowego Berniego Sandersa, hippisów, wyznawców New Age, neopogaństwa i innych subkultur.

Wielu fanów Q wierzy w system NESARA – sekretną ustawę podatkową, która miała zostać przyjęta około 20 lat temu przez Kongres, ale którą Klika zamknęła w archiwach, by ludzkość nadal cierpiała w kredytach, bezrobociu i wysokich podatkach. Wprowadzenie NESARY zakończy w Ameryce głód, nierówności i wyzysk, ożywi gospodarkę w bezprecedensowy sposób i przyniesie dobrobyt wszystkim uczciwym obywatelom. Mit NESARY bierze się z niskonakładowej broszury Harveya Francisa Barnarda (1941–2005), który na przełomie lat 80. i 90. wydrukował swoje pomysły w formie propozycji ustawy i rozdał ją kongresmenom, wkrótce potem ze swoją ideą przepadając w codziennej niepamięci. I tyle. Po latach jednak NESARA powróciła jako mit, który ma się spełnić w wybawieniu domowych budżetów przeciętnych obywateli.

W ekonomiczne aspekty QAnonu wpisują się także inwestycje w egzotyczne waluty, które wkrótce mają być wymienione na ogromne sumy dolarów. Wśród wyznawców akurat tego nurtu pojawił się więc kult irackiego dinara, któremu dawną świetność sprzed 60 lat przywróci swoją bliskowschodnią polityką Donald Trump, albo pieniądz z Zimbabwe, oparty na złożach złota dostępnych w tym afrykańskim kraju. Skupowanie tych upadłych walut pozwoli pewnego dnia udać się do banku, wypowiedzieć pracownikom sekretne hasło, po którym zostaną wprowadzeni do specjalnych gabinetów, uzyskując w zamian za swoje inwestycje ogromne sumy.

eprasa.pl f7e0bb845d

Najbardziej skrajny mit QAnonu dotyczy jednak wątku rzekomo powszechnej i satanistycznej pedofilii liderów Partii Demokratycznej, pragnącej wspomnianego adrenochromu. Na tej podstawie rodzi się prawdziwa nienawiść do wytypowanych przez internautów postaci, które atakuje się mailami, szykanami, a w końcu nawet bezpośrednimi napadami z bronią.

Inna wizja QAnonu jest znana także w Polsce i dotyczy „plandemii", czyli zaprojektowanego eksperymentu niby nieprawdziwego wirusa COVID-19, który miał być pretekstem do trucia ludzi na całym świecie za pośrednictwem szczepionek. Tak jak w Polsce zbawiennym środkiem na koronawirusa miała być amantadyna, tak w USA namawiano do płukania jamy ustnej roztworem niektórych środków chemicznych do sprzątania.

Jak wiemy, wokół pandemii faktycznie dochodziło do nadużyć i przekrętów, ale właśnie nad tym, że teorie spiskowe QAnonu opierają się na elementach prawdy rozrośniętej do rangi totalnych fantazji, pochylimy się w dalszej części tekstu.

Świat QAnonu przyjął i wchłonął wiele wcześniejszych teorii spiskowych, z których najmocniejszą i najpopularniejszą była tzw. pizzagate. Pizzeria Comet Ping Pong w Waszyngtonie była jedną z tysięcy tego typu restauracji, ale na podstawie wymysłów garstki internautów obserwujących przez publiczne kamerki budyneczek lokalu i przez własne „śledztwa" i analizy, stała się ośrodkiem zła. W jej podziemiach miało dochodzić do przetrzymywania dzieci, zamawianych przez pedofilów specjalnymi kodami. Na przykład pizza z serem oznaczała nieletnią dziewczynkę. Akcja skończyła się tym, że samozwańczy wyzwoliciel z karabinem wpadł do lokalu i szukał kryjówki ofiar masowych gwałtów.

Mowa więc o nowej jakości teorii spiskowej, nie takiej, która obezwładnia i nakazuje pogodzić się z wszechwładzą sekretnych potęg, lecz takiej, która wzywa do działania. Właściwy moment ma nadejść i też jest dokładnie w QAnonie opisany.

▶ Nadchodzi Burza

Ten cały krąg złowieszczej Kliki i jej zbrodni należy zniszczyć, do czego powołany został Donald Trump, przygotowujący coś na wzór zamachu stanu opartego na wierne i moralnie czystym wojsku. Wyczekiwany moment Trumpowego uderzenia nazywany jest Burzą i dokona się nie tylko z udziałem prezydenta i armii, lecz także ochotników z QAnonu. Gdy więc gospodarz Białego Domu w jakimś swoim tweecie czy medialnej wypowiedzi używał słowa „burza", tysiące użytkowników „Dzikiego Zachodu internetu" wymieniało się entuzjastycznymi komentarzami, utwierdzającymi się w przekonaniu, że Trump się z nimi komunikuje ich wewnętrznym kodem i tajnym językiem.

Podczas Burzy ma dojść nie tylko do rozwiązania siłowego, lecz także do powołania specjalnych trybunałów, które otworzą ukryte archiwa, gdzie przechowuje się tysiące dawno opracowanych aktów oskarżenia wobec Kliki. Właśnie po Burzy spełnią się wszystkie marzenia wyznawców Q – od ukarania zbrodniarzy, przez wyzwolenie finansowe, po udostępnienie sekretnych leków na raka i inne choroby. O Burzy mówi się czasem jako o Wielkim Przebudzeniu. Mitem założycielskim tej koncepcji było swobodne zebranie Donalda Trumpa ze swoimi generałami w Białym Domu, gdy na oczach dziennikarzy dumny prezydent lakonicznie wspomniał, że jego narada z wojskiem może być „ciszą przed burzą". Nie wiadomo dokładnie, co lider miał na myśli, ale członkowie QAnonu żyją właśnie rozstrzyganiem tego typu znaków i interpretowaniem ich jako potwierdzenia zasadności istnienia ruchu.

Na Burzę czeka się jak na nadejście Zbawienia, po którym świat całościowo będzie lepszy, nic więc dziwnego, że w ruchu jest wielu ludzi, którzy mają swoje kłopoty – zdrowotne, finansowe czy prawne – są przywiązani do QAnonu jak do wielkiej nadziei, którą bardzo trudno jest porzucić.

6 stycznia 2021 roku najlepsi ludzie tego ruchu byli przekonani, że Burza właśnie się zaczyna. Tego dnia Mike Pence, wiceprezydent USA, miał przekazać władzę zwycięzcy tamtych wyborów – Joe'emu Bidenowi. Radykalna prawica w USA była pewna, że wybory zostały sfałszowane przez Klikę, by zatrzymać Trumpa, i oto żołnierze tajemniczego Q nie muszą dłużej czekać, bo ostateczna bitwa dobra ze złem się właśnie zaczyna. Jako że już wcześniej internautom „Dzikiego Zachodu internetu" zdawało się, że prezydent USA komunikuje się z nimi własną symboliką, tak też jego przemówienie do tłumów w Waszyngtonie odczytali jako wezwanie do ataku – i ruszyli na Kapitol.

Poza Ameryką także w Polsce, oprócz scen walk w gabinetach tamtego gmachu, utrwalił się obraz „człowieka bizona", półnagiego mężczyzny z rogami zwierzęcia na głowie i indiańskim makijażem. W istocie jest to Jacob Chansley, członek QAnonu, który uznaje się za szamana tego ruchu, wcielenie pierwotnych amerykańskich ideałów i jedności z naturą. Jego wyrazistość dobitnie pokazuje różnorodność i niespójność ruchu, który w dużej mierze posługuje się raczej chrześcijańską retoryką, w której trzeba zwalczać krzywdzące ludzi zło. To właśnie jego, jako komunikat o istnieniu tej subkultury, wzięto za symbol ruchu i nawet w Polsce stał się on wyrazistym przykładem i komunikatem o istnieniu QAnonu.

W każdym razie podczas zamieszek na Kapitolu zginęło pięć osób, w tym jeden policjant, a odtworzo-

eprasa.pl f7e0bb845d

na potem internetowa aktywność „poległych" patriotów pokazała, że wierzyli oni w nadejście Burzy.

Choć tamten dzień był wielką porażką ruchu, a upragnione „wielkie przebudzenie" nie nadeszło, sama subkultura nie zniknęła i nadal czeka na swój moment. Zwłaszcza że Donald Trump wrócił do Białego Domu i faktycznie zwalcza establishment, lewackie instytucje i biurokratyczne patologie, próbując „uczynić Amerykę znowu wielką".

Kim jest Q?

Choć w internecie dane nie giną i praktycznie każdego da się wytropić, z dziwnych powodów w przypadku Q to się nie udało. Choć dziennikarze śledczy i sami internauci szukali, skąd nadaje guru tego ruchu, choć było to przedmiotem dyskusji nawet wśród czołowych polityków, wszyscy wobec tej zagadki wydają się bezradni. I już to jest dziwne. Da się zlokalizować hakerów z Korei Północnej, trolli z fabryki Kremla, a członek podrzędnych forów internetowych jest zagadką nie do złamania?

Teorie dotyczące Q bywają tak fantastyczne jak tezy, które wygłasza. Jedni twierdzą, że to projekt CIA, inni że stoją za nim Rosjanie próbujący zdestabilizować społeczeństwo, niektórzy republikanie uważają, że to demokraci chcą skompromitować prawicę, ci zaś odgryzają się twierdzeniem, że QAnon mobilizuje radykałów i wspomaga otoczenie Trumpa. Sam Q próbuje uchodzić za człowieka z tajnych służb, z bliskiego otoczenia prezydenta. Wskazuje na to jego pseudonim, pewnego razu rozwinięty przez niego jako „Q Clearance Patriot" – co w żargonie tajniaków oznacza certyfikat bezpieczeństwa i dostęp do sekretnych danych. Innym razem opublikował takie zdjęcie z samolotu, które wskazywałoby, że zostało ono zrobione z pokładu Air Force One, choć oczywiście dziś nie jest trudno spreparować najróżniejsze grafiki, fotografie i animacje.

Są i tacy, którzy twierdzą, że Q to nie jedna postać, lecz jest to kilku czy kilkunastu blogerów, którzy koordynują swoje wpisy i działania.

Jego publikacje są charakterystyczne, enigmatyczne, krótkie. W czasie pierwszej kadencji Trumpa napisał blisko 5 tys. notek, które w uniwersum QAnonu nazywane są „wrzutkami". Oto niektóre z nich (pisownia oryginalna):

„Partia [D] przestanie istnieć, gdy wszystko zostanie ujawnione.

FAKE NEWSY nie mogą dłużej kontrolować [tłumić] publicznej świadomości PRAWDY.

Z CIEMNOŚCI W JASNOŚĆ.

Q"

Powyższy wpis nie wymaga szczególnych interpretacji – chodzi o Partię Demokratyczną, która jest tak skompromitowana, że po Burzy po prostu zniknie. Dalej jest o zakłamanych mediach i jeden z tamtejszych sloganów ukazujący politykę jako walkę dobra ze złem.

Inne „wrzutki" są jeszcze bardziej enigmatyczne:

„Ameryka Znowu Się Zjednoczy.

Przyszłość dowodzi przeszłości.

Q."

Inne treści mają charakter informacji i porad dla konkretnego czasu:

„BIG PHARMA [UTAJONE]

WODA

POWIETRZE

CHEMIKALIA W DOMOWYCH ŚRODKACH CZYSTOŚCI

[NOWOTWÓR]]NIEMOWLE NA PODŁODZE, RĄCZKI W BUZI – POCZĄTEK].

SZCZEPIONKI [NIE WSZYSTKIE]".

Tu mamy do czynienia z ostrzeżeniem przed szczepionkami na COVID-19 oraz o spisku Big Pharmy. Są też „wrzutki" wzywające do konkretnego działania:

„MEMY/POSTY.

Zorganizowane i skoordynowane?

POTUS może reTWEETOWAĆ jeden lub więcej.

GOTOWI NA WYSTRZAŁ?

POKAŻCIE całemu światu".

Nieprzypadkowo użytkownicy QAnonowych forów nazywają siebie „cyfrowymi żołnierzami", a niektórzy nawet składają przysięgę. Tutaj mamy instrukcję skierowaną właśnie do nich – by w internecie tworzyć memy i posty, które pomogą rozpowszechnić ideologię Q, a czasem Donald Trump sam poda to dalej. Tak się zresztą nieraz zdarzało, ale prezydent retwittował jakieś ogólne memy, które atakowały jego przeciwników politycznych, co nie czyni z niego inspiratora tej ideologii. Nadal więc nie wiemy, kto i po co to robi, choć w tej subkulturze rozwinął się handel rekwizytami QAnonu (bransoletkami, balonami, nalepkami, książkami, podcastami), tak że niejeden internauta zarobił na sprzedaży setki tysięcy dolarów (!). Ale i oni raczej wskoczyli na falę wznoszącą ruchu, niż ją kreowali. Tajemnica goni tajemnicę, choć liberalni dziennikarze rozważali dwie konkretne postacie, które mogą kryć się za wpisami Q.

Jedną z nich jest Jim Watkins, przedsiębiorca będący kiedyś mechanikiem śmigłowców, internauta zarabiający kiedyś na japońskiej pornografii. Dziennikarze wypatrzyli, że Q milczy wtedy, gdy milczy Watkins, a kiedy Watkins rezygnuje z jakiegoś forum internetowego, to za nim przenosi się też Q. Nie jest to żaden dowód, ale jak na osiem lat działalności ruchu i zbieżności aktywności obu internautów jest to argument wagi ciężkiej.

eprasa.pl f7e0bb845d

Drugi przypadek jest jeszcze bardziej tajemniczy. Innym celebrytą QAnonu jest bowiem Coleman Rogers, który założył kontro streamingowe na YouTube, by tam całodobowo nadawać jakieś treści związane z kolejnymi teoriami spiskowymi. Był to strumień świadomości różnych użytkowników, czasem prowadzony przez samego Rogersa. Pewnego dnia założyciel tej platformy nie zauważył, że widzowie mają podgląd na jego ekran komputera, i zalogował się na forum internetowe jako Q, pisząc tam wiadomość. Chwilę potem zakrył ten incydent i zbył zapytanie ciekawskiego internauty. Czy była to autodemaskacja? Pozór? A może udawanie Q? Nie sposób odgadnąć.

Oprócz powyższych podejrzeń, ciekawą hipotezę wysunął Mike Rothschild, autor książki „Q. Teoria spiskowa, która zmieniła świat". Jako że fora, na których zaistniał guru tego ruchu, były oblegane przez graczy komputerowych, którzy wymieniali się poradami, jak lepiej grać, być może ktoś postanowił zorganizować grę na wyższym poziomie – grę w QAnon, w walkę z Kliką, grę w Burzę.

Propozycja Rothschilda, choć wspomniana enigmatycznie, wydaje się ciekawa. Możemy sobie wyobrazić nie fanatyka gier komputerowych, a arcymistrza takich gier, który znudzony zwykłymi cyfrowymi zabawami, postanowił wejść na wyższy poziom i zagrać już nie animowanym strzelcem czy twórcą cywilizacji Azteków, lecz liderem prawdziwego ruchu społecznego. Być może chciał najpierw pobawić się tylko garstką czytelników, ale później „gra" przeszła najśmielsze oczekiwania? Może to nawet kilku arcygraczy bawi się tłumem, zaliczając udane akcje (przekonanie do jakiejś teorii spiskowej) czy makabryczne incydenty (jak atak na Kapitol).

Nikt z głośniejszych komentatorów nie wspomniał o jeszcze jednej koncepcji na temat genezy i tożsamości Q. Może to sztuczna inteligencja ucząca się zachowań radykałów kolejnymi tekstami. Dziś już niemal każdy może za pomocą AI wykreować sobie w rozmowie takiego guru, ale w 2017 roku tylko najlepsi programiści umieliby stworzyć taką postać albo utracić wpływ na jakiegoś cyfrowego robota.

Wciąż wiemy za mało – już łatwiej jest odpowiedzieć na pytanie, dlaczego popularność QAnonu tak błyskotliwie rozwinęła się w USA.

Miasto na wzgórzu

Mentalność Amerykanów oparta jest na szeregu wartości, z których w Polsce najbardziej znana jest wolność. Ona też znajduje swój wyraz w QAnonie, bo o tę wolność trzeba walczyć z oligarchami Kliki. Ale w świecie anglosaskim, opanowanym przez etykę protestancką, istnieje głębokie przekonanie, że chrześcijanie mają obowiązek uczynić ze swoich krajów siedzibę dobrobytu i szczęścia, tzn. nie tylko czekać na Zbawienie w wersji nowotestamentowej, lecz raczej zbudować „miasto na wzgórzu", coś na duchowy kształt starotestamentowej Jerozolimy. Burza brzmi nieco jak wyjście z egipskiej niewoli, a świat po niej przypomina dotarcie do Ziemi Obiecanej. Nic dziwnego, że w QAnonie odnajdują się często całe parafie protestanckie z mniejszych miejscowości, bo leki na nieuleczalne choroby, anulowanie kredytów i kryształowo czysta klasa polityczna to przecież marzenie marzenie i protestantów, i wyznawców Q.

Do tego dochodzą dwa nowatorskie czynniki. Teorie spiskowe funkcjonują od lat i zawsze na bazie kilku ziaren prawdy obrastają w mity – tak było i tym razem, gdy podejrzenia o powszechną pedofilię elit znalazły swoje potwierdzenie w postaci Jeffreya Epsteina i jego wyspy, na której krzywdził nieletnich. Ale QAnon nie jest jedną teorią spiskową, lecz wchłania je wszystkie, jest metateorią, całym uniwersum, namiotem dla wszystkich złowrogich wyobrażeń. No i jeszcze coś – narodził się w dobie eksplozji popularności rywalizujących ze sobą mediów społecznościowych, które pomogły w syntezie i scementowaniu wszystkich powyższych czynników. Taka diagnoza potwierdza się w rozwoju QAnonu w innych krajach – z powodzeniem w Wielkiej Brytanii, Kanadzie czy Australii, w mniejszym stopniu w (protestanckich) Niemczech czy na (protestanckich) Węgrzech, a słabiej we Włoszech czy we Francji, a prawie wcale w Polsce. ■

Wielu fanów Q wierzy w system NESARA – sekretną ustawę podatkową, która miała zostać przyjęta około 20 lat temu przez Kongres, ale którą Klika zamknęła w archiwach, by ludzkość nadal cierpiała w kredytach, bezrobociu i wysokich podatkach.

eprasa.pl f7e0bb845d

FOT. STRINGER/PAP/EPA

eprasa.pl f7e0bb845d

OSIEM LAT W SĄSIEDZTWIE FRONTU – MARIUPOL W 2021 ROKU

Tomasz Gromadka

Noc z 11 na 12 kwietnia 2014 roku była w Donbasie bardzo zimna. Temperatura miejscami wynosiła zaledwie 0 stopni. Wtedy właśnie granicę rosyjsko-ukraińską przekroczył ponad 50-osobowy oddział specnazu pod wodzą Igora Girkina ps. „Striełkow", pułkownika FSB. Pod osłoną nocy czekista i jego ludzie dotarli do Słowiańska, ponadstutysięcznego miasta na północy Donbasu, i – rozbroiwszy milicjantów – przejęli nad nim kontrolę.

Lato 2021 roku było w Mariupolu upalne – w dzień temperatura sięgała 40 stopni Celsjusza. W sobotę, gdy w całym mieście zabrakło prądu, ludzie spędzali czas na plaży. Rozciągał się z niej niezbyt romantyczny widok na dymiące kominy Azowstalu. Plaża przylegała do rozległej laguny, w której woda była płytka i nieprzyjemnie ciepła, a do tego pełna zdychających meduz. Niektórzy opalali się, inni czytali książki, kilkanaście osób grało w siatkówkę. Gwarne rozmowy sprawiały, że nie dało się usłyszeć tego, co dzieje się zaledwie 5 km dalej. Nocą, gdy śpię przy otwartym oknie, słyszę nieustanne dudnienie wybuchów i huk strzałów z karabinów. Gdybym wyszedł z łóżka, mógłbym w ciągu godziny dojść do wsi Szyrokino, gdzie rozciąga się linia frontu. Po drugiej stronie z okopów dostrzegłbym czerwono-niebiesko-czarne flagi DRL (Donieckiej Republiki Ludowej), a obok nich flagi Rosji i Związku Sowieckiego.

O ile mieszkańcy Kijowa czy Odessy doświadczyli wojny w lutym 2022 roku, o tyle dla mieszkańców Mariupola rok 2022 był ósmym rokiem wojny. Niewielu o tym pamiętało, bo Mariupol leży na prawdziwych kresach Ukrainy – od Kijowa oddziela go 650 km, od Lwowa – 1050 km. To jednak właśnie tam w trudnej wojnie okopowej dbano, by Rosjanie nie dotarli do żadnego z tych miast.

Podróż pociągiem z Kijowa trwała 22 godziny. Dawniej linia kolejowa biegła przez Donieck, ale w 2014 roku Ukraina straciła nad nim kontrolę i odtąd pociągi go omijały, jeżdżąc po nowo wybudowanych, niezelektryfikowanych torach. Przed Mariupolem zatrzymywały się na pół godziny w Wołnowasze, w 2022 roku zrównanej z ziemią przez wojska rosyjskie.

W pociągu rozmawiałem z Ukrainką w średnim wieku, pochodzącą z Wołnowachy. Opowiedziała o tym, jak wiosną 2014 roku wracała do domu marszrutką z wyjazdu do Doniecka. Wojna dopiero się zaczynała, a transport na tamtych terenach wciąż działał sprawnie. Podróż przeżyła cudem, bo trasę jej marszrutki przecięły siły rosyjskie. Kierowca, widząc czołgi, zatrzymał się i chciał zawrócić, ale wtedy okazało się, że drogę odwrotu odcięło wojsko ukraińskie, które szykowało się do bitwy z przeciwnikiem. Obie armie rozpoczęły wzajemny ostrzał, co dla pasażerów marszrutki – w tym mojej rozmówczyni – oznaczało najstraszniejsze dwie godziny w życiu. Przeżyć bitwę – to dla mieszkańców reszty Ukrainy aż do 2022 roku wciąż było coś tak nieprawdopodobnego, tak jak dziś jest nieprawdopodobne dla Polaków. Tymczasem w Donbasie tekie wydarzenia stanowiły element życia zwykłych ludzi od wielu lat.

Ze świeczką w dłoni

W 2021 roku Mariupol liczył pół miliona mieszkańców. Był rozległym miastem o typowo sowieckiej, nieciekawej architekturze. Składał się w większości z wielkich, straszących brzydotą blokowisk, przy których polska wielka płyta to dzieło sztuki. W centrum miasta stał teatr, ten sam, który w 2022 roku miał stać się grobem dla 300 osób. Obok teatru znaleźć można było trochę przedwojennej zabudowy i dwie wieżyczki, jakby maleńkie siostry warszawskiego pałacu Stalina. Każdą wieńczyła pięcioramienna gwiazda w kolorze spłowiałej czerwieni. Od lat nikt tych gwiazd nie odmalował, choć też nikt ich nie zniszczył, jak się to stało z pomnikami Lenina i Marksa w 2014 roku. Po sennych ulicach miasta jeździły tramwaje, czasem z prędkością 5 czy 10 km/h.

Rozwój Mariupola związany był z bogatymi złożami Donbasu i z portem, przez który je transportowano. W czasie wojny opanowany przez separatystów Donbas popadł w ruinę, ale w Mariupolu wciąż działały wielkie huty Azowstalu, zapewniając pracę jego mieszkańcom. Inni parali się rybołówstwem. Odkąd wybuchła wojna w Donbasie, stało się to zajęciem niebezpiecznym.

– Ruskie do nas strzelają, gdy tylko podpłyniemy za blisko ich stanowisk – tłumaczył mi mieszkaniec Mariupola

– Po co to robią? – zapytałem.

– To terroryści. Chcą, żebyśmy nie mieli z czego żyć. Niektórzy się przestraszyli, przestali łowić ryby i teraz ledwo wystarcza im na chleb.

Zdarzały się również porwania na morzu przez siły rosyjskie. Uprowadzeni rybacy kończyli w katowniach FSB lub w łagrach. Mimo to na targach można było dostać nie tylko ryby, lecz także krewetki i raki, zbierane w Morzu Azowskim.

Mariupol nie napawał chęcią do życia, ale jego mieszkańcy starali się walczyć z jego szarością i – podobnie jak w każdym ukraińskim miasteczku – wszędzie, gdzie się dało, sadzili kwiaty. Jest to cecha odróżniająca ich od Rosjan. Ukraińskie domy od Kowla po front wschodni otaczają prawie zawsze małe kwietnie łąki, a często też ogródki warzywne, przynoszące wsparcie domowym budżetom w tym trudnym czasie.

W każdym domu zebrano imponujący zapas wody. W niewielkim mieszkaniu, które wynajęłam, butelki z wodą stoją w każdym kącie – łącznie jest jej tu około 250 litrów. Zapasy przydają się bardzo często, bo przerwy w dostawach prądu są codziennością. Gdy braknie prądu, przestają pracować pompy i w konsekwencji braknie też wody. W pobliskim sklepie spożywczym okna są zasłonięte przez regały z jedzeniem i gdy nie ma światła, wnętrze tonie w ciemnościach. Na ladzie stoi kilka niewielkich świeczników, które klienci mogą wziąć, by z ich pomocą poruszać się po sklepie. Nie działa kasa fiskalna, więc ekspedientka liczy należność na kalkulatorze oświetlonym przez świeczkę.

– Co się stanie z mięsem? – zadaję banalne pytanie, spoglądając na niedziałające lodówki

eprasa.pl f7e0bb845d

– Popsuje się – odpowiada sprzedawczyni.

Z Łubianki do Donbasu

Noc z 11 na 12 kwietnia 2014 roku była w Donbasie bardzo zimna. Temperatura miejscami wynosiła zaledwie 0 stopni. Wtedy właśnie granicę rosyjsko-ukraińską przekroczył ponad 50-osobowy oddział specnazu pod wodzą Igora Girkina ps. „Striełkow", pułkownika FSB. Pod osłoną nocy czekista i jego ludzie dotarli do Słowiańska, ponadstutysięcznego miasta na północy Donbasu, i – rozbroiwszy milicjantów – przejęli kontrolę nad miastem.

W ten sposób – jak głosili separatyści – zrzucono w Słowiańsku władzę nazistów z Kijowa i dano ludowi prawo do samostanowienia. Problem w tym, że dotychczasowa pani mer, wybrana nie przez Kijów, lecz przez lokalną ludność, została uwięziona, a władzę przejął bez jakiegokolwiek mandatu społecznego niejaki Wiaczesław Ponomariew, który ogłosił się „ludowym merem". W rzeczywistości stał za nim nie lud, lecz płk Igor Girkin i smutni panowie z Łubianki. Jeśli chodzi o poprzednią mer, Ponomariew cynicznie ogłosił, że nie uwięził jej, lecz jedynie otoczył opieką, aby nie stała się jej żadna krzywda.

W podobny sposób „opieką otoczono" wielu innych mieszkańców Słowiańska. Igor Girkin zorganizował w Słowiańsku sądy wojenne, opierające się na ustawodawstwie z czasów II wojny światowej. Wprawdzie zakończyła się ona 70 lat wcześniej, ale – jak argumentował Girkin – nazizm się odrodził, trzeba więc przywrócić i sądy tamtej epoki. Ekspresowy proces i do piachu. „Panikarze i tchórze powinni być wytępieni na miejscu" – rozkazywał Stalin w 1942 roku.

Pułkownik Girkin miał już bogate doświadczenie – walczył jako ochotnik w Naddniestrzu i w Bośni, a jako oficer FSB przez wiele lat robił krwawą robotę w Czeczenii. Jest to człowiek wykształcony – ukończył fakultet hisotryczno-archiwistyczny, przez lata działał też w ruchach rekonstrukcyjnych, stając się prawdziwym znawcą dawnych militariów. Poza tym pisał wiersze i bajki dla dzieci – istny czekista renesansu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa on właśnie jest autorem autobiograficznego opowiadania, którego akcja toczy się w czasie wojny czeczeńskiej na terenach, gdzie walki już na ogół ustały. Girkin wraz ze swymi ludźmi polował tam na czeczeńskich bojowników i przedstawicieli elit. Opowiadanie wykradli hakerzy ze skrzynki mailowej Girkina. Zawierało ono adnotację: „Publikować nie wolno, ponieważ ludzie, których złapaliśmy, z reguły po przesłuchaniu znikali bez śladu. Wypuszczaliśmy tylko postronnych, resztę – bez sądu".

W strukturach powstających Donieckiej i Ługańskiej Republiki Ludowej (DRL i ŁRL) rosyjscy czekiści zajęli kluczowe pozycje. Sam Girkin został ministrem obrony DRL, a urząd premiera DRL objął Aleksandr Borodaj, generał-major FSB. Tak samo reprezentowali oni lud Donbasu, jak Rokossowski czy Bierut wyrażali wolę Polaków.

Przechwałki czekisty

Girkin wspominał później z zadowoleniem wydarzenia z kwietnia 2014 roku: „To ja nacisnąłem spust wojny. Gdyby nasz oddział nie przekroczył granicy, wszystko skończyłoby się jak w Charkowie, jak w Odessie. Byłoby kilkadziesiąt zabitych, spalonych, aresztowanych. I to byłby koniec. A w praktyce koło zamachowe wojny, która trwa do dziś, zostało uruchomione właśnie przez nasz oddział. Pomieszaliśmy wszystkie karty na stole". Oczywiście z dystansem należy patrzeć na przechwałki Girkina, który – nie ma co do tego wątpliwości – nie działał na własną rękę, ale na polecenie Kremla, a jego ruchy były jedynie realizacją rozkazów. Kluczowe jest jednak przyznanie przez pułkownika FSB, że za wojnę w Donbasie odpowiada Rosja.

Rzeczywiście, tam, gdzie nie weszły zielone ludziki, separatyzm kończył się bardzo szybko. Nawet w Doniecku, późniejszej stolicy separatystów, przez pierwsze tygodnie po Majdanie znacznie więcej osób zbierały demonstracje proukraińskie. W Charkowie rebelianci zajęli budynek władz obwodowych i ogłosili powstanie Charkowskiej Republiki Ludowej. Kilkanaście godzin później odbył się szturm służb ukraińskich i bez żadnych strat w ludziach po obu stronach dzieje „republiki" się zakończyły.

Silne konflikty wewnętrzne, nawet zamieszki, w czasie których giną ludzie, są nieuniknionym elementem historii każdego państwa. Szczęśliwe są jednak te państwa, które nie graniczą z Rosją, bo mogą rozwiązywać swe problemy bez obawy, że udzieli ona którejś ze stron „braterskiej pomocy" lub zechce „wyzwolić" jakąś część kraju.

Na początku 2014 roku armia ukraińska po latach rządów Janukowycza była w stanie tak fatalnym, że 50-osobowy oddział rosyjskiego specnazu mógł okupować średniej wielkości miasto przez trzy tygodnie, a podobnej wielkości grupy przejmowały władzę nawet nad większymi miastami Donbasu. Położona niedaleko Doniecka Gorłówka (ukr. Horliwka), licząca blisko 250 tys. mieszkańców, wpadła w ręce niejakiego Igora Bezlera, pracownika GRU. Odpowiedzialny jest on za porwania dziennikarzy, a także polskiego księdza Wiktora Wąsowicza, którego więził 11 dni i ostatecznie uwolnił w drodze wymiany. O ile Słowiańsk udało się siłom ukraińskim w końcu odbić, a Girkin uciekł stamtąd do Doniecka, o tyle Gorłówka jest pod władzą okupantów do dziś.

eprasa.pl f7e0bb845d

Mariupol utracony

W Mariupolu już od lutego odbywały się wiece i demonstracje zarówno zwolenników Majdanu, jak i jego przeciwników. Na tych ostatnich dominowały flagi Rosji i Związku Sowieckiego. Pod koniec marca zwolennicy separatyzmu zablokowali drogi dojazdowe do miasta i wybrali „ludowego mera", niejakiego Dymitra Kuźmienkę. Mariupol leżał na krańcach Donbasu i Rosja poświęciła mu mniej uwagi. Wydaje się, że wśród separatystów nie było oficerów FSB, a ich szeregi były mniej zorganizowane, dzięki czemu SBU (Służba Bezpieczeństwa Ukrainy) szybko udało się aresztować „ludowego mera". Mimo to 3 kwietnia 2014 roku separatyści zdołali zająć budynek rady miasta, a potem ogłosić przyłączenie Mariupola do DRL. Nie oznaczało to jednak, że przejęli pełną kontrolę nad miastem. Przez kolejny miesiąc dochodziło do starć między nimi a aktywistami proukraińskimi i nielicznymi siłami armii. W końcu nastąpił przełom.

W Dzień Zwycięstwa, 9 maja 2014 roku, grupa w mundurach bez oznaczeń i w czarnych kominiarkach dokonała szturmu na komisariat milicji w Mariupolu przy ul. Gieorgiewskiej. Milicjanci nie zamierzali złożyć broni i sześciu z nich zginęło. Rebelianci posiadali broń snajperską, CKM-y i transportery opancerzone. Komisariat spłonął, a jego ruiny wraz ze śladami ostrzału przypominały o tamtych wydarzeniach przez kolejne lata. W lipcu 2021 roku pokazał mi je Aleksandr, lekarz mieszkający w Mariupolu. Skomentował widok spalonego komisariatu po rosyjsku, w języku, którym posługiwał się na co dzień: „Wot, eta russkij mir". Ukraińskie śledztwo wykazało, że w maju 2014 roku w Mariupolu przebywało około 80 rebeliantów, działających na zlecenie swych szefów z Doniecka, a ostatecznie – rosyjskich służb. Jak informował Wiaczesław Abroskij, szef Donieckiego Obwodowego Wydziału Spraw Wewnętrznych, ataku na komisariat dokonała grupa dowodzona przez Olega Niedawnego ps. „Mangusta", licząca do 15 ludzi. Według listy, przedstawionej przez Abroskiego, wszyscy pochodzili z Mariupola.

Tego dnia pod wrażeniem klęski siły ukraińskie wycofały się z miasta. Nie potrafiły walczyć, co wraz z licznymi dezercjami rujnowało ich morale. Jeszcze 9 maja rozpoczęła się farsa referendum, trwającego przez dwa dni. Działały zaledwie cztery lokale wyborcze, nie istniały listy uprawnionych do głosowania, a nad głosowaniem czuwali uzbrojeni bojownicy. Według oficjalnych wyników 89 proc. głosujących opowiedziało się za oddzieleniem od Ukrainy.

Maksym, z którym rozmawiałem w Mariupolu, nie poszedł na referendum, lecz nie dlatego, że chciał je zbojkotować, jak uczynili zwolennicy jedności z Ukrainą. – Dla mnie nie ma różnicy, kto rządzi – stwierdził – Ważne jest, aby było co jeść.

Jemu podobnych były w Donbasie miliony. Dominowała tam ludność zupełnie bierna politycznie, o bardzo niskim poczuciu odpowiedzialności za państwo, często wręcz nieutożsamiająca się z żadnym narodem i państwem.

Maksyma poznałem, gdy wrócił do Mariupola po odbyciu służby wojskowej, w czasie której walczył w Donbasie. Separatyści lub Rosjanie (trudno ich rozróżnić) postrzelili go dwa razy. Na dowód pokazał mi blizny po kulach na nodze. Mimo to uważał, że wojna – nawet obronna – nie ma najmniejszego sensu. – Co to za różnica, kto wygra? – powtarzał.

Klątwa Hołodomoru

Oksana Zabużko uważa, że u źródeł tej bierności i poczucia niemocy leży brzemię Hołodomoru. Hekatomba Ukraińców, wywołana przez Stalina, zaciążyła na psychice kolejnych pokoleń, wtłaczając im paraliżujący strach i niechęć do jakichkolwiek działań.

Wyobrażenie o skali i długofalowych skutkach Hołodomoru dają statystyki. Według spisu powszechnego z 2001 roku językiem ukraińskim posługiwało się w domu zaledwie 10 proc. mariupolan, rosyjskim natomiast – 90 proc. Gdy porówna się te dane z wynikami spisu powszechnego z 1897 roku, okaże się, że 100 lat temu stosunki językowe w mieście były zupełnie inne. Ukraińskiego (nazwanego w spisie małoruskim) używało 46 proc., natomiast drugim w kolejności był… grecki (19 proc.), używany przez potomków dawnych kolonistów. Dopiero trzecie miejsce przypadało rosyjskiemu (14 proc.), potem był niemiecki (8 proc.), krymskotatarski (6 proc.), jidysz (4 proc.) i turecki (2 proc.).

W wyniku głodu, wywołanego przez Stalina, zmarły około 4 mln Ukraińców (choć niektóre szacunki mówią nawet o 7 lub 8 mln). Po II wojnie światowej, w latach 1946–1947, zbrodnię powtórzono. W czasie tego drugiego, zapomnianego dziś, Hołodomoru zmarło kolejne kilkaset tysięcy Ukraińców. Na miejsce ofiar przesiedlano Rosjan, którzy stanowili na Ukrainie uprzywilejowaną grupę. Brzemię psychiczne Hołodomoru było tak wielkie, że na dekady zdławiło wszelką chęć oporu i doprowadziło do przyspieszonej rusyfikacji.

Stalin wykończył również mniejszości etniczne Mariupola. O ile Tatarzy stali się jego ofiarami w 1944 roku, gdy cały ten niewielki naród na rozkaz Stalina wywieziono w stepy, gdzie znaczna jego część zginęła, o tyle walkę z Grekami, przybyłymi tu z Krymu w XVIII wieku, strategicznie absurdalną z powodu ich niewielkiej liczby, przeprowadzono jeszcze przed II wojną światową. Najpierw gdy tylko doszedł do władzy, Stalin zakazał używania języka greckiego w przestrzeni publicznej, a potem – w la-

eprasa.pl f7e0bb845d

tach 1937–1938 – siły NKWD dokonały ludobójstwa w ramach tzw. operacji greckiej. Była ona analogiczna do prowadzonej równolegle tzw. operacji polskiej, wymierzonej w Polaków mieszkających na terenie ZSRS.

Ocaleli z tamtych ciemnych lat Tatarzy i mariupolscy Grecy z ulgą przyjęli odrodzenie niepodległej Ukrainy w 1991 roku. Tym drugim umożliwiła ona powrót z wygnania. Niewielka liczebność obu tych ludów sprawiła jednak, że to na Ukraińcach spoczął główny ciężar nieustającej walki z Rosją.

Zabużko uważa, że odrodzenie Ukrainy możliwe było dzięki katastrofie w Czarnobylu, która – ukazując niemoc i bezsilność czerwonych władców Kremla – przełamała klątwę Hołodomoru, paraliżującą naród. Bez wątpienia żadne zjawisko społeczne nie jest natychmiastowe i również przemiana duchowa Ukrainy odbywała się w różnych miejscach z różną prędkością.

Mariupol uratowany

Dla Mariupola odpowiednikiem Czarnobyla jako końca epoki strachu były wydarzenia z 13 czerwca 2014 roku, gdy siły ukraińskie wyrzuciły z miasta prorosyjskich rebeliantów. Aleksandr, lekarz z Mariupola, z którym rozmawiałem w 2021 roku, mimo upływu siedmiu lat, wspominając tamte dni, wciąż odczuwał szczerą satysfakcję. – Wszystko trwało kilka godzin – tłumaczył. – Gdyby ktoś był w pracy, mógłby nawet nie zauważyć, co się stało. Ruskie [tak nazywa separatystów – przyp. T.G.] gdy tylko zobaczyli nasze czołgi, spakowali się i uciekli.

Trzon ukraińskich sił, które wyzwoliły Mariupol, stanowił batalion „Azow", powołany do istnienia w maju 2014 roku, początkowo poza oficjalnymi strukturami sił zbrojnych. Wbrew rosyjskiej propagandzie, nie był to oddział lwowskich nacjonalistów, bo większość jego uczestników wywodziła się z Centralnej i Wschodniej Ukrainy, także z Donbasu. Składał się wyłącznie z ochotników, a znaczną część sprzętu wojskowego kupił za pieniądze z darowizn i zbiórek. Pierwszym zadaniem batalionu było odbicie Mariupola i w tym celu szkolił się on w maju 2014 roku na poligonach pod Bierdiańskiem, gdzie zbudowano makiety Mariupola.

Separatyści spodziewali się ataku i usiłowali przekształcić centrum miasta w twierdzę. Za swoją główną siedzibę obrali Bank Grecki, budynek o ścianach metrowej grubości, a na okolicznych ulicach zbudowali barykady i zainstalowali miny-pułapki, ukryte w studzienkach czy pod kostką brukową. W ostatniej chwili zmienili jednak zdanie i uciekli. Jak pisał Anton Heraszczenko, były ukraiński wiceminister spraw wewnętrznych (2019–2021), „przywódca mariupolskich terrorystów, ps. »Czeczen«, otrzymał informację o planowanym ataku i wraz z kilkoma członkami swojego gangu opuścił Mariupol w ciągu jednego dnia, nie uprzedzając pozostałych wspólników". Pozostali doczekali nadejścia Ukraińców, ale nie podjęli żadnej zorganizowanej obrony. W krótkich strzelaninach rannych zostało zaledwie czterech żołnierzy „Azowa" i Gwardii Narodowej, w tym jeden ciężko. Nie ucierpiał żaden cywil.

– Gdybyśmy mieli takie czołgi i tyle odwagi dwa miesiące wcześniej – podsumował mój rozmówca, Aleksandr – niczego byśmy nie utracili, ani Doniecka, ani Ługańska, ani Krymu.

Podbój Krymu był jednym z wydarzeń, które – niczym dawniej Hołodomor – paraliżowały Ukraińców. Półwysep utracono bez walki. Doszło do zdrady dowództwa armii na Krymie i gdy pewnego ranka żołnierze ukraińscy zbudzili się w swych koszarach, ujrzeli rosyjskie flagi zawieszone na masztach. Odbicie Mariupola, a także kilku mniejszych miast, w tym Słowiańska, było lekarstwem dla morale ukraińskiej armii. W późniejszym czasie podobny skutek odniosła udana obrona Kijowa, a potem odbicie Charkowszczyzny i Chersonia oraz operacja kurska.

Epilog

Oswobodzenie Mariupola nie zakończyło walk – powróciły one pod koniec lata 2014 roku, gdy granicę rosyjsko-ukraińską przekroczyły rosyjskie kolumny pancerne i 25 sierpnia opanowały miasteczko Nowoazowsk, położone nad Morzem Azowskim, na wschód od Mariupola, przy drodze do Taganrogu. Tym razem siły ukraińskie zdążyły już nieco okrzepnąć, przede wszystkim istniał już batalion „Azow", postępy Rosjan były więc powolne. W ciągu kolejnych dwóch tygodni front przesunął się na zachód, docierając do wsi Szyrokino, położonej zaledwie 5 km od Mariupola. Do miasta jednak nie dotarł, choć zdarzało się, że spadały nań wrogie rakiety. Front ustabilizował się na kilka lat, co było możliwe dzięki temu, że całymi latami, dzień i noc, ukraińscy żołnierze stawiali tam zaciekły opór.

W 2022 roku Rosjanie znowu zaatakowali. Bohaterskie miasto broniło się 85 dni. Przez ten czas wróg obrócił je w gruzy – 90 proc. budynków zostało całkowicie zniszczonych, nie pozostał kamień na kamieniu. W piekle oblężenia życie straciło od 30 tys. do 100 tys. ludzi, a na ocalałych czekała egzystencja w ruinach bez wody, prądu i jedzenia, za to z możliwością pojechania do łagru lub przymusowego przesiedlenia na Syberię.

Dziś sytuacja jest podobna, jak przed 2022 rokiem. Front się ustabilizował i żadna ze stron nie ma siły, by go przełamać. Nie oznacza to, że Moskwa straciła swój apetyt. Rosjanie marzą, by obrócić w gruzy znienawidzone miasta Ukrainy, tak jak zrobili to z Mariupolem. „A później – jak powiedział Lech Kaczyński – [przyjdzie] może i czas na mój kraj, na Polskę". ■

eprasa.pl f7e0bb845d

opracował Antoni Rybczyński

Wojny dronów

Rosyjska operacja dronowa przeciwko Polsce (NATO) sprawiła, że bezzałogowe maszyny latające (UAV) i metody walki z nimi stały się tematem numer jeden w dyskusji na temat naszego bezpieczeństwa. Tymczasem świat żyje tym od dawna. Wojna Rosji z Ukrainą zrewolucjonizowała obszar użycia bezzałogowców do celów wojskowych. Czerpią z tego wzory niemal wszyscy – od podmiotów państwowych po terrorystów i rebeliantów różnej maści. Dron stał się ważnym narzędziem walki wszędzie, od Ukrainy przez Sahel po Birmę.

Zbieranie informacji wywiadowczych i operacje uderzeniowe, a także wsparcie celów dla innych systemów wojskowych – to kluczowe funkcje dronów. Pełnią one jednak również różnorodne funkcje, takie jak służąc jako przynęty (w celu wprowadzenia w błąd lub wyczerpania obrony powietrznej wroga), działając jako przekaźniki sygnałów, transportując sprzęt i układając miny. Zarówno Ukraina, jak i Rosja budują te systemy samodzielnie, nabywają je od sojuszników lub wykorzystują zmodyfikowane drony cywilne (Ulrike Franke, „Drony na Ukrainie: cztery wnioski dla Zachodu", Europejska Rada Stosunków Zagranicznych, ECFR), 10 stycznia 2025). W czerwcu 2024 roku Ukraina zaskoczyła siły rosyjskie niespodziewaną operacją „Pajęczyna", bezprecedensowym, skoordynowanym atakiem dronów w głębi terytorium Rosji. Niedawno, w ramach operacji „Rising Lion", Izrael wykorzystał drony do zniszczenia irańskich systemów obrony powietrznej w ramach wysoce skoordynowanego ataku otwarcia. Operacje te zakończyły się sukcesem taktycznym, a jednocześnie były niezwykle proste i niedrogie. Pokazują one znaczącą rolę, jaką drony odgrywają obecnie na polu walki. Jednak ta sama niedroga i łatwa w montażu technologia dronów może zostać wykorzystana przez ekstremistów (James Paterson, „Zaawansowane technologicznie drony zmieniają oblicze wojny – terroryści mogą wkrótce pójść w ich ślady", The Conversation, 12 sierpnia 2025).

Rosja vs Ukraina: wojna dronów

Tymczasem wykorzystanie dronów przez podmioty niepaństwowe nie jest niczym nowym. W 2020 roku bojownicy Huti przeprowadzili połączony atak rakietowy i dronowy na jemeński obóz szkoleniowy, w wyniku czego zginęło 79 osób, a 150 zostało rannych. W styczniu 2024 roku atak dronów przeprowadzony przez Kataib Hezbollah spowodował śmierć żołnierzy amerykańskich w placówce wojskowej w Jordanii. Były to pierwsze ofiary śmiertelne wśród Amerykanów spowodowane przez drony wroga. Jednak to ewolucja wykorzystania dronów w konflikcie na Ukrainie ujawnia potencjał zwiększenia zagrożenia. W ciągu ostatnich dwóch lat poprawa dostępności, przystępności cenowej, zasięgu i prędkości przekształciła komercyjne drony w precyzyjne platformy uderzeniowe, zdolne do powodowania masowych ofiar przy niskich kosztach. Drony są uznawane za przyczynę aż 70 proc. ofiar na froncie po obu stronach wojny na Ukrainie (James Paterson, „Zaawansowane technologicznie drony zmieniają oblicze wojny – terroryści mogą wkrótce pójść w ich ślady", The Conversation, 12 sierpnia 2025).

Wiele dronów nie jest szczególnie szybkich ani zaawansowanych technologicznie, ale są one na tyle tanie, że Kreml może wystrzelić ponad 700 w ciągu jednej nocy, próbując przytłoczyć ukraińską obronę powietrzną i zniszczyć morale ludności cywilnej, twierdzą eksperci. Po uzyskaniu irańskich

eprasa.pl f7e0bb845d

projektów dronów bojowych Shahed Rosja zbudowała własną ogromną fabrykę, aby produkować tysiące sztuk tej broni każdego miesiąca. Jej ewoluująca taktyka zmusza Ukrainę do walki przy użyciu droższej amunicji i innowacji, ponieważ tańsze metody obrony stają się mniej skuteczne. Gwałtowny wzrost liczby ataków dronów pokazuje, jak ewoluowała wojna, opierając się na tych bezzałogowych, autonomicznych pojazdach (Rachel Wilson, Lauren Kent, „Jak rosyjskie ataki dronów zmieniły przebieg wojny na Ukrainie", CNN, 2 września 2025). Sojusznicy Rosji, zwłaszcza Chińska Republika Ludowa, umożliwili Rosji opracowanie i zwiększenie produkcji bezzałogowych statków powietrznych, które są bardziej odporne na zakłócenia EW (walka elektroniczna) i mogą działać na większych odległościach, z większą prędkością i w trudnych warunkach. ChRL aktywnie wspiera adaptację i produkcję dronów w Rosji, dostarczając komponenty do dronów i zapewniając możliwości produkcyjne. Rzecznik ukraińskiej służby wywiadu zagranicznego Ołeh Aleksandrow oświadczył w czerwcu 2025 roku, że chińscy producenci dostarczają Rosji sprzęt, elektronikę, systemy nawigacyjne, optyczne i telemetryczne, silniki, mikroukłady, moduły procesorów, systemy antenowe, płyty sterujące i systemy nawigacyjne. Aleksandrow poinformował, że ChRL wykorzystuje firmy-przykrywki, aby uniknąć sankcji i dostarczać komponenty do dronów rosyjskim producentom, a Rosja jest w znacznym stopniu uzależniona od dostaw chińskich części zarówno do taktycznych, jak i dalekosiężnych bezzałogowych statków powietrznych. Rosyjscy producenci wyprodukowali w 2025 roku do 2 mln małych taktycznych bezzałogowych statków powietrznych przy wsparciu chińskim (Instytut Badań nad Wojną, „Rosyjskie innowacje w zakresie dronów prawdopodobnie przynoszą efekty w postaci blokady powietrznej pola walki na Ukrainie", 7 sierpnia 2025).

Produkcja dronów bojowych w Rosji jest znacznie tańsza niż na początku wojny, kiedy Moskwa kupowała je od Teheranu. Szacunki kosztów są jednak bardzo zróżnicowane – Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS), think tank z siedzibą w Waszyngtonie, ustaliło, że szacunki dotyczące dronów Shahed-136 wahają się od 20 tys. do 50 tys. dolarów za sztukę. Dla porównania, pojedynczy pocisk przechwytujący ziemia-powietrze może kosztować ponad 3 mln dolarów. Ten stosunkowo niski koszt umożliwia Kremlowi nasilenie nocnych ataków dronów, a także przeprowadzanie częstszych ataków na dużą skalę. Na początku wojny duże salwy rakietowe i dronowe miały miejsce mniej więcej raz w miesiącu. Według analizy CSIS, do połowy 2025 roku miały one miejsce średnio co osiem dni. Od kwietnia odsetek dronów, które trafiają w swoje cele, wzrósł mniej więcej dwukrotnie, osiągając poziom blisko 20 proc., w porównaniu z 2024 rokiem, kiedy to średnio mniej niż 10 proc. dronów trafiało w cele – powiedział Yasir Atalan, analityk danych w CSIS. Eksperci CSIS napisali w swojej analizie: „Nie ma znaczenia, czy pojedynczy dron Shahed trafia w swój cel. Liczy się łączny efekt, jaki ta broń terroru wywiera na ludność cywilną, oraz presja, jaką wywiera na obronę powietrzną". Taktyka Rosji polega na „utrzymywaniu stałej presji" – powiedział Atalan w rozmowie z CNN. „Ich strategia koncentruje się obecnie coraz bardziej na tego rodzaju wyniszczaniu" (R. Wilson, L. Kent, „Jak rosyjskie ataki dronów zmieniły przebieg wojny na Ukrainie", CNN, 2 września 2025).

Ukraina również kontratakuje za pomocą dronów FPV na linii frontu i atakuje infrastrukturę oraz obiekty zbrojeniowe w Rosji za pomocą dronów dalekiego zasięgu. „W przypadku każdego rozwoju technologicznego obie strony już szukają środków zaradczych. Cykl innowacji jest tak szybki, że w ciągu dwóch do trzech tygodni widzimy już przeciwdziałanie przełomowi technologicznemu" – powiedziała Kateryna Stepanenko, analityk ds. Rosji w Instytucie Badań nad Wojną, think tanku z siedzibą w Waszyngtonie. „Tak więc niektóre z podejść, które mogą być skuteczne obecnie, mogą nie być tak skuteczne w nadchodzących miesiącach" – powiedziała Stepanenko. Obecnie zarówno Ukraina, jak i Rosja pracują nad opracowaniem dronów opartych na sztucznej inteligencji, które mogą samodzielnie podejmować decyzje na polu bitwy, a także nad stworzeniem dronów przechwytujących, które mogłyby być wykorzystywane jako tańsza metoda przeciwdziałania atakom powietrznym niż wystrzeliwanie rakiet, według ISW. „Istnieje wiele doniesień o testowaniu niektórych z tych dronów przez Ukraińców, ale nie widzieliśmy ich zastosowania na dużą skalę" – powiedziała Stepanenko. „Opracowanie dronów przechwytujących uwolniłoby potencjał Ukrainy, a także pomogłoby siłom ukraińskim zachować część (ich) pocisków obrony powietrznej do ataków rakietowych" (R. Wilson, L. Kent, „Jak rosyjskie ataki dronów zmieniły przebieg wojny na Ukrainie", CNN, 2 września 2025).

▶ Rewolucja w użyciu dronów

Drony stały się główną bronią w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, a liczba bezzałogowych systemów – głównie powietrznych, ale nie tylko – osiągnęła

eprasa.pl f7e0bb845d

zaskakujący poziom. Na początku 2024 roku Ukraina zamierzała wyprodukować milion dronów w ciągu roku. W marcu cel ten został zmieniony na 2 mln, a w październiku prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski ogłosił, że kraj jest obecnie w stanie produkować do 4 mln dronów rocznie. Według doniesień Rosja dorównuje temu tempu produkcji. Szacuje się, że na Ukrainie używa się około 100 różnych typów dronów, od systemów wielkości zabawek po większe modele o rozpiętości skrzydeł wynoszącej prawie 20 metrów (U. Franke, „Drony na Ukrainie: cztery wnioski dla Zachodu", ECFR, 10 stycznia 2025). Shahedy są produkowane w tempie, w jakim nie produkuje się środków przeciwlotniczych – mówi w wywiadzie dla Donbas Realities redaktor naczelny magazynu zbrojeniowego „Defence Express" Oleg Katkow. I właśnie w tym tkwi sedno problemu. Potrzeba wielu środków przeciwlotniczych (bardzo przybliżona ocena analityków – 300 dziennie, aby móc zużyć po dwa na drona). Jednocześnie muszą one być tańsze od celu i stosunkowo łatwe w produkcji. Stąd zrodziła się decyzja o dronach przechwytujących, czyli dronach przeciwlotniczych. Samo pojawienie się dronów przeciwlotniczych było czystym know-how Ukrainy. W 2023 roku Siły Obronne zaczęły stosować FPV do zestrzelenia rosyjskich dronów typu samolotowego. Rosjanie, opierając się na danych obiektywnej kontroli, byli w stanie powtórzyć to dopiero po czterech miesiącach. Jednak od tego czasu, co jest typowe dla wszystkich środków technicznych tej wojny, szybko zaczęli kopiować i rozwijać tę metodę („Jak powstrzymać shahedy? Siły zbrojne Ukrainy próbują nowych metod walki z dronami", Radio Swoboda, 17 lipca 2025).

1 czerwca w mediach społecznościowych pojawiły się filmy przedstawiające quadcoptery z bombami startujące z ciężarówek, podczas gdy w pobliżu wybuchały pożary. Filmy te pojawiły się po tym, jak ukraińskie służby bezpieczeństwa przeprowadziły w ciągu dnia ataki na bazy lotnicze w całej Rosji, niszcząc wiele samolotów dalekiego zasięgu należących do Kremla. Filmy te są obecnie bez wątpienia analizowane w wojskowych centrach planowania. „Ten atak powinien być sygnałem alarmowym dla sił zbrojnych na całym świecie" – powiedziała RFE/RL Stacie Pettyjohn, dyrektor programu obronnego w Centrum Nowego Bezpieczeństwa Amerykańskiego. „Pod wieloma względami [atak z 1 czerwca – przyp. A.R.] był skuteczniejszy niż ataki przeprowadzone przez ukraińskie drony dalekiego zasięgu, ponieważ małe drony mogą się rozpraszać, nawigować do różnych celów i precyzyjnie uderzać w wiele celów na terenie dużej bazy lotniczej" – powiedziała ekspert ds. dronów. „Kluczowym elementem tego ataku była tajna infiltracja i operacje prowadzone bardzo blisko baz lotniczych, które prawdopodobnie były raczej słabo chronione, ponieważ nie spodziewano się, że Ukraina będzie w stanie uderzyć tak głęboko [w głąb Rosji – przyp. A.R.]" – dodała (A. Chapple, „Jak ataki dronów Spiderweb na Ukrainie mogą zmienić współczesną wojnę", RFE/RL 2 czerwca 2025).

Obecnie głównymi eksporterami dronów wojskowych są Chiny i Turcja. Jednak drony można również budować w kraju przy stosunkowo niewielkich nakładach finansowych i wiedzy specjalistycznej. Tymczasem drony cywilne są swobodnie dostępne dla wszystkich w dużych ilościach. Systemy te można, w pewnych granicach, dostosować do operacji wojskowych. Oczywiście zmodyfikowany cywilny quadkopter nie ma wiele wspólnego z wielomilionowym bezzałogowym samolotem bojowym. Jednak oba mają zastosowanie wojskowe, a w niektórych przypadkach masowa produkcja i niski koszt mogą zrekompensować brak zaawansowanych możliwości. Siły zbrojne Zachodu muszą zatem przygotować się na przyszłe konflikty, w których drony będą wszechobecne i wykorzystywane do różnych zadań. Powinny one być w stanie obsługiwać takie systemy, a także bronić się przed nimi (U. Franke, „Drony na Ukrainie: cztery wnioski dla Zachodu", ECFR, 10 stycznia 2025).

▶ Globalna broń, wnioski dla Zachodu

W Birmie, gdzie w ciągu czterech lat walk od zamachu stanu w 2021 roku zginęło co najmniej 80 tys. osób, działania wojenne z powietrza miały kluczowe znaczenie dla konfliktu. Pomimo strat terytorialnych junta wojskowa zachowała przewagę w powietrzu, a wraz z nią kontrolę nad władzą. Jednak w ciągu ostatnich 12 miesięcy wojsko dokonało znaczącej zmiany w swojej strategii działań powietrznych: zwiększyło inwestycje w technologię dronów, którą ruch oporu od dawna wykorzystuje w konflikcie. Ponieważ obie strony w coraz większym stopniu polegają na dronach, aby uzyskać przewagę strategiczną w powietrzu, konflikt w Birmie zajmuje obecnie trzecie miejsce na świecie pod względem liczby zdarzeń z udziałem dronów zarejestrowanych przez ACLED, ustępując jedynie Ukrainie i Rosji. Przed zamachem stanu, który obalił wybrany rząd w 2021 roku, bezzałogowe statki powietrzne rzadko pojawiały się w tym kraju. Cztery lata później są one wszechobecne, przyczyniając się do rozstrzygania bitew, niszcząc helikoptery warte miliony dolarów i przyciągając wsparcie finansowe

eprasa.pl f7e0bb845d

ze strony diaspory. Dostępność, łatwość modyfikacji i opłacalność dronów umożliwiają zarówno grupom oporu, jak i wojsku osiąganie celów wojskowych przy minimalizacji strat bojowych. Chociaż nie wiadomo jeszcze, czy drony ostatecznie zmienią przebieg konfliktu, obie strony coraz częściej włączają je do swoich strategii wojskowych, a rok 2025 wydaje się być rokiem, w którym wojsko może uzyskać wyraźną przewagę. Grupy oporu będą jednak nadal próbowały ulepszać procesy modyfikacji dronów i produkcji broni, elastycznie dostosowywać ich wykorzystanie oraz priorytetowo traktować likwidację wojskowych zakładów produkujących uzbrojenie, w których masowo wytwarza się zapalniki, broń, bomby i drony, aby przywrócić równowagę sił. Dzięki wsparciu technicznemu i wojskowemu sojuszników, takich jak Chiny i Rosja, wojsko będzie tylko zwiększać wykorzystanie dronów w swoich operacjach kontrofensywnych (Su Mon, „Wojna z powietrza: Jak działania z użyciem dronów kształtują konflikt w Mjanmie", ACLED, 1 lipca 2025).

Drony zbrojne, które kiedyś były zarezerwowane dla armii, są obecnie wykorzystywane także przez terrorystów w regionie Sahelu, zmieniając charakter konfliktu. Niezależnie od tego, czy chodzi o Mali, Burkina Faso czy Niger, grupy terrorystyczne demonstrują obecnie swoją zdolność do przeprowadzania ataków przy użyciu zmodyfikowanych dronów cywilnych. Według raportu Policy Center for the New South, opublikowanego 14 lipca, od września 2023 roku odnotowano ponad 30 potwierdzonych ataków, z czego 82 proc. miało miejsce między marcem a czerwcem tego roku. Od kilku lat armie regionu, zwłaszcza te należące do Sojuszu Państw Sahelu (AES) – Mali, Burkina Faso i Nigru – zmagają się z grupami dżihadystów, które są w stanie szybko przeprowadzać ataki i wtapiać się w tłum. W tej sytuacji drony wojskowe stały się ważnym atutem: umożliwiają one nadzór nad ogromnymi obszarami pustynnymi, identyfikację celów i przeprowadzanie ataków bez narażania życia żołnierzy. Zapewniają one zatem przewagę technologiczną w wojnie, w której państwa nie dysponują zasobami ludzkimi i logistycznymi. Jednak grupy dżihadystów również dostrzegły wartość tych urządzeń. Niektóre z nich wykorzystują je do wykrywania pozycji wojskowych, kierowania atakami lub filmowania operacji w celach propagandowych. W ciągu zaledwie kilku lat, w wyścigu o zaawansowany technologicznie sprzęt, drony znalazły się w arsenale obu stron konfliktu (Aly Asmane Ascofare, „Pięć pytań, które pomogą zrozumieć wojnę dronów w Sahelu", The Africa Report, 3 września 2025).

Typy dronów mogą szybko stracić swoją użyteczność. Jeśli sytuacja bojowa ulegnie zmianie lub jeśli opracowane zostaną systemy obrony przeciwdziałające im, system dronów, który wczoraj był niezbędny, dziś może stać się przestarzały. Podczas początkowego ataku na Ukrainę drony Bayraktar TB2 produkcji tureckiej odegrały tak kluczową rolę w walce z wojskami rosyjskimi, że stały się inspiracją dla popularnej pieśni wojennej. Do 2024 roku drony Bayraktar straciły na znaczeniu, głównie z powodu systemów obrony powietrznej. Bayraktary nie były jedynym systemem, który spotkał taki los; coraz trudniej jest dokonać przeglądu dronów używanych na Ukrainie ze względu na ich szybką rotację. Systemy muszą być szybko dostosowywane (U. Franke, „Drony na Ukrainie: cztery wnioski dla Zachodu", ECFR, 10 stycznia 2025). Zachód powinien nadal inwestować w ukraińskie innowacje w zakresie zwalczania dronów, ponieważ Stany Zjednoczone i ich sojusznicy mogą w najbliższej przyszłości stanąć przed podobnymi dylematami związanymi z nowoczesną wojną. ChRL najwyraźniej intensyfikuje swoje tajne wsparcie dla rosyjskich wysiłków w zakresie produkcji bezzałogowych statków powietrznych i systemów przeciwdziałania dronom i prawdopodobnie wyciąga cenne wnioski technologiczne i taktyczne, aby dostosować się do rosyjskich zamówień na części i sprzęt. Rosja, ChRL, Korea Północna i Iran mogą wykorzystać te wnioski w przyszłych wojnach przeciwko Stanom Zjednoczonym lub ich sojusznikom (Instytut Badań nad Wojną, „Rosyjskie innowacje w zakresie dronów prawdopodobnie przynoszą efekty w postaci blokady powietrznej pola walki na Ukrainie", 7 sierpnia 2025). Eksperci twierdzą, że USA i ich europejscy sojusznicy aktywnie pracują nad ulepszeniem dronów i operacji przeciwdziałających dronom, aby zachować przewagę w przyszłych konfliktach. „NATO prawdopodobnie zacznie używać dronów na dużą skalę. Nie na taką samą skalę, jak Rosja i Ukraina, ponieważ dysponujemy potężnymi siłami powietrznymi, w które zainwestowaliśmy i które mogą bardzo szybko zadawać potężne ciosy – ale jako uzupełnienie tych sił" – powiedział CNN Robert Tollast, analityk Royal United Services Institute (RUSI). Podmioty niepaństwowe na całym świecie i kartele narkotykowe również w coraz większym stopniu polegają na dronach. „Będzie to stanowiło ogromne wyzwanie dla nieprzygotowanych armii na całym świecie" – dodał (R. Wilson, L. Kent, „Jak rosyjskie ataki dronów zmieniły przebieg wojny na Ukrainie", CNN, 2 września 2025). ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Korea Północna–Rosja

W połowie września wywiad wojskowy Korei Płd. ujawnił, że zdobył informacje sugerujące, iż Rosja mogła dostarczyć Korei Płn. reaktor jądrowy do wykorzystania w atomowych okrętach podwodnych. Według Seulu chodzi o dwa lub trzy moduły okrętów podwodnych o napędzie atomowym, które Pjongjang otrzymał od Moskwy w pierwszej połowie tego roku. Moduły te obejmują reaktor, turbinę oraz układ chłodzenia – kluczowe elementy jądrowego układu napędowego. To oznacza, że Korea Płn. prawdopodobnie dysponuje całym systemem napędowym, w tym działającym reaktorem. Według doniesień moduły nie zostały wyprodukowane od podstaw, lecz pochodzą z wycofanych z eksploatacji rosyjskich okrętów podwodnych.

Kim Dzong Un dążył do tego, aby Moskwa udostępniła mu tę technologię w zamian za wysłanie swoich żołnierzy w celu wsparcia rosyjskich działań wojennych na Ukrainie. Północnokoreański reżim traktuje budowę okrętów podwodnych z napędem atomowym jako narodowy priorytet, uznając posiadanie strategicznych jednostek zdolnych do ataku na Stany Zjednoczone za kluczowy element zakończenia procesu budowy sił nuklearnych.

Południowokoreańskie media przypominają, że 8 marca północnokoreański dziennik państwowy „Rodong Sinmun" opublikował zdjęcia Kima dokonującego inspekcji okrętu, który najprawdopodobniej był budowany jako strategiczny okręt podwodny z napędem atomowym. Eksperci przez długi czas twierdzili, że Korea Płn. nie dysponuje wystarczającymi możliwościami technicznymi, aby szybko zbudować atomowy okręt podwodny, zwłaszcza że reaktor okrętowy stanowi jego kluczowy element. Jednak ocena zdolności technicznych Pjongjangu musi ulec zmianie, jeśli kraj ten pozyskał rosyjskie moduły. Południowokoreański wywiad wojskowy poinformował, że wciąż analizuje dodatkowe źródła, potwierdzające wcześniej uzyskane informacje na temat technologii przekazanej przez Putina Korei Płn. Jeśli Rosja rzeczywiście dostarczyła te moduły, oznaczałoby to, że Moskwa przekroczyła „czerwoną linię", co fundamentalnie podważyłoby układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej (NPT). Taki krok niemal na pewno doprowadzi do nałożenia dodatkowych sankcji międzynarodowych zarówno na Koreę Płn., jak i Rosję. Zgodnie z doniesieniami informacje wywiadowcze uzyskane przez Koreę Płd. zostały przekazane Stanom Zjednoczonym oraz innym państwom sojuszniczym.

Chiny

16 września chińskie Państwowe Biuro ds. Religii, działające w ramach Wydziału ds. Pracy Zjednoczonego Frontu, kontrolowanego przez Komunistyczną Partię Chin (KPCh), opublikowało nowe przepisy, które zakazują duchownym wszystkich religii, w tym księżom katolickim, organizowania zajęć edukacyjnych dla dzieci w internecie, wygłaszania kazań na żywo w mediach społecznościowych oraz promowania zbiórek pieniędzy na niezależne finansowanie budowy miejsc kultu. 18 artykułów Kodeksu postępowania duchownych w internecie szczegółowo określa, co ksiądz lub inny duchowny oficjalnie uznawanych w Chinach wyznań może, a w szczególnie, czego nie może robić w sieci. Deklarowanym celem nowego prawa jest „utrzymanie porządku w sferze religijnej". Jak to bywa w komunistycznych Chinach, założeniem jest również, że duchowieństwo „musi praktykować fundamentalne wartości socjalizmu, przestrzegać zasady niezależności i samorządności religii w naszym kraju, realizować kierunek

eprasa.pl f7e0bb845d

sinicyzmu religii, aktywnie kierować religiami w celu dostosowania ich do społeczeństwa socjalistycznego oraz utrzymywać harmonię religijną, społeczną i etniczną".

Państwowe Biuro ds. Religii szczególnie podkreśliło, że „duchowieństwo nie może angażować się w działalność online w ogóle" i ma prawo do głoszenia oraz prowadzenia edukacji religijnej wyłącznie „za pośrednictwem stron internetowych, aplikacji, forów itp., które zostały legalnie utworzone przez grupy religijne, szkoły religijne, świątynie, klasztory i kościoły", posiadające odpowiednią licencję. Księża, nawet jeśli rejestrują się i korzystają z publicznych kont internetowych lub aplikacji do przesyłania wiadomości w celu rozpowszechniania informacji, „muszą przedstawić dostawcom usług internetowych certyfikat członkostwa jako zarejestrowany duchowny". Dodatkowo w kodeksie pojawia się sformułowanie, które jest podatne na różne interpretacje: „(…) duchowni religijni nie mogą zmawiać się z siłami zagranicznymi za pośrednictwem internetu ani wspierać lub uczestniczyć w zagranicznych działaniach związanych z infiltracją religijną".

Chiny coraz bardziej zaostrzają zakazy dotyczące działalności edukacyjnej dla dzieci, prowadzonej przez grupy religijne, w tym również w internecie. Artykuł 10 stanowi, że „duchowni nie mogą rozpowszechniać idei religijnych ani nakłaniać nieletnich do wiary w religię za pośrednictwem internetu, ani organizować ich udziału w edukacji religijnej, obozach letnich (lub zimowych), ani też organizować lub zmuszać nieletnich do uczestnictwa w zajęciach religijnych".

Wprowadzone w połowie września przepisy to już kolejne w tym roku uderzenie w kościoły w Chinach. W maju br. weszły w życie regulacje, które poważnie ograniczają działalność misjonarzy w Chińskiej Republice Ludowej. Nowe ustawodawstwo ogłoszone przez Państwowe Biuro ds. Religii zabrania zagranicznym duchownym przewodzenia praktykom religijnym dla Chińczyków bez zaproszenia i zgody komunistycznych władz.

Opublikowany w marcu raport amerykańskiej Komisji ds. Międzynarodowej Wolności Religijnej (USCIRF) zwraca uwagę na alarmujące naruszenia prawa do wolności wyznania w Chinach. Dokument wskazuje, że prowadzona przez władze chińskie polityka sinizacji religii[1] dąży do całkowitego podporządkowania Komunistycznej Partii Chin chrześcijańskich miejsc kultu oraz działalności religijnej zarówno duchowieństwa, jak i świeckich. Ponadto Chiny zakazują nieletnim angażowania się w działalność religijną oraz otrzymywania edukacji religijnej – podkreśla raport.

Tajwan

Tajwan intensyfikuje wysiłki na rzecz ochrony swoich kabli podmorskich, które w ostatnich latach stały się celem ataków ze strony Chin. W ramach tych działań ochronnych planowana jest budowa nowych kabli po wschodniej stronie wyspy, co może uczynić Tajwan mniej podatnym na chińskie ataki w przypadku potencjalnego konfliktu. Projekty kablowe, wspierane przez Google i Meta, mają zostać ukończone jeszcze w tym roku i połączą wschodnie wybrzeże Tajwanu z regionalnymi partnerami, takimi jak Japonia i Filipiny, a także z zachodnim wybrzeżem Stanów Zjednoczonych.

Obecnie Tajwan dysponuje 14 kablami do połączeń międzynarodowych, a 10 łączy główną wyspę kraju Tajwan z jego peryferyjnymi wyspami. Większość z tych kabli znajduje się w Cieśninie Tajwańskiej, wzdłuż zachodniego wybrzeża wyspy.

Chińskie akty sabotażu, polegające na uszkadzaniu kabli, często są przeprowadzane przez statki handlowe pływające pod obcą, niechińską, banderą, lecz z chińską załogą. W 2023 roku, kiedy odnotowano 12 incydentów sabotażu, Tajpej znowelizowało ustawę o zarządzaniu telekomunikacją, wprowadzając 10-letnie wyroki dla osób dopuszczających się niszczenia kabli podwodnych. W następnym roku liczba incydentów spadła do zaledwie czterech, jednak w bieżącym roku ponownie wzrosła. I tak na przykład w lutym tajwański operator telekomunikacyjny Chunghwa Telecom zgłosił uszkodzenie kabla telekomunikacyjnego łączącego główną wyspę z wyspą Penghu, która jest częścią archipelagu Peskadorów, należącego do Tajpej. W pobliżu miejsca awarii straż przybrzeżna zlokalizowała statek „Hong Tai 168", pływający pod banderą Togo, ale zarejestrowany na obywatela Chin. Cała załoga statku, składająca się z ośmiu członków, miała chińskie pochodzenie. Warto zwrócić uwagę, że incydent ten miał miejsce tuż przed spotkaniem prezydentów USA Donalda Trumpa i Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego w Waszyngtonie. Chiny są jednym z głównych sponsorów machiny wojennej Putina.

Poza Cieśniną Tajwańską Pekin dołączył do akcji sabotażu, które wcześniej były prowadzone przez Rosję w naszym regionie. Na Bałtyku chiński masowiec przeciął dwa kable w listopadzie ubiegłego roku, a kontenerowiec pod banderą Hongkongu uszkodził kolejny kabel miesiąc później. Incydenty te zakłóciły funkcjonowanie internetu oraz innych środków komunikacji między kilkoma państwami Europy Północnej. ■

[1] Polityka sinizacji religii wprowadzona została przez prezydenta Xi Jinpinga i ma na celu maksymalne podporządkowanie wszelkich wyznań Komunistycznej Partii Chin.

eprasa.pl f7e0bb845d

Charakterystyczny pozłacany pomnik św. Jana Pawła II zdobi dziś wejście do jednego z najczęściej odwiedzanych przez niego za życia sanktuariów

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Włoski „Pokój Papieży”

Żeby tu trafić, trzeba najpierw pokonać strach przed wysokością. Tylu zakrętów tuż nad stromymi przepaściami nie ma bowiem chyba nigdzie indziej w Lacjum. Okazuje się jednak, że to, co budzi lęk przed tyloma turystami i pielgrzymami, wcale nie wywołuje strachu u kolejnych papieży…

eprasa.pl/7e0bb845d

Ojciec Adamo wskazuje na metalową ramkę umieszczoną nad drzwiami do skromnego pokoju z napisem „Stanza del Papa" („Pokój Papieża") i oznajmia z uśmiechem: – Chyba musimy ją teraz zmienić na „Stanza dei Papi".

Pokoik ma nie więcej jak 10 metrów kwadratowych. Na wprost wejścia widać dwa szare fotele. Obok okna wiszące na ścianie zdjęcie papieża Jana Pawła II. Ozdobiona złotawą ramą sławna fotografia przedstawia Ojca Świętego dokonującego przeistoczenia podczas Mszy świętej. Papież przymyka oczy. Jest w innej rzeczywistości. Zaraz pod zdjęciem na okrągłym stoliku obok kwiatów i dwóch zgaszonych świec stoi jasnobrązowa figurka Matki Bożej Mentorellskiej, Patronki tego miejsca. Po lewej stronie widać charakterystyczne drewniane krzesło. Z przymocowaną sznurkami biało-żółtą poduszką na siedzisku.

– Gdy papież był tu po raz ostatni, ks. Dziwisz poprosił nas, żeby skombinować dla Ojca Świętego krzesło z wysokim podparciem – wyjaśnia ojciec Adamo. – Choroba Jana Pawła II była już w zaawansowanym stopniu. Potrzebował podparcia pod ręce.

– I byłeś świadkiem tej wizyty? – pytam.

– Tak, pamiętam ją dość dokładnie – odpowiada z poważną miną. By po chwili wskazać palcem na niewysoki próg na końcu korytarza. – Papież poruszał się już bardzo słabo. Pokonał jednak tamte trzy stopnie i powolutku doszedł do tego pokoiku. Tutaj odpoczął. Nadal mam w oczach ten widok siedzącego w tym pokoiku i milczącego.

Pomieszczenie znajduje się w części klasztornej ojców zmartwychwstańców posługujących na mentorellskiej skale. Zostało ich tu dziś dwóch. Obaj to Polacy. Ojciec Adam i Dariusz. W benedyktyńskiej pustelni przyjmują ludzi, którzy od czasu do czasu zbiorą się na odwagę, aby z oddalonego jakieś 60 km Rzymu wjechać na same szczyty Gór Prenestyńskich. Znam takich, którzy w trakcie jazdy rezygnowali. Czasem nie potrafili znaleźć trasy, czasem ze strachu – droga na turnie wymaga niejednokrotnie pokonania ostrych zakrętów czy zmieszczenia się samochodem na grubość kurzu między górskimi, przyklejonymi do skały domami. I jeszcze te widoki – strome, urwiste przepaście i szerokie górskie łąki dopełniające pejzażu.

Tak się jednak złożyło, że w ostatnim półwieczu miejsce to umiłowało sobie kilku przybyszów dość sławnych i rozpoznawalnych na całym świecie.

▶ Przerwane wakacje Leona XIV

18 sierpnia 2025 roku. Poniedziałek. Włoskie wakacje w pełni. Rzymianie jak co roku pozostawiają swoje miasto przyjezdnym. W tym jednym miesiącu ciepłego półrocza miasto jest puste jak nigdy wcześniej ani nigdy później. Naraz na mentorellskim wzgórzu dzwoni rzadko tu raczej używany telefon klasztorny. To łączenie z Castel Gandolfo. Wypoczywający tu na wakacjach Leon XIV chce jutro przyjechać. Bez asysty, bez świadków. Pragnie w samotności nawiedzić benedyktyńskie sanktuarium na skale. I pomodlić się przed tutejszą Madonną.

– Mieliśmy jeden dzień, żeby się przygotować. A jak wiesz, jest nas tutaj dwóch – wspomina z rozbawieniem polski zakonnik. – Ale jakoś daliśmy radę.

– I rzeczywiście nikt się nie dowiedział? – dopytuję.

– Od nas nie… – odpowiada tajemniczo zakonnik. – Nawet nasi współbracia po całym tym wydarzeniu byli na nas obrażeni, że nie daliśmy im znać. Rozkaz z góry, to rozkaz z góry. Nie mogliśmy nikomu powiedzieć.

– No, dobra… Od was się nie dowiedzieli, ale…

– Przed papieżem przyjechało dwóch policjantów, którzy mieli zabezpieczać wizytę – poddaje się wreszcie zmartwychwstaniec. – Jako że nie mieliśmy czym ich nakarmić, pojechali na górę [ojcu chodzi o najbliższą położoną na sąsiedniej skale miejscowość Guadagnolo – przyp. aut.]. Do tamtejszej restauracji na obiad. No i tam się wygadali komuś…

– Rozumiem zatem, że papież nie miał tego miejsca dla siebie?

– Co ty! – wykrzykuje w odpowiedzi zakonnik. – Jak tylko mieszkańcy Guadagnolo się dowiedzieli, zaraz wskoczyli do aut, żeby tu przyjechać. I koczowali tak u nas kilka godzin przed przyjazdem papieża.

– I co, zobaczyli w końcu papieża? – dopytuję.

– Tak, przywitali go bardzo serdecznie. Pomachali. Ale potem wyczuli sytuację i bardzo dyskretnie się oddalili. Bo papież naprawdę przyjechał tu w innym celu.

Można by rzec, że Ojciec Święty chciał sobie odprawić minirekolekcje. Nawiedził więc m.in. sławną grotę, w której przez kilka miesięcy żył św. Benedykt. I do której nawet osoba szczupła musi wchodzić bokiem – tak wąska jest szczelina, która prowadzi do środka pieczary. Pieczary wewnątrz której na tle setek zawierzających się patronowi Europy ludzi palą się dwie świece i stoi figurka założyciela benedyktynów. Po grocie wszedł na najwyższy punkt mentorellskiej skały, gdzie znajduje się zamknięta zwykle kapliczka św. Eustachego.

– No właśnie – podchwytuję. – Byłem tam przed chwilą. Jestem tu któryś już raz, a dopiero teraz udało mi się wejść do środka i zobaczyć tamtejsze freski.

– Tak… – opuszcza głowę padre Adamo. – Zapomniałem zamknąć od pory papieskiej wizytacji.

eprasa.pl f7e0bb845d

Trafić do ulokowanego na skalnej turni klasztoru wcale nie jest tak łatwo

Wreszcie Leon XIV nawiedził kościół z cudowną XII-wieczną figurą Matki Bożej Łaskawej, zwanej dziś przez samych Włochów z oczywistych powodów Mentorellską.

Wyrzeźbiona z dębowego drewna ciemna figura przedstawia Matkę Bożą trzymającą w ręku małego Jezusa.

– Większość ludzi widząc tę rzeźbę myśli, że to Matka Boża trzyma Dzieciątko. Ale to nie tak… – ojciec Adam zaczyna opowiadać jedną ze swoich ulubionych teologicznych historii. – Ona wcale Go nie trzyma. Matka Boża jest w tej figurze tronem, na którym siedzi Pan Jezus.

Także na papieżu Leonie figura musiała zrobić wrażenie, skoro w ramach swego wakacyjnego wypoczynku zdecydował się na jednodniowy wypad w skaliste pasmo Gór Prenestyńskich.

– A powiedz, jaki on jest… – wypalam wreszcie.

– Zupełnie normalny – odpowiada poważnie zmartwychwstaniec. – Przy obiedzie raczej słuchał. Sam mówił bardzo mało.

Tu, gdzie papież zrozumiał modlitwę

„Jedziemy do was…" – gdy pamiętnego dnia 1997 roku jeden z zakonników odebrał telefon, nie bardzo wiedział, co to za niski tubalny głos mówi po drugiej stronie słuchawki. „Ale kto jedzie?" – zapytał więc zmartwychwstaniec. „No my…" – odpowiedział tajemniczy głos. Dopiero po kilku chwilach okazało się, że to ks. Stanisław Dziwisz. Zapowiadający kolejną spontaniczną pielgrzymkę Jana Pawła II do swego ukochanego miejsca, które tak bardzo przypominało mu rodzime Tatry.

Tak naprawdę nie wiemy, kiedy Wojtyła przybył tu po raz pierwszy. Być może poznał to miejsce jeszcze podczas podejmowanych w Rzymie studiów. Być może były to już czasy biskupie. Pierwsza oficjalnie odnotowana wizytacja to moment, gdy do Mentorelli przybywa już jako kardynał. Szacuje się jednak, że do tego czasu złożył w Mentorelli około 30 wizyt.

– Pamiętam, jak papież był tu w listopadzie. Przed jego imieninami mój współbrat Piotr smażył kardynałowi jajecznicę. Solenizant śmiał się, że tak to jeszcze nigdy nie świętował – opowiada z uśmiechem padre Adamo.

Ostatnią z kardynalskich pielgrzymek Karol Wojtyła odbył na kilka dni przed słynnym konklawe w 1978 roku. Przyjechał do swojego ukochanego sanktuarium, aby się modlić. Aby rozeznać. Dziś już wiemy, co takiego.

eprasa.pl f7e0bb845d

Nie wyjechał stąd na długo. Kolejny raz przybył tu bowiem już po niespełna trzech tygodniach. W 14. dniu swojego pontyfikatu. Można by napisać, że pierwszą papieską pielgrzymkę odbył właśnie do Mentorelli. Już nie jako kardynał Wojtyła. Tym razem przybył jako Ojciec Święty Jan Paweł II. Był u siebie. Ale jakby jako ktoś nowy. „Muszę pojechać do Mentorelli" – miał oznajmić kilka dni po wyborze nowy papież jednemu ze swoich współpracowników. „Ale dlaczego akurat tam, Wasza Świątobliwość?" – zapytano. „Bo właśnie tam lepiej zrozumiałem, czym jest modlitwa" – miał odpowiedzieć Jan Paweł II.

Kiedyś gość, dziś gospodarz

Trasę z Rzymu w Góry Prenestyńskie pokonujemy dziś w około półtorej godziny. Można więc wyobrazić sobie, jak na jednodniowe wypady decydował się św. Jan Paweł II. Chcąc skonsultować z Matką Bożą szczególnie ważne dla Kościoła i świata decyzje i sprawy.

Padre Adamo wspomina, jak w czasie jednej z wizyt papież udał się na spacer po okolicznych górach. Zanim udał się na modlitewną przechadzkę, postawił na straży pewnego kleryka, mówiąc: „Pilnuj papieża, bo idzie się modlić".

O jeszcze innym wydarzeniu związanym z papieskimi spacerami pod Mentorellą powiedział sam ks.Dziwisz. Zdradził, że często przyjeżdżali incognito z Ojcem Świętym na wznoszące się 200 metrów wyżej Monte Cerella. Zwykle św. Jan Paweł II spacerował samotnie, pogrążony w modlitwie. Kiedy dochodził do miejsca, z którego widać był położone nieco niżej sanktuarium, przyklękał i modlił się do Pani Mentorellskiej.

Jako papież św. Jan Paweł II odwiedzał Mentorellę jeszcze siedmiokrotnie. Za każdym razem były to wizyty prywatne. Zawsze czekał na niego specjalnie przygotowany, skromny pokój. Tutaj wypoczywał po dłuższych spacerach. Dla opiekujących się sanktuarium księży zmartwychwstańców Wojtyła nie był jednak łatwym gościem. Zwykle o jego wizycie dowiadywali się, gdy ten był już w drodze. Od pasterzy pilnujących swych owiec na łąkach, przez które akurat przejeżdżał czarny samochód z „Białym Pielgrzymem" w środku.

„To miejsce bardzo mi pomagało modlić się" – głosi dziś napis wygrawerowany na okolicznościowej płycie ulokowanej na placu przed kościołem w Mentorelli. Obok stoją dwa pomniki św. Jana Pawła II. Kiedyś był tu niespodziewanym przybyszem. Teraz to on wita pielgrzymów nawiedzających to miejsce.

„Stanza del Papa", czyli „Pokój Papieża"

Część z przybyszów wchodzi od razu do kościoła pomodlić się przed wspaniałą figurą Matki Bożej Łaskawej. Część ucieka do maleńkiego sklepiku prowadzonego przez księży zmartwychwstańców. Jeszcze inni udają się sprawdzić, czy nadal zmieszczą się do wąskiej groty św. Benedykta. Najbardziej aktywni wbiegają zaś schodami na skałę, aby obok kaplicy św. Eustachego podziwiać sanktuarium z lotu ptaka.

Mało kto udaje się za niewielką drewnianą tabliczkę stojącą przy asfaltowej drodze prowadzącej do sanktuarium. Z wymalowaną na niej strzałką i numerem „502". Obok zaś napisem: „Sentiero Karol Wojtyła". „Ścieżka Karola Wojtyły". To była jego droga. Zaprowadziła go tam, gdzie chciał dobry Bóg. Szlak jest nadal czynny.

Placido, czyli Eustachy

To jedno z najstarszych sanktuariów maryjnych na świecie. I chyba zarazem najmniej z nich wszystkich znane i odwiedzane. Położone na wznoszącej się 1018 metrów n.p.m. Wulturelli, czyli „Górze Sępów". Ta nazwa jest już dziś nieużywana. Zastąpiła ją nowa: Guadagnolo. To na jej wschodnim zboczu ulokowane jest miejsce, które pewien nikomu jesz-

eprasa.pl f7e0bb845d

Wejście do groty, w której swego czasu mieszkał św. Benedykt, stanowi bardzo wąska szczelina

cze wtedy nieznany kardynał z Polski wybrał sobie jako jedno z ulubionych w całych Włoszech. Ale przecież nie on był tutaj pierwszy.

Dla Włochów od zawsze było to miejsce dwóch świętych. Świętego Eustachego oraz św. Benedykta. Ten pierwszy był nawróconym rzymskim legionistą. Pierwotnie nazywał się Placido. Legenda mówi, że właśnie na tej skale spotkał w czasie polowania dorodnego jelenia, u którego poroży dostrzegł świetlisty krzyż. „Placydzie, dlaczego mnie prześladujesz?" – spytał głos. Oniemiały z wrażenia i przelękniony żołnierz tylko zsunął się z konia i padł na ziemię. „Panie, co chcesz, abym uczynił?".

Nawrócenie Placido (na chrzcie, który wkrótce przyjął, otrzymał imię Eustachego) oraz całej jego oraz jego rodziny stało się głośne w całym Rzymie. Tym bardziej, że jego życie zmieniło się nie do poznania. Niczym biblijnego Hioba zaczęła go nawiedzać seria nieszczęść, mających prawdopodobnie sprawdzić jego neoficką wiarę. Eustachy stracił więc majątek, a jego służący poumierali na zarazę. Jakby tego było mało, podczas podróży morskiej została porwana jego żona. Niedługo po tym zdarzeniu, gdy przechodził przez rzekę, na jego synów rzuciły się wilk i lew. Eustachy jednak nie lamentował. Nie tracił wiary. Podobnie jak starotestamentalny Hiob z czasem odzyskał swoją rodzinę. Odzyskał także utraconą pozycję społeczną. Przeszedł próbę.

Nadal było jednak jasne, że zarówno jemu, jak i jego bliskim grozi niechybna śmierć. Po względnym czasie spokoju dla chrześcijan w Cesarstwie Rzymskim, gdy panowanie objął cesarz Trajan, represje wobec wierzących w Chrystusa się nasiliły. Kiedy na cesarskim tronie Trajana zastąpił Hadrian, sytuacja wcale nie uległa poprawie. Któregoś dnia od Eustachego zażądano złożenia ofiary pogańskiemu bożkowi. Odmówił.

Wraz z żoną i synami zostali skazani na śmierć. Jak przekazują podania, wszyscy zostali rzuceni lwom na pożarcie. Jednak ku zdumieniu świadków, wygłodniałe zwierzęta nie wyrządziły nikomu szkody. Wobec tego zarządzono upieczenie skazanych na rozżarzonym byku z brązu.

Tak zginął Eustachy, jeden z Czternastu Świętych Wspomożycieli. Święty człowiek, którego Kościół katolicki zaliczył do tych, których wstawiennictwo u Boga uznaje za wyjątkowo skuteczne. Tak również zrodziła się legenda tajemniczego wzgórza ze skałą. Miejsca nazywanego dziś Mentorelli. Miejsca, gdzie

eprasa.pl f7e0bb845d

Placido spotkał Chrystusa. Miejsca, gdzie za kilka wieków zainspirowany historią św. Eustachego uda się pewien pustelnik. Twórca wielkiej reguły monasteriorum, dającej podstawę dla wielu zakonów w Europie.

Grota patrona Europy

To była jedna z pierwszych lokacji wybranych przez św. Benedykta na miejsce przeżywania jego pustelniczego żywota. Dopiero stąd ruszy do oddalonego około 35 kilometrów Subiaco, a następnie do słynnego Monte Cassino. Zacznie jednak tutaj. Upatrując sobie miejsce nawrócenia św. Eustachego. Porzucając świecką karierę w Rzymie, spędzi w tym miejscu dwa lata. Jako przestrzeń do modlitwy i kontemplacji obierając sobie niewielką, skalną grotę.

Przed wejściem w wąską szczelinę widać ludzkie kości. Zgromadzone w niewielkiej wnęce za szybą. Są też nagie białe czaszki. Obok tabliczka głosząca po włosku: „Io sono la resurrezione e la vita" („Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem"). Wchodzę do środka.

Szczelina jest naprawdę wąska. Trzeba pokonywać ją, przesuwając się bokiem. W pewnej chwili ulega rozszerzeniu. Widać pnące się ku stropowi groty ściany. Do niedawna po prawej stronie wisiało w tym miejscu zdjęcie papieża Benedykta XVI pokonującego wejście do skalnej jamy. Od kilku tygodni zastąpiła je fotografia papieża Leona w tej samej pozycji co poprzednika. W białej sutannie.

Przesuwam się dalej. Im głębiej, tym więcej miejsca. W powietrzu czuć zapach dymu i wosku. To zapach świec. Niektóre jeszcze się palą, niektóre zdążyły się stopić. Czarny wosk pokrywa kamienie. Po lewej stronie niewielki ołtarzyk. Figurka św. Benedykta. Pod nim krótka modlitwa do świętego pustelnika. Dalej wisi mosiężny krzyż. To wszystko.

Za figurą św. Benedykta widać kilkadziesiąt fotografii. Ludzie ludziom. Modlitwa za chorego. Za zmarłą mamę. O ocalenie. Ciągła. Nieprzerwana. Nieme pamiątki świadczące o tym, że to nie jest tylko zwykła grota. Tutaj również jest kościół. W tej skalnej izdebce.

Skarb

Ponad grotą św. Benedykta ciągną się schody. Dostojne i wysokie. Prowadzą na okoliczny skalny szczyt, mijając po drodze maleńki cmentarzyk. Leżą tam pochowani kapłani służący niegdyś w Mentorelli. Wśród nich także Polacy. U końca schodów widać szczyt. A na nim niewielką kapliczkę. Z umieszczoną w jej środku figurką św. Eustachego. Wciąż otwartą po niedawnej wizycie papieża Leona XIV. Obok zaś dwa dzwony. Ze sznurami. Można podejść i pociągnąć. Zanim to uczynimy, warto przeczytać słowa umieszczone na tablicy obok: „Non far da campanaro se il cuor tuo non batte da cristiano" („Nie dzwoń, jeśli twoje serce nie bije po chrześcijańsku").

Schodzimy tymi samymi schodami. Na główny plac w Mentorelli. Z niewielkim kościółkiem pod wezwaniem Matki Bożej. Pierwsza świątynia stanęła tutaj już w VI wieku. Prawdopodobnie uległa jednak zniszczeniu w czasie licznych najazdów na te ziemie oddziałów Longobardów i Saracenów. W tym samym wieku do Mentorelli przybyli benedyktyni z Subiaco. Tutejszą ziemię przekazali im sam papież Grzegorz Wielki oraz jego matka, św. Sylwia. Świadczy o tym dokument z 594 roku. Część historyków podważa jednak jego wiarygodność. Odwołują się do pierwszych niebudzących wątpliwości archiwów, które wskazywałyby na obecność w tym miejscu benedyktynów dopiero pod koniec IX wieku. Niezależnie od tego, czy mnisi przywędrowali do Mentorelli już w VI wieku, czy dopiero 300 lat później, nie ma żadnych wątpliwości, że to oni zapoczątkowali tutaj kult maryjny. To oni odbudowują kościół. To oni wznoszą budynki klasztorne.

Sanktuarium szybko staje się sławne. Pragną się tu modlić coraz liczniejsi pielgrzymi. Klasztor jest celem wielu pielgrzymek pokutnych. Chcąc wyjść naprzeciw rosnącym wyzwaniom, mnisi organizują budowę dla pątników specjalnego schroniska i kościółka, które lokują w maleńkim Passo della Fortuna, nieopodal miasteczka Ciciliano. Od wzniesionego w XIV wieku kościółka pw. św. Marii Magdaleny rozpoczyna się stromy szlak wiodący do Mentorelli. Pątnicy, aby utrudnić sobie zadanie, wędrują często boso. W zimnym górskim klimacie. Niektórzy dźwigają ze sobą kamienie. Wszystko jako pokuta. Jako symbol krzyża. Chęć nawrócenia.

Najwięcej pielgrzymów przybywa do Mentorelli na Wielkanoc oraz w oktawie święta Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Być może właśnie jeden z tych okresów wybrał sobie św. Franciszek z Asyżu, który, jak podają niektóre podania, również nawiedził to święte sanktuarium.

Dziś wędruje tu kolejny papież. Był tu Jan Paweł II, był Benedykt XVI. Teraz jest tu Leon XIV. Jakby to miejsce przyciągało namiestników Chrystusa. Jakby coś sprawiało, że chcą tutaj przyjechać. Mimo wcale niełatwego dojazdu. Mimo niepewnej pogody. Jednak jadą. Przybywają. Dając całemu Kościołowi niemą wiadomość. Że tutaj jest skarb. Do odkrycia. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Marcin Wolski

Mongolski spadek

Wiele rzeczy przejęła Rosja od ościennych krajów – religię od Bizancjum, organizację państwa od Waregów, gramatykę od Polski, a biurokrację z Prus. Najważniejszym jednak zapożyczeniem jest pochodząca od mongolskich zdobywców sztuka wojny i propagandy.

Jeśli Clausewitz jest autorem błyskotliwego stwierdzenia: „wojna jest przedłużeniem polityki innymi środkami", to żyjący prawie 2,5 tys. lat wcześniej Sun Zi uznał, że „Najwyższym osiągnięciem jest pokonać wroga bez walki". I tę lekcję w ciągu 300 lat niewoli mongolskiej przyswoiła Moskwa, dziedzic Rusi Kijowskiej z niezbyt prawego łoża, realizując w praktyce mnóstwo zaleceń genialnego Azjaty. Najważniejsza okazała się świadomość, że propaganda – tak zewnętrzna, jak i wewnętrzna – jest potężnym wspomaganiem siły militarnej, a czasami potrafi ją nawet wyręczyć.

Przypomnijmy, że rady chińskiego mędrca były dość proste. „Uśmiechaj się, ale trzymaj miecz za pazuchą"; „Uspokój wroga i spraw, by stał się ufny, a ty tymczasem szykuj plan ataku"; „Symuluj obłęd, będąc w pełni zmysłów" – ten chwyt zastosował na przykład Iwan Groźny, pozornie abdykując, a potem wyżynając swoich wrogów. Kolejna rada Sun Zi brzmiała: „Jesteś silnym, udawaj słabego, będąc słabym – przeciwnie". Na tym blefie ZSRS ujechała kilka dekad. W trakcie kryzysu kubańskiego przestraszona Ameryka naprawdę bała się zagłady, podczas gdy mogła się uporać z komunizmem błyskawicznie. Ale jeden Gagarin wystarczył, by uwierzono w przewagę sowieckich rakiet. Tymczasem równowaga sił jądrowych nastąpiła wiele lat później.

Jedną z ulubionych metod starożytnych Chińczyków była dezinformacja. „Pokaż wrogowi, jaki będzie twój następny ruch, po czym korzystając z tego, że wróg odpowiednio się przygotuje, uderz gdzie indziej".

Jeszcze ważniejsze jest maskowanie celów. Rosja, szczególnie ta komunistyczna, nigdy nie przyznawała się do agresji. Ona wyłącznie walczyła o pokój. Rozbiory Polski podyktowane były troską o innowierców w Polsce; podbój świata realizowano pod hasłami wolności ludów, równocześnie niewoląc własny naród ciężej niż carat chłopów pańszczyźnianych.

Realizując podstawową taktykę diabła, udającego, że go nie ma, Rosja, przynajmniej od czasów carycy Katarzyny, nie udaje wprawdzie, że jej nie ma, ale nieustannie dowodzi, że jest normalnym krajem, któremu drogie są podstawowe wartości cywilizacji; państwem, z którym można się dogadywać, handlować, zawierać traktaty (mimo że, jak dowodzi tego praktyka, zawierane są jedynie po to, by zyskać na czasie). I dają się na to łapać mężowie stanu od Roosevelta po Trumpa. Co gorsza również tzw. światowa opinia publiczna.

Skuteczność propagandy, na której się nie oszczędza, potwierdza osiem powojennych dekad. Tłumaczy to też fenomen tego, że hitleryzm uznawany jest za dżumę, a komunizm traktowany jak katar. Powód łatwo znaleźć – nazizm nie ukrywał swoich celów; Rosja robiła to zawsze, kłamiąc na każdy temat. Poza tym nie została okupowana i zdekomunizowana. Nie urządzono Norymbergi dla kremlowskich zbrodniarzy, nie zniszczono KGB ani jej kadr. Imperium Zła wzięło na przeczekanie.

W dodatku na sukces Moskwy od XVIII w. pracowały na Zachodzie rzesze szpiegów, sowicie opłacanych intelektualistów (z Wolterem i Diderotem na czele), artystów (choćby Picasso), dziennikarzy (de facto agentów wpływu) czy tylko użytecznych idiotów, sprzedających siebie i własne kraje za friko. Rosja nigdy nie miała skrupułów ideowych, potrafiła równocześnie wspierać skrajną lewicę i skrajną prawicę – ponieważ liczyła się wyłącznie perspektywa własnego zwycięstwa. Patronowała ideom, które u siebie gorliwie tępiła, jak ekologizm czy homoseksualizm.

W dodatku celowo krzewione mity miały wiele poziomów. Jak ten, że reżim jest ohydny, a naród wspaniały (prawda jest zgoła inna, naród rosyjski gorliwie wspiera swoją władzę) albo że wysoko ceni misje kulturotwórcze – w końcu Tołstoj i Czajkowski… Cóż, Rosyjską wysoką kulturę poznawały uciemiężone narody już w pierwszym dniu okupacji. A banaluki o niezgłębionej duszy rosyjskiej? Dusza rosyjska jest jak pusty pokój, tyle że zaciemniony. Prawdę tę zrozumiał Dostojewski, stojąc przed plutonem egzekucyjnym, i w mgnieniu oka pokochał tyranię!

Ale czy to wszystko oznacza, że dzisiejsza Moskwa jest niezwyciężona? Starożytna cywilizacja chińska ostatecznie uległa erozji i padła pod ciosami barbarzyńców, nowożytna również. Rosja w dalszej perspektywie nie ma szans na przetrwanie jako mocarstwo. Pokonają ją: demografia, niewydolność gospodarcza wynikająca z braku wolności i światowa konkurencja.

Tyle że dzięki znakomitej propagandzie sama Rosja nieprędko się o tym dowie. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

Tomasz Sakiewicz

Jeszcze Ameryka nie umarła

Zabójstwo Charliego Kirka wstrząsnęło Stanami Zjednoczonymi, a także całym konserwatywnym światem. Ten młody człowiek, gwiazda mediów, showman, społecznik, przyjaciel wiceprezydenta USA i wielki zwolennik prezydentury Donalda Trumpa, a jednocześnie ojciec, mąż wspaniałej kobiety – był symbolem odrodzenia Ameryki. Podejmował skutecznie debatę z lewackimi poglądami, przyciągał i przekonywał młodych ludzi, nie wykluczając nikogo. To prawda, że Trump finał swojej rozgrywki zawdzięczał polskim głosom, bo w wahających się stanach one przeważały. Ale zanim doszło do finału, ktoś musiał przekonać republikanów, by znowu postawili na Trumpa, i ktoś musiał zmobilizować większość elektoratu. Charlie Kirk należał do czołowych aktywistów, którzy się do tego przyczynili. Miał wielką popularność w świecie konserwatywnym, a także rosnącą wśród całej młodzieży. Wiele zrobił, by zatrzymać neomarksistowską rewolucję, ale sam był też owocem zmian, które powoli następują w USA i części Europy.

Już rok temu największe koncerny w USA, Japonii i Korei Południowej zaczęły wycofywać się ze wspierania polityki WOK-LGBT, zielonego ładu itd. Konserwatywny trzon biznesu dostrzegł, że to szaleństwo niszczy gospodarkę i jest zagrożeniem dla zwykłych obywateli. Zwycięstwo Donalda Trumpa było oczywiście ważnym etapem tych zmian. Nowy prezydent USA wstrzymał finansowanie lewackich organizacji i rozpoczął presję, by WHO czy ONZ nie wspierały najbardziej lewackich projektów. Zmiana na Stolicy Piotrowej z uchodzącego za liberalnego Franciszka na centrystę Leona XIV też wstrzymała proces przesuwania Kościoła w kierunku organizacji o jawnie lewicowym charakterze. Jednocześnie Europa przerażona agresywną falą nielegalnej muzułmańskiej imigracji zmienia się, a mieszkańcy naszego kontynentu coraz chętniej wspierają partie prawicowe. Liberalna lewica zaczęła tracić grunt pod nogami i obecnie istnieje dzięki polityce niektórych mocarstw wspierających cynicznie na przykład zielony ład na terenie konkurentów. To jednak spowoduje jej dalszy uwiąd i kompromitację.

Liberalna lewica zaczęła tracić grunt pod nogami i obecnie istnieje dzięki polityce niektórych mocarstw wspierających cynicznie na przykład zielony ład na terenie konkurentów. To jednak spowoduje jej dalszy uwiąd i kompromitację.

Tymczasem zaraz po śmierci Kirka zaczął gwałtownie rozwijać się zapoczątkowany przez niego ruch, wchodząc teraz do najmniejszych miejscowości. Jednocześnie władze USA zapoczątkowały walkę z najbardziej radykalnymi organizacjami, delegalizując m.in. Antifę.

To drugi etap wielkiej konserwatywnej rewolucji, na czele której stanął rząd USA.

Efekty tego będą bardzo silne. ■

eprasa.pl f7e0bb845d

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.

eprasa.pl f7e0bb845d